

JAK SIĘ SKOŃCZY WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ?

Kłeska planu zwycięstwa
Wołodymyra Zełenskigo

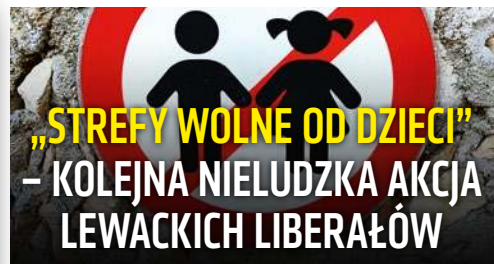


TYGODNIK LISICKIEGO

NR 41/599 7-13 PAŹDZIERNIKA 2024
CENA 11,90 Zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

Manipulacje, zniekształcenia,
przemilczenia – czyli metoda
Jana Grabowskiego



Komediant Tusk na wojnie
z „wódka w tubkach”

PAMFLET RAFAŁA A. ZIEMKIEWICZA

Za co jestem wściekły na PiS

9 772299 850000
ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
Nakład: 45 500 egzemplarzy
4 1 >



HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



BIERUT – KRWAWY PIONEK STALINA

Gra przeciw Polsce – Bierut zrobił karierę w zaskakujących okolicznościach. Dla Stalina był dużo wygodniejszym narzędziem niż Gomułka

Czeski potop – Wielki bunt trawiący ziemie polskie zachęcił sąsiadów z południa do zorganizowania łupieżczej wyprawy. Polska stanęła wówczas na krawędzi zagłady

Hitler w okopach – Nie był ani tchórzem, ani herosem. Wojenna opowieść przyszłego Führera to w dużej części wytwór jego własnej wyobraźni

Z okładek „Vogue’a” do Dachau – Lee Miller wiodła kilka żyć. Najpierw zachwycała urodą, a później szokowała obrazami ukazującymi okrucieństwo wojny

Pogrom pod Cuszimą – Rosyjskie okręty były bez szans w starciu z japońską flotą. Klęska na Pacyfiku była dla Mikołaja II wyjątkowo bolesnym ciosem

Czytelnicy go kochali – Wańkowicz potrafił poruszyć czytelników i zyskać ich miłość. Przed nim był tylko Henryk Sienkiewicz. Po nim już nikt

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Niemiełe skutki pustych obietnic



PAWEŁ LISICKI

Po wielu miesiącach walk padł Wuhłedar, miasto położone w południowo-zachodniej części obwodu donieckiego, o którym Ukraińcy mówili, że jest niezdobyta twierdzą. Wraz z doniesieniami z innych miejsc frontu pokazuje to szybko pogarszającą się sytuację Kijowa. To, że Ukraina słabnie, pokazują też doniesienia „Financial Timesa”. Według gazety Ukraina jest gotowa iść na ustępstwa terytorialne w celu zawarcia porozumienia pokojowego z Rosją. „FT” pisze, że podczas sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku ton i treść dyskusji na temat potencjalnego porozumienia pokojowego pomiędzy Rosją a Ukrainą „znacznie się zmieniły”. Kijów ma być gotowy na rozmowy z Kremlm, a także na ustępstwa terytorialne, które będą zapewne jednym z warunków Władimira Putina – to dalej analiza brytyjskiego medium.

Przypomnę, że do tej pory władze Ukrainy twardo zapowiadały, że nie oddadzą Rosji ani skrawka terytorium. Co więcej, tego typu postawa – nie oddamy ani guzika – była wspierana przez wielu polskich polityków i publicystów, a każda próba apelowania do zdrowego rozsądku i wskazywania, że bez realnych ustępstw nie ma szansy na kompromis, uznawana była za „działalność na rzecz Kremla” lub „uleganie propagandzie Putina”. Tymczasem nowy minister spraw zagranicznych Ukrainy, Andrij Sybiha, podczas swojej pierwszej podróży do Stanów Zjednoczonych, jak wynika z doniesień „FT”, wykorzystał prywatne spotkania ze swoimi zachodnimi odpowiednikami do omówienia potencjalnych kompromisowych rozwiązań wojny na Ukrainie i zajął bardziej pragmatyczne stanowisko w sprawie możliwości rozmów o bezpie-

czeństwie za terytorium niż jego poprzednik, Dmytro Kułeba. Czyli to, co było tabu – kwestia zmian terytorialnych – stało się sprawą otwartą. To, co uchodziło za zdradę, może być przedmiotem negocjacji.

Czy to oznacza, że jesteśmy bliżej pokoju? Obawiam się, że nie. W polityce kluczowe znaczenie ma czas. Ten, kto przegapi właściwy moment, może stracić wszystko. Otóż sądzę, że takim momentem, gdy można było zawrzeć najlepszy z punktu widzenia Ukrainy kompromis – a więc taki, w którym państwo to traciło najmniej, co się tyczy zarówno terytoriów, jak i ludzi – był początek konfliktu, a więc marzec-kwiecień 2022 r. Jak wskazywały także zachodnie media, wówczas takie porozumienie było możliwe, ale zostało zerwane wskutek presji premiera Wielkiej Brytanii Borisa Johnsona, a także – można przypuszczać – Joe Bidena. Od tego czasu pozycja Ukrainy z kilku powodów znacząco się pogorszyła.

Po pierwsze, nakładane na Rosję sankcje okazały się nieskuteczne. Wbrew zapowiedziom Zachodu rosyjska gospodarka nie została zduszona. Po drugie, po stronie Rosji opowiedziała się większa część państw globalnego południa, nie tylko Chiny czy Iran, lecz także Indie czy większość państw arabskich i afrykańskich. Po trzecie, Moskwa potrafiła przestawić swoją gospodarkę na tryb wojenny, co oznacza, że jej potencjał militarny nie został osłabiony. Przeciwnie, jak pokazuje sytuacja na froncie, rosyjskie wojsko jest znacznie skuteczniejsze niż przed dwoma laty, bo jest lepiej wyposażone.

Po czwarte, w tym samym czasie ujawniło się to, co łatwo było przewidzieć wcześniej – demograficzna przewaga Rosji sprawiła, że ukraińska armia jest na skraju

wyczerpania. Na front trafiają coraz słabiej wyszkoleni żołnierze, którzy coraz szybciej są eliminowani z pola walki. Padają kolejne miasta, armia rosyjska posuwa się w głąb terytorium Ukrainy. Po piąte, śmiały i zuchwały atak na Kursk, który miał w zamyśle wzmocnić pozycję negocjacyjną Kijowa, a może nawet doprowadzić do upadku Putina, okazał się fiaskiem. Nie tylko nie odcignał Rosjan od Donbasu, lecz także uwikłał w beznadziejną walkę doborowe jednostki ukraińskie. Co gorsza, wzmocnił, a nie osłabił, poparcie społeczne dla władz w Moskwie. Po szóste, korzystając z wojny na Ukrainie, coraz śmielej zaczął poczynać sobie na całym innym, a znacznie ważniejszym dla USA teatrze wojennym Benjamin Netanjahu. To zaś oznacza, że Amerykanie, stając w obliczu wielkiej wojny na Bliskim Wschodzie, muszą ograniczyć swoją aktywność na Ukrainie.

Wszystko to sprawia, że Kijów jest obecnie w znacznie gorszej pozycji negocjacyjnej niż przed dwoma laty, a nawet przed rokiem. Oczywiście główna odpowiedzialność za to spada na ukraińskie przywództwo, na czele z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim. Jednak nie mam wątpliwości, że swoje dołożyli do tego ci politycy, także polscy, którzy namawiali Kijów do bezwzględnej oporu. Sprzedawali iluzje i składali obietnice, których nie mogli dotrzymać. Opowiadali o cudownej broni, która zada śmiertelny cios Moskwie, i łudzili Ukraińców opowieściami o lada moment możliwym wojskowym wsparciu. Nic z tego nie wyszło.

Jeśli celem wojny dla Zachodu miało być „wykrwawienie Rosji”, to łatwo zauważyć, że nigdy nie był on równie daleki od realizacji jak obecnie. ©

TEMAT TYGODNIA

14 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

DLACZEGO JESTEM WŚCIEKŁY NA PIS

Zdradzona rewolucja

KRAJ

20 ROZMOWA Z MARCINEM WARCHOŁEM
**PRAWA W POLSCE JUŻ NIE MA,
JEST ANARCHIA**

Polowanie na Suwerenną Polskę

23 ŁUKASZ WARZECHA
PREMIER W ŚRODKU ALKOTUBKI

26 PIOTR GONTARCZYK
METODA GRABOWSKIEGO

28 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
KRAINA BEZ DZIECI

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
**NIELEGALNE WYŚCIGI
DOJECHAŁY DO METY?**

KULTURA

32 WIESŁAW CHEŁMINIAK
NASZ BRAT MONTAIGNE
Filozof, który za filozofa się nie uważał

35 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
49. PFPP – UŚMIECHNIĘTY FESTIWAL

36 PIOTR GOCIEK
CIEMNA STRONA MIASTA

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 PIOTR SEMKA
**UKRAINA.
JAKA WOJNA? JAKI POKÓJ?**
Polska wobec konfliktu
zbrojnego na Wschodzie

47 LECH MAŻEWSKI
KŁĘSKA PLANU ZWYCIĘSTWA

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
GDY PAPIEŻ GŁOSI RÓWNOŚĆ RELIGII

HISTORIA

52 ROZMOWA
Z DR KAROLINĄ TRZESKOWSKĄ-KUBASIK

LAS WEŁECKI
Tak Niemcy mordowali Polskę lokalną

ŚWIAT

56 DOMINIKA ĆOŚIĆ
ZIELONA KOMISJA
Kto będzie nami rządził z Brukseli

59 KACPER KITA
**ZWROT W PRAWO,
CZYLI DESPERACJA PREZYDENTA FRANCJI**

62 PIOTR WŁOCZYK
NADDUNAJSKA TWIERDZA FPÖ

64 MACIEJ PIECZYŃSKI
JAK UKRAIŃCY ZAWIEDLI SIĘ NA TUSKU

66 RYSZARD CZARNECKI
**ANGOLA – BLISKIE SPOTKANIE
DRUGIEGO STOPNIA**

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
NEET I GNIAZDOWNICY
Młodzi kontra drogie kredyty i mieszkania

74 RADOŚŁAW WOJTAS
POLSKA NAUKA SP. Z O.O.

FELIETONY: SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (55), PRZYBYLSKI (68), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JĄSTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowski,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmicki, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadziński, Marek Jurek,
Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieroniewicz,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-**
Pieczyska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz Żygado

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotoedytacja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSUJĄCY: **Andrzej Krauze, Cezary Krzyszto**
Okładka: **David Wolski/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej **PMPG Polskie Media SA**, notowanej na GPW.



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro SA:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, Joanna Nowakowska

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl,

www.poczta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829 Nakład: 46 500 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Profesor Środa wali w Zielony Łód”, Piotr Gabryel, „DRz” nr 39/2024

Szanowny Panie Redaktorze!

Dziękuję za nagłośniecie zaskakującego zwrotu w poglądach pani prof. Środy. Warto, gdyż – jak pisze ewangelista – „w niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziećmiu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia”. Miejmy nadzieję, że pani profesor nowej drogi nie porzuci i zacznie swoim autorytetem wspierać energię z węgla. Kopalnie i elektrownie węglowe w niewielu miejscach zaśmiecają krajobraz, wyjąławiają ziemię, zabierają mniej przestrzeni zwierzętom niż te ohydne farmy. A że emitują jakiś niewidzialny gaz, który szkodzi człowiekowi, temu niszcycielowi przyrody...

Serdecznie pozdrawiam!

Jerzy Ogonowski

PS Sam napisałem poświęcony temu wydarzeniu medialnemu felieton do „Tygodnika Płockiego”.

„Wioska potiomkinowska”, Łukasz Warzecha, „DRz” nr 39/2024

Szanowna Redakcjo,
po przeczytaniu tekstu p. Łukasza Warzechy pt. „Wioska potiomkinowska” w „Do Rzeczy” z 23 września b.r. nasza mnie następująca refleksja: wcale nie trzeba nagłych, niszczycielskich ataków, by zdemaskować ogromną, fikcyjną wieś

feldmarszałka Potiomkina, w której żyjemy.

5 września wracałam z Berlina autostradą A4, zwaną drogą europejską. To podobno trasa strategiczna, łącząca Zachód ze Wschodem. Tędy zapewne będą maszerowały wojska NATO do zwycięskiej wojny z Rosją. Tymczasem owego dnia na drodze doszło do kraksy i zapaliła się ciężarówka. Błyskawicznie powstał 24-kilometrowy korek, w którym stałam ponad cztery godziny. Nikt nie wpadł na pomysł, by np. zdjąć barierki i przekierować ruch na przeciwny pas autostrady. Nie było policji ani żadnej informacji o objazdach w GPS, oprócz oczywistej, że jest gigantyczny korek. Na pierwszej napotkanej stacji benzynowej zabrakło benzyny, wody, toalety były nieczynne z wiadomego powodu.

Wystarczy więc, by Putin rozrzucił po polskich drogach kilka palących się ciężarówek, by podbić naszą nieustraszoną ojczyznę.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

„Tak nas rujnuje UE”, Tomasz Cukiernik, „DRz” nr 40/2024

Szanowna Redakcjo,
z przerażeniem przeczytałem raport Tomasza Cukiernika w ostatnim numerze „Do Rzeczy” „Tak nas rujnuje UE”. To, o czym on pisze, budzi trwogę przeciętnego Polaka, który nie zna niuansów ekonomii, polityki i zasad administracji. Istnieje wielka potrzeba, aby ktoś niestronniczo przedstawił zalety i wady przynależności do Unii Europejskiej, np. skrótkowo w formie tabeli: po lewej wady, po prawej zalety.

Co na to inne kraje Unii?

Ryszard Jankiewicz

Agnieszka Holland z nagrodą
Festiwalu „Polskich” Filmów Fabularnych



ce 22 87 6 59 32 70 11 2



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Gra o Polsat i cień Tuska

Konflikt w Polsce między Zygmuntem Solorzem a trojgiem jego dzieci w naturalny sposób pobudza zainteresowanie mediów. Wielkie biznesowe imperium – patron rodziny, który poślubił młodszą kobietę, i naturalny konflikt macocha kontra dzieci z poprzednich małżeństw. Cała sprawa byłaby tematem dla portali śledzących życie celebrytów, gdyby nie jej polityczny charakter. A tu wiele rzeczy daje do myślenia.

Sprawę jako pierwsza nagłośniła „Gazeta Wyborcza”. Do jej relacjonowania wyznaczono dwoje politycznych asów – Wojciecha Czuchońskiego, do którego dołączyła później Agnieszka Kublik. „Wyborcza” – jak to bywa w jej stylu – formalnie udając bezstronny stosunek do konfliktu, szybko zaczęła obsadzać nową żonę Solorza – Justynę – w roli negatywnego bohatera konfliktu. Trojgu dzieci nie poświęcano specjalnie uwagi. Za to bardzo swobodnie zaczęto sugerować, że Justyna Kulka ubezwłasnowolniła szefa firmy i przejęła występowanie w jego imieniu. W tekstach trudno było znaleźć informację,

czy dzieci Solorza wykazały się dotąd sukcesami i czy nadają się do biznesowej sukcesji. W tekstach „Wyborczej” pojawiły się sugestie, że Kulka jest dobrą znajomą Doroty Gawryluk i że to ona odpowiadać miała za dobre relacje Polsatu z PiS. Czy to wyjaśnia, dlaczego dziennik z Czerskiej wyraźnie faworyzuje dzieci w opozycji do Justyny Kulki?

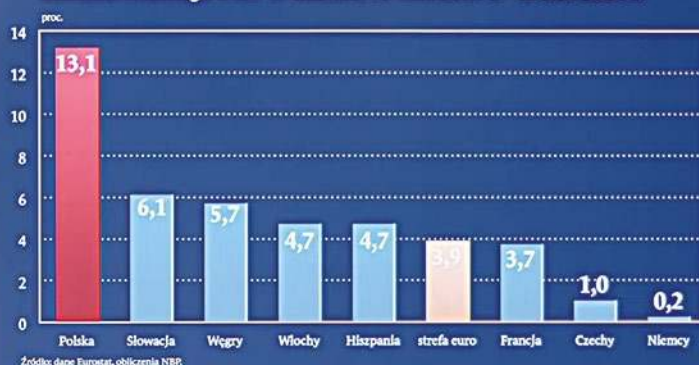
W świecie warszawskiej polityki parę miesięcy temu krążyła plotka, że Zygmuntovi Solorzowi bardzo na rękę były medialne spekulacje, czy Dorota Gawryluk z Polsatu wystartuje w wyborach prezydenckich. Solorz miał nie rozwiewać plotek na temat ewentualnego startu Gawryluk, aby mieć kartę przetargową w rozmowach z ekipą Donalda Tuska. Platformersom ewentualny start Gawryluk byłby bardzo nie na rękę. W końcu Gawryluk zdementowała plotki o swoim starcie i tłumaczono to jakimś porozumieniem między Solorzem a nowym rządem. Tak się bowiem składa, że wszystkie interesy Solorza dotyczą branż, na które państwo ma bardzo duży wpływ – od mediów do energetyki.

Powstaje pytanie: Czy teraz konflikt w rodzinie Solorzów nie zwrócił na nowo uwagi Donalda Tuska? Lider PO nie lubi być szantażowany i bywa pamiętliwy. A Solorz jako niezależny czynnik medialny coraz mniej pasuje do krainy „demokracji walczącej”. Jeśli konflikt wyniszczy Polsat, to wtedy jakiś podmiot przyjazny PO może wykupić poszczególne spółki kruszącego się imperium.

Modus operandi Zygmunta Solorza było ciche dogadywanie się z kolejnymi ekipami rządowymi przy jednoczesnym starannym unikaniu bycia widocznym. A jednocześnie posiadając jedną z najważniejszych stacji telewizyjnych – gdy było mu to wygodne – miał pewien wpływ na opinię publiczną. Teraz w sytuacji, gdy „Gazeta Wyborcza”, a za nią kolejne media liberalne kreują obraz polsatowskiej gry o tron w sposób dla niego niekorzystny, twórca biznesowego imperium wydaje się zaskoczony nową sytuacją. Pytanie, jak z niej wybrnie.

Jedno jest pewne. Losy Polsatu obecnemu rządowi na pewno nie są obojętne. © ©

Zmiana realnego PKB w okresie IV kw. 2019 r. - II kw. 2024 r.



FOT. NBP

SZEF NBP: POLSKA BOGATSZA NIŻ PRZED PANDEMIĄ

– Nasze bogactwo jest ok. 13 proc. większe niż przed pandemią. Polski PKB jest 13 proc. wyższy niż przed pandemią, to jest wyjątkowe osiągnięcie – oznajmił prezes Narodowego Banku Polskiego, Adam Glapiński. – To jest skala polskiego cudu gospodarczego, o którym mówi cały świat. No może poza Polską – podkreślił szef banku centralnego, komentując wykres ukazujący zmianę realnego PKB w okresie od IV kw. 2019 r. do II kw. 2024 r. (jap) © ©

CBA zatrzymało Janusza P., byłego lidera Ruchu Palikota. Zdarza się. Pytani o interpretację odpowiadamy, że są w polityce narzędzia, które już się zużyły, więc można z nich zrezygnować. A poza tym zawsze można teraz zawołać: „Patrzcie, swoich też wsadzamy!”. Ponieważ jednak oczekujecie od nas także puenty satyrycznej, to rzucamy hasło: reżim Tuska kontynuuje prześladowania katolików! Wszak Janusz P. był swego czasu ważnym chrześcijańskim przedsiębiorcą.

Zamykają – znaczy będą zamykać. Pytanie brzmi: Kto następny? I tu naszą uwagę zwrócił materiał wyemitowany niedawno w reżimowej telewizji. A dokładnie – w prywatnej reżimowej telewizji. Nie posiadaliśmy się ze zdumienia. Najwyższemu mecenasowi w Polsce wypomniano grzechy młodości. A nie był on wówczas światłym Europejczykiem, jeno zwykłym faszystą. Przynajmniej w oczach Czerskiej i Wiertniczej. A ponieważ nie wierzymy w przypadki, spuściliśmy ze smyczy nasze wiewiórki.

Wiewiórki były bardzo skuteczne i te to nas dopiero wprawiły w zdumienie. Tak bardzo, że ciężko oszołomieni zamiast stwierdzać, będziemy teraz zadawać pytania. Czy to prawda, że po mieście fruwa bardzo ciekawa taśma z mecenasem i pewnym bardzo, ale to bardzo ważnym politykiem Platformy? Czy może być prawdą, że ów polityk w rozmowie z mecenasem miał siebie określić słowami „ja, Niemiec”? Zachodzimy w głowę. No i jeszcze jedno pytanie: A gdyby była prawdziwa (w co oczywiście nie wierzymy), to kto tę taśmę nagrał?

Skoro już nam tak dobrze idzie zadawanie pytań, to będziemy kontynuować. Jak wiadomo, Szymon Hołownia jest tylko skromnym maturzystą. Studiował, owszem, ale dyplomu nie zdobył i magistrem nie jest. Czy to możliwe, że z pomocą miała mu przyjść znana z tego i owego uczelnia Collegium Humanum? Czy to możliwe, by w sprawie Szymona dwukrotnie rozmawiał z Pawłem Cz. przedstawiciel Szymonowej partii o jakimś popularnym

imieniu, np. Michał? Zadajemy te pytania, bo z kolei ludzie pytają: Czy to możliwe, żeby Szymon nie chciał już kandydować na prezydenta, gdyż nie bardzo lubi trudne pytania?

Wiele hałasu narobiło w minionym tygodniu nasze doniesienie o grupie posłów PiS domagających się wyjścia z partii pod wodzą Morawieckiego. No to dziś dolejemy oliwy do ognia – z tego, co wiemy, po zjednoczeniu PiS z SuwPolem frakcja ta wzrośnie, gdyż są i w SuwPolu tacy, którzy orientują się na Mateusza. A teraz najzabawniejsze: ci, którzy chcieli wyjść, zamierzali to uczynić w imię sprzeciwu wobec połączenia z SuwPolem.

Apropos Mateusza – opóźnia się objęcie przez niego stanowiska sekretarza partii Europejczy Konserwatyści i Reformatorzy. Wszystko przez Włochów. Otóż przeciągają oni sprawę, żeby wzmocnić swą pozycję negocjacyjną podczas walki o nowych komisarzy w nowej Komisji Europejskiej. A te decyzje zapadną dopiero w grudniu. Włosi uważają bowiem, że obdarowanie ważną funkcją przedstawiciela zniechędzonych w Brukseli PiS-owców mocno utrudni europejskie negocjacje.

Tymczasem u Ardanowskiego. Liczne oferty nawiązania związku i jego szybkiej konsumpcji wysuwane pod

adresem jego inicjatywy przez Konfederację pozostają bez odpowiedzi. Ale pojawił się nowy pomysł. Wedle niego WoDo (Wolność i Dobrobyt) nie miałyby zostać wchłonięte przez Konfę, jeno stać się pełnoprawną kolejną nogą Konfederacji. Byłaby to noga agrarna.

Dobra wiadomość: państwo zdało egzamin. Zła wiadomość – nie było to państwo polskie. Pijemy do ewakuacji z Libanu, skąd bezpiecznie udało się wywieźć 16 Polaków. Co nas cieszy. Ewakuacji dokonało państwo ukraińskie, które nawet prowadząc ciężką wojnę z Rosją i nie cierpiąc na nadmiar środków, w try miga zorganizowało samolot, którym wywieziono ze strefy wojny Ukraińców, Polaków, Czechów, Litwinów i Mołdawian. Na pytanie, co zorganizowało państwo polskie, mamy rzeczową odpowiedź: państwo polskie zorganizowało się rok temu tak, by tej ewakuacji nie mógł przeprowadzić rząd PiS.

Minął zapowiadany termin, a projektu ustawy o likwidacji m.in. Instytutu Felczaka (to ten od współpracy polsko-węgierskiej) nie ma – albo jeśli jest, to nikt nie chce się nim pochwalić w Internecie. Tymczasem neodyrektor Instytutu dał robotę trzem nowym osobom i zorganizował nowy portal, którego podstawową zaletą jest wyrzucenie 90 proc. zawartości starego portalu. W tym informacji o nagrodach Strażnik Pamięci przyznawanych przez nasz wpływowy tygodnik. W sumie racja. Po co Polakom pamięć, skoro jest lotnisko w Berlinie?

Tajemnicza awaria paraliżowała przez parę dni komputery w Ministerstwie Sprawiedliwości. Gdy podli dziennikarze dopytywali, co się dzieje, słyszeli, że jeszcze nie wiadomo. Podajemy naszą wersję wydarzeń: system pogryzły bobry. Skąd wzięły się bobry w resorcie? Ani chybi uciekały przed wilkami. Skąd wilki wzięły pomysł, żeby gonić bobry? Ano opity się wódką z alkotubek i dostały pijackiej fantazji. Zobaczcie, wszystko się zgadza: pogrom bobrów zapowiedziano, odstrzał wilków będzie poszerzony, za alkotubersów już się rząd zabrał. Po owocach ich poznać. ©©



FOT. ROBERT CAROZINSKI



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Thierry Oszołom

Zdumiewające, że żadne, dosłownie żadne z polskich lewicowo-liberalnych mediów, tak wsłuchanych w każdy głos płynący z Unii, nie odnotowało wywiadu, którego niedawno udzielił dziennikowi „Le Monde” ustępujący komisarz rynku wewnętrznego, Thierry Breton. Tak, ten sam Breton, który swego czasu odgrażał się Elonowi Muskowi, że jeśli nie ocenzuruje twitterowego wywiadu z Donaldem Trumpem, to Unia „ma narzędzia”, by skutecznie to na nim wymusić.

Tym razem Breton wzbudził kontrowersję, nawet skandal, wypowiadając się na temat wewnętrznej sytuacji UE. Stwierdził – w alarmującym tonie – że Niemcy, a zwłaszcza „cesarzowa” – jak ją

nazwał – von der Leyen, w niebezpieczny sposób przejmują Unię, że wypchnęli Francję z większości decyzyjnych stanowisk i sprowadzili ją do poziomu „takich państw jak Polska czy Rumunia”. W oczach francuskiego eurokraty to straszliwe poniżenie. W ten sposób uczynili instytucje wspólnotowe „zbyt uległym narzędziem swojej polityki”. Zdaniem Bretona to zagrożenie dla wszystkich krajów Europy, bo – jak wyraźnie sugeruje – niemiecka polityka nie kieruje się bynajmniej dobrem Europy, ale samych Niemiec.

Cóż za herezje! TSUE powinien natychmiast zająć się sprawą i wlepić Bretonowi jakiś kurs reedukacyjny – a i jego rozmówcom z gazety też. Mogliby ich np. przysłać do naszej „Gazety Wyborczej” czy

TVN, których wszyscy eksperci jak jeden mąż perswadowali nam zawsze, że „narody to przeżytek” i żaden zachodni kraj nie kieruje się już interesami narodowymi, a już zwłaszcza – zwłaszcza! – nie Niemcy. Oni są „mocarstwem moralnym” i wszystko, co robią – a zwłaszcza niszczenie niezależności energetycznej innych krajów, przejmowanie za sprawą manipulacji ze wspólną walutą ich rynków oraz odcinanie ich od możliwości „egoistycznego” wpływania na decyzje „państwa europejskiego”, które z poświęceniem budują – służy tylko wspólnemu dobru i ratowaniu planety. U nas wszyscy to wiedzą i nawet zdołali to wmówić społeczeństwu – a taki żabojad nagle... No nie ma wyjścia, tylko go przemilczeć. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Kanoniczne peryferie

Mój komentarz sprzed dwóch tygodni („Co łatwiej powiedzieć?”), na temat katowickiego komunikatu o Mszach w kaplicach Bractwa Świętego Piusa X, sprawowanych (przepraszam za cytaty) „niegodziwie”, zechciał skomentować o. Dominik Dubiel SJ. Zarzucił mi, że „nie rozumiem podstawowych technicznych pojęć prawa kanonicznego (ważność i godziwość), przypisując im inne znaczenie”. Krótko mówiąc, że w ogóle nie rozumiem, co się po polsku mówi.

Tymczasem w Kodeksie prawa kanonicznego – przynajmniej w stosunku do Mszy Świętej – określić w rodzaju „scelerate”, „male” czy choćby „indigne” w ogóle nie

ma – i szkoda, że w ogóle takie założenie trzeba robić. A „licite”, którego Kodeks używa? To coś zupełnie innego, po prostu – „legalnie”, „za zezwoleniem”, co w planie wiary oznacza – „we wspólnocie Kościoła”. W duchu obecnego pontyfikatu można by więc napisać, że Msze w Bractwie św. Piusa X sprawowane są ważnie, choć na peryferiach Kościoła. Tak to właśnie jest.

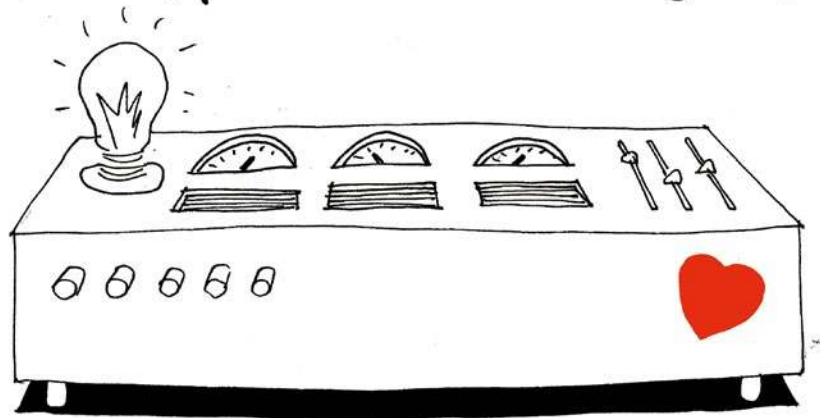
W komunikacie, o którym pisałem, mieliśmy więc do czynienia ze świadomą brutalizacją języka i relacji wewnątrzkościelnych. Mogę więc tylko, właśnie za o. Dubielem, powtórzyć końcowe pytanie jego komentarza: „Czemu to służy?”. Pewnie język ten miał posłużyć (jak się to dziś mówi) „wyrazistości”,

temu, by wierni odczuli władzę; ale przecież nie tak miało być między nami (por. Mt 20, 25–26).

Ojca Dominika zachęczę więc, by rozważył słowa Benedykta XVI, które przywołałem w swym komentarzu, o współczesnym tolerancyjnym społeczeństwie, które potrzebuje przynajmniej jednej grupy, którą lżyć można bez umiaru. Już choćby skwapliwe podjęcie przez TOK FM sformułowań rzeczonego komunikatu powinno skłaniać do zastanowienia. Roztropność w życiu religijnym dotyczyć musi nie tylko unikania ataków mediów. W znacznym stopniu powinna dziś dotyczyć unikania pochwał ze strony, z której nikt w Kościele poparcia oczekiwać nie powinien. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

W miejsce piśmowskiej megalomanii
wchodzi w życie projekt
sztucznej polskiej ćwierci inteligencji



cezary krysztopy



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Horrendum

Ulicami Mediolanu w sobotę 28 września przeszedł pochód solidarności z Palestyną. Organizowały go Komitety Wsparcia Ruchu Oporu na rzecz Komunizmu, Nowa Partia Komunistyczna Włoch, włoskie organizacje Palestyńczyków, anarchiści ze squatów i kolektywy studenckie.

Demonstranci minutą ciszy uczcili pamięć arcyterrorysty Hasana Nasrallaha, przywódcy islamskiej Partii Boga Hezbollah, który po izraelskim nalocie wraz z kamratami wyzionął ducha w Bejrucie. Nieśli wielkie portrety, m.in. pani senator Liliany Segre, która przeżyła Auschwitz, przewodniczących włoskich gmin żydowskich, Johna Elkanna z klanu Agnellich od Fiata (szefa rady nadzorczej koncernu Stel-

lantis, syna nowojorskiego Żyda), premier Giorgii Meloni i ministra obrony Guida Crosetta, z podpisem „Agenci syjonistyczni”.

Mówcy zapowiadali, że wszyscy „agenci syjonistyczni” staną przed trybunałem ludowym i poniosą karę, co nieodparcie kojarzy się z podobnymi organami „sprawiedliwości” w hitlerowskich Niemczech i Związku Sowieckim, a Włochom przede wszystkim z krwawymi mordami Czerwonych Brygad. Porwany przez lewackich fanatyków dwukrotny premier Włoch Aldo Moro został zamordowany po trwającym 55 dni „procesie ludowym”.

Zaraz po manifestacji propalestyńscy aktywiści wzięli udział w spotkaniu poświęconemu

planowanej 5 października w Rzymie masowej demonstracji pod hasłem „Wolna Palestyna”. Z jeźdzącą włos na głowie propozycją wystąpił niejaki „Chef Rubio”, były rugbista, potem bardzo popularny kucharz telewizyjny, a obecnie aktywista propalestyński i chyba najbardziej zajadły antysemita Italii. Rzucił myśl, by w nocy przed rzymską demonstracją aktywiści farbą w sprayu oznaczyli domy, w których mieszkają „agenci syjonistyczni”. Następnego dnia to całe panopticonum, wraz z przedstawicielami partii komunistycznych Kuby, Kanady, Filipin i Ameryki, wzięło udział w sympozjum w Mediolanie pt. „Stalin wzorcem dla współczesnej walki komunistycznej”. Naprawdę trudno uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. ©©

Autorem jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

WŁADYSŁAW MACRON-KAMYSZ

Niekiedy celebryci są naprawdę przekonani. Aktorka Joanna Opozda bierze udział w trzecim sezonie programu „Nasi w mundurach” (kolejny program o tym, że gwiazdy robią cokolwiek, a widzowie mają się zachwycać). W show TTV, pod okiem dowódców służb mundurowych z wieloletnim doświadczeniem, trenują niby typowo żołnierskie umiejętności, choć głównie chodzi o pajacowanie. Opozda została zmuszona do tego, aby brodząc w lodowatej wodzie, po fladze rozpoznać poszczególne państwa. Aktorce udało się wskazać poprawnie flagi Niemiec i Francji, ale miała problem z symbolem Unii



FOT. WPHOTO/EAST NEWS

Europejskiej. – No to jest... Jezu, Anglia! – wypaliła, widząc niebieski materiał z żółtymi gwiazdkami. – Cholera jasna, nie wiem. Jakiś Uzbekistan czy coś? – zgadywała, widząc flagę Chin. – Nie rozpoznałam Chin, co mnie w ogóle bardzo dziwi, bo ja byłam w Pekinie tyle czasu. Znam tę flagę. Nie mogłam się już na niczym skupić. Myślałam tylko o tym, że chcę zakończyć to zadanie – tłumaczyła się później. Najśmieszniejsze było jednak odgadywanie polityków. Joannie kazano zanurzyć stopy w pomyjach, a w tym czasie

pokazano zdjęcie szefa MON Władysława Kosiniaka-Kamysza. Celebrytka jednak go nie rozpoznała. – Nie wiem – odparła na pytanie, kto to. Za chwilę dodała, że „no, to jest ten prezydent Francji... Macron”. – Jeśli chodzi o tych polityków na zdjęciach, to powiem szczerze, w tym stresie problem ogromny – wyjaśniała. No trudno się nie uśmiechnąć, trudno.

ZUPEŁNIE NIE O TO CHODZI

Fittrenerka influencerka Ewa Chodakowska pochwaliła się na Instagramie świetną formą. Na zdjęciu z wakacji „zapozowała w śmiałej pozie, eksponując obłądną sylwetkę w czarnym bikini. Następnie wstawiła do sieci dwa krótkie nagrania prezentujące jej dbałość o opaleniznę oraz przechadzanie się po wydmach niespiesznym powłóczyстым krokiem” – opisuje serwis Pudelek. Najciekawszy jest jednak opis tych wygibasów. Chodakowska, prezentując swoje walory, przekonuje, że to wcale nie o wygląd chodzi. „»Zakochana w sobie«, »to już obsesja na punkcie własnego wyglądu«, »ofiara mody na fitness« itd. Przeczytałam setki, a tysiące takich bzdur na swój temat na przestrzeni lat” – podkreśliła w poście. Ewa, lubiąca kreować się na inspirację dla milionów zwykłych Polek, skierowała do swoich obserwatorek apel. „Jeśli mam być szczerą, to tutaj nigdy nie chodziło o wygląd. Mając 42 lata, będę coraz częściej to powtarzać. Owszem, wygląd jest wynikiem zdrowego stylu życia, ale nie celem samym w sobie [...]. Ja sama, trenując jedynie z myślą o jednych poślach, już dawno bym poległa. Mój cel leży gdzieś indziej. Chcę być najzdrowszą wersją siebie tak długo, jak to możliwe” – podkreśliła. Nikt nie wątpi, że zdrowie idzie w parze z treningiem i prawidłowym odżywianiem. Ale że „nigdy nie chodziło o wygląd”? Ewa, serio?

MĘTNE WYWODY

TVP Info w likwidacji przekracza kolejne granice absurdu i – trzeba to rzec – głupoty. Bo trudno inaczej określić zaproszenie do programu w wieczornym paśmie mu-

zyka skandalisty (o nadużywaniu różnych substancji nie wspominając) i pytać go całkowicie na serio o całkowicie poważne rzeczy. Tymczasem Dorota Wysocka-Schnepf postanowiła uraczyć widzów wywiadem z Maciejem Maleńczukiem. Generalnie (szok!) Maleńczuk nie znosi PiS. – Całe mnóstwo rzeczy mnie złości. Przede wszystkim wciąż się ludzie PiS boją. Wciąż jednak PiS potrafi człowieka, jednego z drugim urzędasza jakiegoś zastraszyć, czy to prokuratorów, czy innych. Pisiory są wszędzie – stwierdził niezadowolony muzyk. W rozmowie pojawił się wątek przebywającego w areszcie ks. Michała Olszewskiego. – Z tego księdza egzorcysty od salcesonu, co ukradł sto baniek, chcieli w pewnym momencie drugiego Popiełuszkę zrobić. To było obrzydliwe – powiedział. Dodał, że poznał księdza w czasach, gdy „sprawa z salcesonem była już znana”. – Ja bym mu codziennie dawał salceson, to byłaby najlepsza tortura – kpił Maleńczuk, co nie wywołało choćby najmniejszego protestu prowadzącej. Jak na mętną wodę przystało.

NIECH JURORZY SIĘ WYKAŻĄ

Kolejny tydzień, kolejna awanturka wokół „Tańca z gwiazdami”. Majka Jeżowska wykonała taniec country, który nie przypadł do gustu jurorom. Para otrzymała jedynie 20 punktów (na 40 możliwych). Ewa Kasprzyk stwierdziła, że taki taniec lepiej potrafi zatańczyć dziecko z podstawówki, co mocno zabolowało Jeżowską. – Ja się nie zgadzam z opinią jurorów, że to jest najłatwiejszy taniec. Zapraszam jurorów, żeby go zatańczyli. Myśmy bardzo ciężko pracowali – mówiła piosenkarka, jednak wtedy interweniował jej taneczny partner. – Nie mów tak: „Zapraszam, żeby oni zatańczyli”, bo oni sobie poradzą z tym tańcem. To brak takiego docenienia. To naprawdę trudny taniec, jeśli chodzi o choreografię. Country samo w sobie nie jest trudnym tańcem, ale ta choreografia była wymagająca. Bardzo trudno nam było to skleić w całość – podsumował Michał Daniłczuk. Niby partner do tańca, ale jakby rzecznik prasowy pani Majki. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kojarzycie, kochani, taką książkę dla dzieci pt. „Dzieci z Bullerbyn”? Możecie nie pamiętać, była to lek-
tura w podstawów-

ce, a przecież wiadomo, iż lektury są nudne, więc pewnie nikt z was nie ruszał, a na streszczenie też brakowało czasu.

W każdym razie jakiś czas temu pewna polska pisarka postanowiła rozprawić się krytycznie z „Dzieci z Bullerbyn”. No bo wicie, książka napisana dawno temu, w zupełnie innym kodzie kulturowym, bohaterowie są jednorodni etnicznie, widzimy przedstawicieli wyłącznie dwóch płci, silnie akcentowany jest podział na chłopców i dziewczynki, którzy w dodatku wywodzą się z heteroseksualnych związków i wielopokoleniowych rodzin. Nic więc dziwnego, iż dla postępowego współczesnego krytyka widnieje tam cała masa czerwonych flag, które ostrzegają nieostrożnego czytelnika przed nieodpowiednimi treściami.

To wszystko jednak wiedza powszechna, wiele powieści i dzieł kultury z minionych epok zawiera przesłanie i prezentuje osoby i historie, które obecnie dzieją się już chyba tylko na Podlasiu czy innym Podkarpaciu. Natomiast od czego my mamy intelektualistów, jak nie

od tego, aby wskazywali nam pewne zjawiska, na które sami byśmy nie zwrócili uwagi?

Masz, bierz, sąd sądem, a
sprawiedliwość musi być po naszej stronie...



Otóż wyobraźcie sobie, iż zdaniem osobopisarki problemem „Dzieci z Bullerbyn” jest to, iż główni bohaterowie, a więc osobodzieci, mają szczęśliwe dzieciństwo. Rozumiecie: często pojawiają się informacje, iż ktoś jest szczęśliwy, komuś jest przyjemnie i miło, a co więcej – i co jest już w ogóle niedopuszczalne – nikt nikogo nie krzywdzi ani nie traumatyzuje.

Jakby się tak zastanowić, to rzeczywiście. To niezwykle szkodliwe, iż osobodzieci w szkole podstawowej czytają

historie o szczęśliwych rówieśnikach. Jak wiadomo, porządne współczesne osobodziecko powinno mieć za sobą

przynajmniej jedną terapię, na spanie brać barbiturany oraz posiadać osoby płodzące, które rozważałyby, czy nie warto jest przynajmniej wychowywać je neutralnie albo pójść na całość i zrobić korekcję płci.

W ogóle to naszym zdaniem powinna natychmiast powstać jakaś specjalna komisja złożona ze współczesnych intelektualistów, którzy tak wnikliwie i krytycznie oceniliby inne lektury, bo na przykładzie „Dzieci z Bullerbyn” aż strach jest pomyśleć, czego uczy współczesna szkoła i na jakie inne szkodliwe, nieprawdziwe treści narażone są osobodzieci. Szczerze przyznajmy, iż nie byliśmy świadomi, jaka jest skala zagrożeń. Warto by też było postąpić radykalnie, ale słusznie, i wycofać natychmiast ze

szkół wszystkie lektury napisane przed 2020 r. i zastąpić je współczesną prozą dla dzieci.

Prawdę mówiąc, nie wiemy, czy jest to kategoria obfitująca w tytuły, a nawet jeśli nie, to można przecież też nie dawać żadnych lektur. Jak sami widzicie – i tak niczego mądrego nie sposób się z nich dowiedzieć. Więc po co marnować czas młodych ludzi??? ©



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI
OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)**

PODSŁUCHANE

Jak Radzio

Mariusz, musisz mieć więcej luzu, jeśli chcesz być tym kandydatem.
Ale Jarku, ja mam dużo luzu.

Pokaż.

O, tak sobie chodzę na przykład.

Jak dla mnie, to chodzisz jak zawsze.

Nie, bo tak rękami macham, tak bardziej na boki. Poza tym skarpetki mam luzackie.

Pokaż. Ale co tu w nich luznego? Czarne, normalne. Chyba że bez gumki.

A nie, bo tu mają taki paseczek czerwony, ha!

Nie widać.

Bo spodnie zakrywają.

Te skarpetki to nie jest zły pomysł, ale pójdz w większą ekstrawagancję. Popatrz, jakie Radzio nosi.

No nie, ja aż tak szalony to nie jestem! © © **Łukasz Warzecha**

OD RZECZY

„Obrywają za uczciwość”.

TOMASZ LIS, publicysta, na portalu X po tym, jak Onet ujawnił, że zarówno wiceminister sprawiedliwości Arkadiusz Myrcha, jak i jego żona, posłanka Aleksandra Gajewska, pobierają dodatki na wynajem mieszkania w Warszawie

BLISKI WSCHÓD W OGNIU

Po zabiciu przywódcy Hezbollahu Hassana Nasrallaha i wielu innych dowódców tej organizacji Izrael przystąpił do bombardowań Libanu na potężną skalę. Izraelskie bomby i pociski spadły m.in. na przedmieścia Bejrutu. Tylko w nocy z czwartku na piątek w izraelskich nalotach na Liban zginęło co najmniej 37 osób. Łącznie przez ostatnie dwa tygodnie w izraelskich nalotach na Liban zginęło co najmniej tysiąc osób. Jednocześnie izraelskie wojska rozpoczęły ofensywę lądową na ten kraj. Wysoki Komisarz Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców (UNHCR) Filippo Grandi poinformował, że z powodu izraelskich ataków na Liban ok. 100 tys. osób zbiegło już do Syrii.

W odpowiedzi na zamordowanie przez Izrael Hassana Nasrallaha Iran wystrzelił w ubiegły wtorek na Izrael ponad 200 pocisków balistycznych i manewrujących. Władze w Tel Awiwie zapowiedziały w ubiegłym tygodniu, że irański atak „będzie miał konsekwencje”.

Analitycy ostrzegają, że tak blisko wojny regionalnej na wielką skalę jak obecnie Bliski Wschód nie był od ponad dwóch dekad. Premier Izraela Benjamin Netanjahu nie ukrywa, że chce wykorzystać osłabienie śmiertelnych wrogów swojego kraju i doprowadzić do gruntownej przebudowy Bliskiego Wschodu. Szef izraelskiego rządu na forum ONZ wezwał cały świat do zjednoczenia się przeciwko Iranowi oraz państwom „osi zła”. Netanjahu mianem tym nazywa nieformalny sojusz Iranu, libańskiego Hezbollahu, palestyńskiego Hamasu czy jemeńskich rebeliantów Huti. **(jap)** ©©

DUT FADEL ITANI/APPEAST NEWS



Dlaczego jestem wściekły na PiS



Rafał A. Ziemkiewicz

Prawo i Sprawiedliwość przez osiem lat nie zrozumiało za grosz, dlaczego wygrywało wybory parlamentarne i prezydenckie

Prawo i Sprawiedliwość zmarnowało wielką szansę, którą otrzymało od wyborców. W ciągu ośmiu lat rządów partia miała praktycznie wszystko: większość w obu izbach parlamentu, prezydenta, NIK, KRRiT i stworzoną w celu szybkiego przejścia mediów państwowych Radę Mediów Narodowych, Trybunał Konstytucyjny, KRS... Nikt po roku 1989 nie dostał w Polsce tak mocnego mandatu do rządzenia i nie miał w ręku tylu narzędzi sprawowania władzy.

A teraz, kiedy PiS stracił władzę, znalazł się, wraz z ludźmi, którzy na jego rządy postawili, nawet nie w punkcie wyjścia, ale grubo poniżej – bo zużył zasoby, zamiast je pomnożyć, i jeszcze stworzył wiele mechanizmów, których sam nie wykorzystał, ale pozostawił następcom do użycia przeciwko sobie. Najlepszym przykładem jest tu upolitycznienie wyboru sędziów PKW, skutkiem czego nowa większość odbiera teraz PiS finansowanie, choć sam przewodniczący PKW przyznaje jednocześnie publicznie, że nie ma do tego prawnych i faktycznych podstaw.

Wszystkie zmiany, które przez te osiem lat PiS wprowadził, okazały się łatwo odwracalne, bo wszystko wisiało na decyzjach partyjnej centrali, realizowanych poprzez instytucje państwowe i za pieniądze spółek Skarbu Państwa. Wystarczyło, że zmienił się rząd, i „obóz niepodległościowy” znalazł się w ciemnej zupie.

BEZ REFLEKSJI

Mało tego: partia, która tak koncertowo zmarnowała te osiem lat, odmawia jakiegokolwiek refleksji. Nawet tej najbardziej trywialnej, na poziomie rozliczenia w sferze politycznej technologii, źle poprowadzonej kampanii wyborczej,

błędnego rozeznania oczekiwań wyborców oraz „chciejstwa” kierownictwa partii, bo przecież te wybory nie musiały być przegrane, scenariusz „frekwencja 60 proc. i 215–225 mandatów” był realny, gdyby rządzący nie sprowokowali ogromnej mobilizacji przeciwko sobie. Inna sprawa, czy taka trzecia kadencja, skazana w każdym głosowaniu na przekupywanie różnych – mówiąc pars pro toto – „mejsów” i tym samym wtrącona w stan postępującego gnicia, byłaby dla Polski wiele lepsza niż obecna orgia zemsty, prawa „jak my je rozumiemy” i bezmyślnego niszczenia wszystkiego, co powstało po roku 2015, włącznie ze strategicznymi, prorozwojowymi inwestycjami infrastrukturalnymi.

Tym bardziej nie stać PiS, a myślę tu nie tylko o partii, lecz także jej szerokim zapleczu, na refleksję głębszą: nad przemianami społecznymi, które sprawiły, że po ćwierćwieczu „Polski Kiszczaka i Michnika”, „państwa jednej partii, jednej gazety i jednej telewizji”, jak nazwał trafnie RP okrągłostołową śp. Maciej Rybiński, większość aktywnych politycznie Polaków postanowiła dać szansę zmianie. I że owa większość swą decyzję kilkakrotnie zdecydowanie potwierdziła, wbrew wierze środowisk lewicowo-liberalnych, które nie chcąc przyjąć prawdy do wiadomości, stworzyły całe systematy jej wypierania i wmawiania sobie, że to wszystko było pomyłką, przypadkiem, chwilowym potknięciem (co zresztą zdeterminowało ich obecną postawę: zrobić „żeby znowu było, jak było”, głównie w sferze personaliów, a wszelkie problemy zniknąć).

Innymi słowy: PiS przez osiem lat nie zrozumiało za grosz, dlaczego wygrał wybory parlamentarne i prezydenckie w latach 2015, 2019 i 2020. Fakt, że nie rozumiały tego także PO i jej salony, daje nadzieję, ale sprawia, że tym bardziej jestem za okazywaną w ten sposób tępotę i brak społecznego słuchu na PiS wściekły.

Pominę tu pomniejsze powody tej wściekłości – ową warstwę, jak ją nazwałem, trywialną. Nie będę się rozwodził nad letalnym dla PiS skutkiem sformatowania w kampanii premiera Morawieckiego: zamiast, jak nakazywał rozsądek, wystylizować go na analog Tuska z czasów sukcesów PO (technokratyczny

■ dystans do polityki: ja tu buduję mosty i lotniska, likwiduję karuzele VAT i przekopuję Mierzeję, z ideolo to nie do mnie), zrobiono z premiera harcownika w rodzaju Dominika Tarczyńskiego, pokrzykującego o „bandzie ryżego”.

Nie będę darł szat, że w mediach państwowych zapomniano o żelaznej zasadzie, iż propaganda skuteczna jest tylko wtedy, gdy udaje, że jest czymś innym niż propaganda, i urządzono bezwstydną, nieustającą wiec poparcia dla PiS, co wszystko, co tam mówiono, skutecznie czyniło niewiarygodnym.

Nie będę pytał retorycznie, komu padło na mózg, żeby na sam koniec drugiej kadencji tworzyć sejmową komisję do zbadania tego, na badanie czego miało się osiem lat, i w ten sposób przekuć zapowiadającą się na żenadę i kompromitację imprezę ku czci „Joanny z Krakowa” w ogromny marsz przeciwko próbie uniemożliwienia Tusкови startu w wyborach. Wszyscy wiemy, „pod kogo” podejmowano te działania, i jest o czym rozmawiać, ale to potem. Skupmy się na najważniejszym.

ZMARNOWANA SZANSA

Najważniejsze jest to, że w roku 2015 Polacy dokonali przy wyborczych urnach czegoś w rodzaju odłożonej w czasie rewolucji, która powinna była odbyć się w roku 1990, ale wtedy została wspólnym wysiłkiem PZPR i Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie stłumiona.

Okrągłego Stołu, czyli, z grubsza biorąc, dzisiejszy obóz lewicowo-liberalny, kładli się Rejtanem i brutalnie rugali społeczeństwo (Homo sovieticus! Prymitywna żądza zemsty! Polowanie na czarownicę!), by zdeptać moralny odruch przywrócenia światu uczciwego porządku i zdroworozsądkowy odruch zabezpieczenia wolności przed komunistyczną recydywą. Symbolem tej postawy stały się słowa Tadeusza Mazowieckiego „przeszłość odkreślamy grubą kreską”, a przede wszystkim intensywna działalność Adama Michnika, który dwoił się i troił, by wszelkie „rachunki krzywd” z czasów sowieckiej dominacji przekreślić, domagających się sprawiedliwości zaś zgnoić.

Wszystkie hasła, które powinny były paść, a nie padły, po obaleniu autorytaryzmu i wyjściu z kraju okupantów, pojawiły się natomiast teraz, gdy przecież nie stało się nic specjalnego: ot, partia, która dwukrotnie wygrała wybory z samodzielną większością, straciła ją i nie znalazła koalicjantów, więc oddała władzę koalicji, która większość parlamentarną uciułała. Demokratyczna rutyna. I teraz, nagle, słyszymy o potrzebie „oczyszczenia”, „rozliczeń”, i to bez liczenia się z konstytucją i prawem – nawet tymi jego przepisami, które zostały ustanowione na długo przed rokiem 2015?

Dlaczego? Bo w roku 1989 mieliśmy, owszem, zmianę władzy, ale wciąż pozostała ona w obrębie tej samej elity, PRL-owskiej – mówiąc Milovanem Dži-

dominować nadal, stworzył był wtedy bardzo chwytliwy mit założycielski III RP, za co wdzięczna „nowa klasa” otoczyła go kultem bezprecedensowym i niepowtarzalnym. Opowiedział „inteligencji pracującej” i nomenklaturze dokładnie to, czego te łaknęły i potrzebowały: że nie tylko nie są niczemu winne, lecz także, że to one wywalczyły Wolność, swoją biernością – bo były jako te kamienie, po których schodziła czerwona lawina i które swym bezwolnym leżeniem (milczącą „odmową i niezgodą”) zmieniły jej bieg.

Ta opowieść, dowartościowująca umocnionych w PRL inteligentów, pozwoliła wczorajszym wyznawcom „sprawiedliwości społecznej” zmienić się z dnia na dzień w zelotów balcerowiczowskiego kapitalizmu i wysiadać z należytej chwały prawdziwych zwycięzców, a zarazem największych przegranych tego zwycięstwa: robotników, rolników, mówiąc krótko – lud. W michnikowym micie to nie Solidarność obaliła komunizm, tylko jej doradcy, i dlatego słusznie mieli oni prawo stanąć na czele postpeerelowskiej szlachty (o uwięzieniu Polaków we wzorcu „szlachta panująca nad pańszczyźnianymi” pisał świetnie Wańkowicz w „Kundlismie”, nie miejsce tu, by go obszerniej cytować), której lud ma słuchać. Bo jak nie, zostanie, jako „roszczeniowy”, poddany nieustającej „chłości śmiechu” i pedagogice wstydu.

WSZYSTKO, CO NAJGORSZE

To działało przez długi czas. Ale w końcu musiało przestać działać. Przystałoby nawet, gdyby Tusk nie porzucił pewnego dnia Polski i PO dla brukselskiej posady, zostawiając wszystko w rękach kompletnych politycznych nietotów; choć oczywiście jego ucieczka przyśpieszyła zmierzch. Lewicowo-liberalni „dziadersi”, pieszczący w myślach wspomnienie złotego wieku, czasów prezydentury Kwaśniewskiego, wmówili sobie, że ten ich raj utracony padł ofiarą jakiegoś najazdu barbarzyńców – „populistów”.

Prawda jest inna: „Polska Kiszczaka i Michnika” wydobyla z tej postpeerelowskiej elity, nowej szlachty, nazywającej samą siebie inteligencją i wykupującą idące wtedy w setki tysięcy egzemplarzy nakłady „Gazety Wyborczej” i „Nie”, wszystko, co najgorsze. Z jednej strony – krańcową nieudolność w sprawach prak-

W roku 1989 mieliśmy zmianę władzy, ale wciąż pozostała ona w obrębie tej samej elity, PRL-owskiej.

Ta elita zakwestionowana została dopiero w roku 2015

Zwracam uwagę na kluczowy dla zrozumienia polskiej sytuacji paradoks: w roku 1990, gdy odrzuciliśmy obcą, sowiecką okupację i rządy autorytarne, byłoby najoczywistszą rzeczą pod słownym żądą oczyszczenia kraju ze struktur i sitw obalonego reżimu i wtedy właśnie mówić, że konieczność restytucji polskiej niepodległości zwalnia z literalnego przestrzegania prawa, które narzucili nam okupanci i ich kolaboranci. Jak wiemy, nic takiego wtedy nie nastąpiło: wręcz przeciwnie. Liderzy „strony społecznej”

lasem – „nowej klasy”, nomenklaturowo-inteligenckiej. Ta elita zakwestionowana została dopiero w roku 2015. I teraz, po ośmiu latach, próbuje ona poprzez „rozliczenia” i „oczyszczanie” restaurować swą dawną dominację, tak jak wypędzeni przez rewolucję arystokraci francuscy próbowali restaurować „ancien régime” po wypędzeniu Napoleona (dlaczego nie może się to udać, to temat na inną rozmowę).

Adam Michnik, by uzasadnić, dlaczego ci, którzy dominowali w PRL, powinni

Gdyby PiS dał swobodę robienia karier, gdyby „puknął” blokujące aspiracje korporacyjne elity i układy, gdyby dał nowy mit założycielski – rewolucja dokonałaby się w pełni i po lewicowo-liberalnej „szlachcie” pozostałby do dziś tylko brzydki zapach

tycznych, wręcz pogardę dla zajmowania się nimi, nieumiejętność dopilnowania nawet własnego folwarku. III RP była krainą wielkiego, bezkarnego szabru i ogólnej niemożności – przypomnijmy tylko jeden fakt, że w ostatnim roku rządów PO jedna trzecia (!) paliw lana była do baków poza akcyzą i VAT. Z drugiej, nałożyła się na to nuworyszowska, bezbrzeżna i z lubością manifestowana na każdym kroku pogarda jasnie państwa dla „starszych, gorzej wykształconych i z mniejszych ośrodków”.

Porządek pomagdałenkowy, spektakularnie przez Polaków odrzucony w 2015 r. wraz z „prezydentem naszej wolności”, który nieopatrznie zmienił te wybory w plebiscyt nad ćwierćwieczem III RP, opierał się na podwójnym wykluczeniu. Z inteligenckich elit wykluczono tę ich mniejszościową część, która hołdowała światopoglądowi katolickiemu, patriotyzmowi i tradycji. Z życia publicznego zaś – „roszczeniowe” masy, które „nie poradziły sobie w transformacji” i dla których jedyną ofertą ze strony rozbezczelnionych elit było, żeby już wymarły „jak dinozaury”. Było kwestią czasu, kiedy te dwie grupy się połączą. Tak wyrosła siła PiS, owe 30–35 proc. wyborców, siła mniej więcej równoważna „szlachcie” inteligencko-nomenklaturowej. Dużo, ale za mało, by ją pokonać.

O zwycięstwie zadecydowali Polacy politycznie indyferentni, pozbawieni poczucia wspólnoty – ci, których nazywałem „polactwem”, a którzy w dawnej endeckiej publicystyce definiowani byli jako „żywiol narodowy”: instynktowna wspólnota niebędąca jeszcze narodem, bo nieświadomą sobie politycznych wspólnych interesów, i wymagająca „spolityzowania”. Ta grupa w 2007 r. poparła masowo PO, a w 2015 r. równie masowo zwróciła się ku PiS. W obu wypadkach z tego samego powodu: bo chce się rozwijać, żyć lepiej, awansować, prosperować. A PO – obiecująca to

w 2007 r. dzięki „Europie”, na delegaturę której się wykreowała – obietnicy nie dotrzymała.

PiS dostał szansę, którą zmarnował, bo nie zrozumiał sensu rewolucji roku 2015. „Polactwo” odwróciło się od III RP, bo oznaczała ona władzę zadowolonych z siebie sitw, okupujących górę społecznej hierarchii i blokujących ludziom awans. Chciało więc rozbicia tych sitw, chciało móc budować sobie lepsze życie. Gdyby PiS dał im wtedy swobodę robienia karier, gdyby tylko „puknął” skutecznie blokujące aspiracje korporacyjne elity i układy, a potem się wycofał, gdyby dał nowy mit założycielski, prosty, narzucający się: „Wzbogacimy się, dogonimy Zachód, Polak potrafi” – rewolucja dokonałaby się w pełni i po lewicowo-liberalnej „szlachcie” pozostałby do dziś tylko brzydki zapach.

Ale na Nowogrodzkiej kombinowano inaczej, mniej więcej tak: jest nasz żelazny elektorat, jest ich żelazny elektorat, oba tak po jednej trzeciej – te elektoraty są tożsamościowe i tu się nic w najbliższych kadencjach nie zmieni. A ci „nieżelazni” to, jak mówiono w rewolucji francuskiej, „bagny”, ludzie bez przekonań, którzy lecą na kasę i my ich sobie będziemy kupować.

ŁUDZIE NIE CHcieli BYĆ „DZIADAMI”

Niepojęte, jak bardzo PiS zdemoralizował się swoim największym sukcesem, którym był program „500+”. Tyle z tego sukcesu zrozumiał, że wystarczy rozdawać polactwu gotówkę – i już, mamy polityczne perpetuum mobile. Było to nie mniej przepojone inteligencką pogardą jak michnikowe elukubracje o „roszczeniowości”. A „lud” natychmiast wyczuwa, kiedy się nim gardzi, choć karze za to dopiero, gdy mu się wymierzenie kary skalkuluje.

„Zwykli Polacy”, o których tyle PiS mówił, a nie próbował ich wcale zrozu-

mieć, mają swoją godność i oczekują jej uszanowania. „500+” przyjęli z radością, bo było aktem jednorazowego przywrócenia im tej godności, której przez ćwierć wieku III RP im odmawiała. Wyrównywało doznane krzywdy. Nie chodziło o tych kilka stówek więcej w portfelu. Chodziło o symbol, o przyznanie przez państwo: nie, nie jesteście ludzkim śmieciem, który „nie poradził sobie w transformacji” i robi elitom obciach przed Europą. Współtworzyliście polski sukces i należy wam się udział w nim.

Natomiast kolejne „plusy” zaczęły, mówiąc potocznie, robić z tych ludzi dziadów. A „zwykli Polacy” nie chcieli być dziadami, ciągle obdarowywanymi przez rządzących łaskawców. Chcieli, by im pozwolono dorabiać się, awansować. Tymczasem PiS z jednej strony mnożył i doprowadzał do absurdu obietnice kolejnych datków – na posiłki w szpitalach, na szyby na klatce schodowej, na Bóg wie co jeszcze – a z drugiej tym, którzy zaczęli się dorabiać, przywalił jak młotem w łeb Polskim Ładem i składką zdrowotną, w ogóle założeniem, że kto zarabia powyżej 6 tys. miesięcznie, ten jest podejrzanym. Głupiej doprawdy nie było można: mnożenie rozdawnictwa zniechęciło i samych obdarowywanych i zmobilizowało wielkomiejskich wyborców aspirujących do „klasy średniej”, zdeterminowanych, by przeszkodzić władzy w rozdawaniu swojej wyborczej klienteli pieniędzy z ich podatków.

Jednym z najbardziej brzemiennych w skutki błędów było obwieszenie Polski billboardami ogłaszającymi triumfalnie „załatwienie” Polsce 750 mld zł z KPO – wyłącznie na podstawie luźnej, niezobowiązującej obietnicy. Na poziomie trywialnym znaczyło to tyle, że PiS sam założył sobie na szyję postronek, a drugi jego koniec wręczył Timmermansowi, Jourovej et consortes. Od tego momentu rząd i prezydent musieli spełniać kolejne warunki, które stawiali im nieustająco odwlekający obiecaną wypłatę eurokraci po to, by po ich spełnieniu stawiać następne, a ostatecznie, mimo dokonanej pod ich dyktando demolki reformy sądów i „kamieni milowych”, i tak niczego „pisowcom” nie dali.

Jeszcze gorszą katastrofą była ta sprawa na poziomie decydującym,

■ narracyjnym. Niepojęte, że demonstracyjnie zachwycając się Orbánem, Klub „Gazety Polskiej” organizowały przecież nawet doroczne pielgrzymki poparcia do Budapesztu – PiS tak dokumentnie nic nie zrozumiał z jego sukcesu. W sprawie KPO np. Orbán, przejrawszy grę Brukseli, powiedział swojemu narodowi jasno: dadzą nam te pieniądze, dobrze, nie dadzą – pies ich jechał, nasz sukces leży w naszych rękach, nie w jałmużnie Brukseli.

Tymczasem PiS odwrotnie, zamiast budować narrację polskiego sukcesu, wpisał się w narrację ćwierćwiecza „Polski Michnika i Kiszcza”, że kluczem naszej lepszej przyszłości jest załatwienie kasy z Brukseli. Tym samym całkowicie odebrał sobie w oczach Polaków legitymizację: bo skoro tak, to lepiej jednak mieć u władzy Tuska, który zawsze się Unii podliże o tę kasę skuteczniej niż Kaczyński, którego w Brukseli nie lubią i już.

W polityce, czego na Nowogrodzkiej wyraźnie nie rozumiano, pewne posunięcia liczą się bardziej jako symbole niż jako konkretne fakty. „500+” nie było jedynym takim symbolem. Również nie-szczęсна „piątka dla zwierząt”, od czego zaczęła się trwała erozja elektoratu PiS, który nigdy potem już nie wrócił do dawnych 40–45 proc. Konkretnie uderzała one w interesy wąskich branż i wydawało się rządzącym, że uda się im wyizolować „futrarzy” czy eksporterów „halalu”, że nie są prawdziwymi rolnikami, tylko bogaczami, „biznesmenami”. Symbolicznie jednak „piątka” była uderzeniem w wieś jako taką, bo partia uważana tam za swoją, nagle podpisała się pod agendą skrajnej lewicy, owej uciążliwej smarkaterii i establishmentowych mediów, tresujących rolników, że niszczą klimat, torturują zwierzęta i żelaznymi pługami ranią matkę Gaje, która z tego powodu płacze.

Także wyrok Trybunału Konstytucyjnego wykluczający przesłankę eugeniczną do aborcji oddziałł jako symbol – z winy rządzących, bo po głupiej chryi „rekonwalidowania” wyboru sędziów TK na początku rządów (jak bardzo było to niepotrzebne i z jak niskich pobudek płynęło, pisałem na tych łamach wiele razy) nikt nie wierzył, że wyrok zapadł sam z siebie, a nie na polecenie Jarosława

Zamiast wystylizować Mateusza Morawieckiego na analog Tuska z czasów sukcesów PO, zrobiono z premiera harcownika w rodzaju Dominika Tarczyńskiego FOT. SZYMON PULCYN/PAP



Kaczyńskiego. Odebrano go więc jako wyraz arogancji rządzących starców, którzy chcą arbitralnie decydować o życiu intymnym obywateli.

Polactwo nie chciało żyć z zasiłków, choćby najhójniejszych, chciało awansować, odsuwać zasiedziały elity i samemu je zastępować. PiS niby rozumiał potrzebę wymiany elit, ale umyślił sobie, że te nowe elity stworzy ze swego partyjnego aparatu i z partyjnej nominacji. Wzorcowym przykładem katastrofy, do której to doprowadziło, jest klęska zmian w wy-

miarze sprawiedliwości. Na stole był projekt, by wybór KRS powierzyć ogółowi sędziów. To by wystarczyło, energia młodych prawników, blokowanych przez stare siły, wysadziłaby szybko wszystkich Żurków i Markiewiczów w powietrze. Ale co wtedy? PO straciłaby wprawdzie kontrolę nad sędziami, ale PiS by jej nie zyskał; nie o to chodziło. Wybrano więc wojnę z „kastą” jako całością i próbę wzięcia jej po całości pod polityczny nadzór, siłą rzeczy jednocząc ją przeciwko sobie.



narzucał – uwierzył w „przebudzenie” Polaków do tradycyjnego, romantycznego patriotyzmu, takiego, któremu hołduje najbardziej żelazny elektorat. „Przebudzenie” (warto przypomnieć „formacyjny” film Joanny Lichockiej pod tym tytułem) miały przynieść narracja o „poległych pod Smoleńskiem” i dopisanie Lecha Kaczyńskiego do panteonu narodowych herosów, obok Kościuszki, Traugutta i Piłsudskiego.

To się nie mogło udać. Po pierwsze, Polacy nie potrzebują żadnego „przebudzenia”. Polacy nie śpią, na litość! Polacy od 30 lat uwijają się jak przysłowiowy jednoręki tapeciarski, żeby związać koniec z końcem, i robią to tak skutecznie, że staliśmy się – według obiektywnych danych Davos – najlepiej rozwijającym się państwem świata w ostatnim 30-leciu.

Jeśli wciąż brak polactwu poczucia wspólnoty, która by z żywiołu narodowego zmieniała je w świadomy swych interesów i wartości naród, to nie jego wina, tylko elit, które żyją w swoim odklejonym światku. Te pisowskie, jak się okazało niestety, nie mniej odklejonym niż te lewicowo-liberalne.

Tu nawet nie chodzi o to, jak naciągane są „dowody” zamachu prokurowane przez Macierewicza; wszyscy wiedzą, że zamach „musiał” być nie dlatego, że są dowody, że był, tylko dlatego, że bohater narodowy po prostu nie może zginąć z powodu bałaganu i splotu przypadków. Mit smoleński był jednak dysfunkcyjny w samym pomysle. Pamiętam spotkanie w Klubie Ronina, krótko po tragedii, z udziałem Wawrzyńca Rymkiewicza i jeszcze jednego filozofa, którzy świetnie rozebrali tę tragedię pod kątem kulturowych archetypów. Jednym z podstawowych powodów, dla których, od razu to mówili, mitu nie da się zbudować, jest to, że heros musi umrzeć, a tymczasem Lech Kaczyński umarł dla Polaków tylko połowicznie, gdyż żyje nadal w bracie bliźniaku, aktywnym polityku. Żywego, aktywnego polityka zaś skutecznie zmitologizować się nie da.

Na dodatek PiS pogwałcił jedno z najsilniejszych tabu naszej kultury: archetyp żałoby. Żałoba jest momentem świętym dlatego, że jest ograniczona w czasie. Zmarłym oddajemy, co im należy, i wracamy do normalnego życia.

Rozmieszczenie wielkiego społecznego wstrząsu na ciągnięte w nieskończoność „miesięcznice” (właściwie dlaczego „miesięcznice”, równie dobrze jak 10. każdego miesiąca można było przecież celebrować każdy wtorek?) odebrane zostało jako nadużycie, a kiedy w końcu ogłoszono ich zakończenie, okazało się, że tylko zamieniono marsze na rytuał comiesięcznego składania kwiatów pod warszawskim pomnikiem. Aż ostatecznie to, co miało być wielkim, narodowym przebudzeniem, przerodziło się w żalosną przepychankę z polityczną żulią nasyłaną przez PO. Widok prezesa największej partii opozycyjnej, regularnie szarpiącego się o wieniec z koszmarnym patusem i starą wariatką, to nieopisana żenua i nie ma w całym PiS takiego odważnego, który by to wreszcie prezesowi uświadomił.

PiS dostał niepowtarzalną szansę, bo Polacy marzyli o rozbiciu blokujących ich sił. Zamiast je jednak niszczyć, próbował zastąpić swoimi. Marzenia o rozwoju sprowadził wyłącznie do wielkich państwowych inwestycji, nowych Gdyń i COP-ów, osobiste bogacenie się i sukces poza partią traktując z niechęcią i karząc wysoką daniną podatkową. I zamiast budować patriotyzm na świadomości wspólnych interesów (bo ojczyzna to nie sztandary i wzruszenia, tylko wielki, wspólny biznes wszystkich obywateli!), sięgnął po romantyczną naftalinę i żałobne pienia. Można by dłuższą tę listę, ale wszystkie punkty na niej wiodą do jednego wniosku: rewolucja, która dokonała się przy urnach w roku 2015, została przez jej beneficjenta, PiS, zdradzona. Zamiast trybunem innego porządku okazał się on ostatecznie w oczach polactwa taką samą ferajną wszystko-wiedzących-lepiej i wszystko-chcących-kontrolować mędrków, jak michnikowszczyzna. Stąd rozpaczliwe postawienie przez polactwo na klauna z TVN i spowodowana tym czkawka historii – powtórka nieudolnych rządów Tuska i jego sił sprzed 2015 r.

Jedyna myśl, na którą w tej sytuacji potrafi się zdobyć PiS, to: czekajmy. Żadnych zmian. Żadnej refleksji. Tusk się skompromituje i z braku laku ludzie znowu dopuszczą do władzy nas, byle zadbać, by nie mieli żadnej alternatywy.

Naprawdę, widząc to, trudno się nie wściekać.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Tak było wszędzie. Zamiast umożliwić ludziom nieskrępowaną działalność, awans, rozwój – PiS przede wszystkim starał się objąć każdą dziedzinę kontrolą partii. Zamiast po prostu pozwolić im się bogacić, starał się wszystko podporządkowywać rządowi.

DYSFUNKCYJNY MIT SMOLEŃSKI

Największy błąd popełnił jednak PiS w sferze mitów i symboli. Zamiast szukać dla IV RP nowego mitu założycielskiego – który, jak napisałem, wręcz się po 2015 r.



**Z Marcinem Warchołem, politykiem Suwerennej Polski,
byłym ministrem sprawiedliwości**
rozmawia Ryszard Gromadzki

Prawa w Polsce już nie ma, **jest anarchia**



których autorzy dostali potem intratne stanowiska w spółkach Skarbu Państwa. To był zamach na prokuraturę, na bezpieczeństwo państwa i wszystkich obywateli.

Prawa w Polsce już nie ma, jest anarchia. Mówię to z wielkimi obawami o przyszłość jako profesor prawa, wykładowca akademicki i były minister sprawiedliwości. Jeżeli prawo w Polsce nie obowiązuje już rządzących, to trudno oczekiwać, żeby zwykli obywatele mieli szacunek dla prawa. Skutki tego będą opłakane, zagrażają całemu państwu i wszystkim obywatelom.

Po zignorowaniu przez rząd uchwały Sądu Najwyższego potwierdzającej skuteczność powołania prokuratora Barskiego na stanowisko prokuratora krajowego można odnieść wrażenie, że także Sąd Najwyższy nie jest już w Polsce potrzebny.

Rządzący dla swoich doraźnych interesów partyjnych i osobistych jednych sędziów kwestionują, a innych akceptują. Europosłanka Koalicji Obywatelskiej Kamila Gasiuk-Pihowicz, Grzegorz Napieralski czy Waldemar Żurek, gdy chodziło o ich sprawy rozwodowe, to uznali sędziów wybranych przez demokratyczną Krajową Radę Sądownictwa po 2018 r. Pani Gasiuk-Pihowicz nie złożyła wniosku o wyłączenie takiego sędziego w jej prywatnej sprawie cywilnej, podobnie pan Napieralski czy sędzia Żurek. Ale w innych sprawach, politycznych, już kwestionują takich sędziów.

Albo weźmy przykład prokuratora Dariusza Korneluka, który bezprawnie jest nazywany prokuratorem krajowym – zapowiadał w mediach, że zastosuje się do uchwały Sądu Najwyższego, jakakolwiek ona będzie. Ale gdy okazała się być nie po jego myśli...

... prokurator Korneluk słowa nie dotrzymał.

To modelowy przykład zakłamania, którym oni się kierują. Zwrócę uwagę na jeszcze jeden aspekt. Kierownictwa prokuratury zawnioskowały do sądów o zawieszenie spraw z zakresu prawa pracy prokuratorów, którzy byli zwalniani ze swoich stanowisk po zamachu na prokuraturę w styczniu tego roku. Bardzo wielu zdegradowanych prokuratorów wystąpiło wtedy do sądów pracy. Co zrobiły sądy? Na wniosek nowego kierownictwa prokuratury pozawieszały te procesy do czasu wydania uchwały

przez Sąd Najwyższy. Ten stan aprobowala neoprokuratura.

Uchwała jest, ale teraz się okazuje, że prokuratury już nie obowiązuje. Gdyby uchwała była po ich myśli, oczywiście zostałaby zaakceptowana. To tak, jakby warszawiacy, którzy nie zagłosowali na prezydenta Trzaskowskiego, postanowili np. nie płacić za parkomaty. Bo nie uznają wyników wyborów i wszystkich decyzji Trzaskowskiego. To absurd, ale niestety tak właśnie postąpili teraz prokuratura i minister Adam Bodnar.

Nie sądzi pan, że zdecydowaną większość Polaków te prawnicze spory i przepychanki na górze mało obchodzą? Ludzie ich nie rozumieją i traktują jako jeszcze jeden przejaw „wojny na górze”, wyabstrahowanej z ich codziennych spraw.

Rzeczywiście te spory toczone gdzieś daleko w Warszawie mogą wydawać się abstrakcyjne dla przeciętnego obywatela. Ale do sądów, nie tylko karnych, lecz także pracy, rodzinnych czy cywilnych, trafiają zwykli obywatele i szybko może się okazać, że te spory bardzo mocno ich dotyczą. Przede wszystkim poprzez zakwestionowanie sędziów orzekających w danych sprawach czy prokuratorów biorących w nich udział.

Rządzący dla swoich doraźnych interesów jednych sędziów kwestionują, a innych akceptują

Istotą uchwały Sądu Najwyższego jest uznanie, że wszystkie czynności podejmowane przez neoprokuratorów są nieważne. Dla Kowalskiego, który ma spór w sądzie, gdzie występuje prokurator – może to być sprawa karna, administracyjna czy cywilna – oznacza to, że czynności podejmowane przez nominatów tych neoprokuratorów są nieważne. Czyli proces do powtórki, kolejne pieniądze, kolejne lata. Adwokat jednej czy drugiej strony takim wnioskiem formalnym jest w stanie unieważnić cały proces. Ludzie muszą zacząć zdawać sobie z tego sprawę.

A jest też inny, równie ważny aspekt tej sytuacji – jeżeli kwestionowani sędziowie wybrani po 2018 r., a oni stanowią

RYSZARD GROMADZKI: Sprawa prokuratora Dariusza Barskiego to dowód, że w polskim wymiarze sprawiedliwości panuje całkowita anarchia?

MARCIN WARCHOŁ: Niestety tak. Mamy do czynienia z lekceważeniem podstawowych zasad porządku prawnego i bezpieczeństwa, bo prokuratura jest jednym z filarów państwa. Bezprawna zmiana konstytucyjnego porządku stanowi zamach stanu opisany w art. 127 § 1 Kodeksu karnego i tego rządząca ekipa dopuściła się w styczniu tego roku. Zgodnie z art. 14 ustawy Prawo o prokuraturze do zmiany prokuratora krajowego potrzeba pisemnej zgody prezydenta. Ekipa Tuska obaliła legalnego prokuratora krajowego Dariusza Barskiego na podstawie opinii prawnych pisanych na polityczne zamówienie,

■ już prawie jedną trzecią wszystkich sędziów w Polsce, zostaną zmuszani do podpisania „lojalki” wobec nowej władzy, złożenia takiego „czynnego żalu”, to staną się „sędziami na telefon” rządzących, całkowicie od nich zależnymi.

Wyobraźmy sobie obywatela, który toczy w sądzie spór z władzą, np. z Ministerstwem Sprawiedliwości, i trafi na sędziego, który podpisał „lojalkę” Adamowi Bodnarowi. Jakiego wyniku procesu możemy się spodziewać? Dlatego te spory nie są sporami abstrakcyjnymi, „warszawskimi” – to jest niezwykle ważny problem dla każdego z nas.

Skąd bierze się ta szczególna zjadliwość Donalda Tuska i Adama Bodnara w zwalczaniu środowiska politycznego Suwerennej Polski?

To efekt zapaści, w którą ekipa Tuska pogrążyła Polskę. Ten rząd nie dotrzymał żadnej obietnicy wyborczej, z wyjątkiem udostępnienia dzieciom pigułek wcze-

Nasze środowisko polityczne jest aktywne medialnie. Mamy wysokie zasięgi w mediach społecznościowych, które odgrywają dziś pierwszoplanową rolę w informowaniu opinii publicznej o tym, co się dzieje w kraju. Tusk chce zagłodzić główną partię opozycyjną, stąd decyzja PKW o odebraniu subwencji PiS. Przeciwnicy jego rządu mają trafiać do aresztów i więzień. Trwa polowanie na polityków opozycji. Szczególnie tych, którzy mają odwagę mówić o tym, co się w naszym państwie wyprawia pod rządami Tuska. Nie mam wątpliwości, że mamy dziś do czynienia z największym niebezpieczeństwem dla Polski po 1989 r.

Czy jednak skarzenie się w Brukseli na to, że rząd Tuska łamie konstytucję i praworządność, nie kompromituje polityków prawicy, którzy mają się takich kroków? Przecież dokładnie to samo robiły Platforma i Lewica, kiedy rządził PiS. Poza tym

Skala łamania prawa przez Tuska jest tak gigantyczna, że zaskakuje to nawet jego mocodawców w Europie. Oczywiście nie można mieć złudzeń, że wytoczą teraz przeciw niemu ciężkie działa. Jednak musimy zadbać o to, by im stale przypominać, kogo nam tu przysłali

snoporonnych i umożliwienia dokonania aborcji na życzenie gwarantowanej wytycznymi prokuratora, czyli niezgodnej z konstytucją. Z drugiej strony jest gigantyczna fala zwolnień i podwyżek cen energii, a zbliża się zima, nie ma też paliwa po 5,19 zł i kwoty wolnej od podatku. Rząd nie zdał egzaminu powodziowego – pierwszy test kryzysowy oblał z kretesem.

Tusk już wie, że nie wygra kolejnych wyborów. Ani prezydenckich, ani parlamentarnych. Ludzie nie podarują mu degeneracji państwa, do której doprowadza. Jedyną szansą utrzymania się przy władzy jest dla niego powsadzanie do więzień oponentów politycznych i zdeformowanie systemu władzy w kierunku reżimu autorytarnego czy wręcz totalitarnego.

Czyli polowanie na polityków Suwerennej Polski będzie trwało. Władza będzie stawiała na głowie, żeby dopaść Romanowskiego czy Ziobrę.

można z góry przewidzieć, że skargi na unijnych forach na rząd Tuska nic nie przyniosą. Więc po co się upokarzać?

Tyle że skala łamania praw przez Tuska jest tak gigantyczna, że zaskakuje to nawet jego mocodawców w Europie. Oczywiście nie można mieć złudzeń, że wytoczą teraz przeciw niemu ciężkie działa. Jednak musimy zadbać o to, by im stale przypominać, kogo nam tu przysłali, i po to, by nie mogli już ukryć głębokich rys na wizerunku Tuska, salonowego Europejczyka i rzekomo nieskazitelnego demokraty.

Wszyscy widzieliśmy ks. Michała Olszewskiego, więźnia politycznego, zagłodzonego i wyniszczzonego, a z drugiej strony ruskiego agenta Rubcowa w świetnej formie wyjeżdżającego do Moskwy. Witanego z otwartymi ramionami przez Putina, z wiedzą podaną na złotej tacy z akt udostępnionych mu bezprawnie przez neoprokuratorów Bodnara. Niech Unia także się o tym dowie.

Ostatnio mieliśmy spotkanie z Komisją Wenecką, opisaliśmy im to wszystko, co dzieje się w prokuraturze, czystki w sądach. O większości tych spraw nie mieli pojęcia, nie kryli zdziwienia. Tusk w swoich działaniach coraz bardziej upodabnia się do Łukaszenki czy Putina, a to nie przystaje do standardów obowiązujących na Zachodzie. Na razie zatykają nosy i go tolerują. Ale to może się szybko zmienić.

Suwerenna Polska ma się wkrótce połączyć z Prawem i Sprawiedliwością. Nie wszystkim w PiS ten pomysł się podoba. Zdecydowanie przeciw fuzji wypowiedział się Michał Dworczyk, były szef kancelarii premiera Morawieckiego. Obarczył on Suwerenną Polskę odpowiedzialnością za przegrane wybory w ubiegłym roku. Jak pan odebrał jego wypowiedź?

Przyjdzie czas na odniesienie się do tych słów. Nie chciałbym dawać prezentu Tusкови. Wobec jego totalitarnego reżimu dzisiaj potrzebujemy jedności. W obliczu zbliżających się wyborów prezydenckich powinniśmy przede wszystkim szukać współpracy. Nie ma teraz ważniejszej sprawy...

Czy wypowiedź Dworczyka nie jest echem konfliktu między Mateuszem Morawieckim a Zbigniewem Ziobrą? Ten spór dotyczył przede wszystkim polityki wobec Unii Europejskiej.

To była różnica poglądów o charakterze ideowym. Zbigniew Ziobro zawsze przestrzegał przed zagrożeniami ze strony Brukseli, które niestety nas dotknęły. Potwierdziły się nasze ostrzeżenia. Jednak dzisiaj nie chodzi o to, żeby przetrząsać się tym, kto miał rację. Polityka wymaga przede wszystkim skuteczności. A skuteczność możemy pokazać tylko koło przez zjednoczenie i mobilizację całego obozu patriotyczno-niepodległościowego przed przyszłorocznymi wyborami prezydenckimi. Musimy razem sięgnąć po zwycięstwo, bo te wybory są najważniejsze po 1989 r.

Na kogo w tych wyborach postawi Suwerenna Polska?

Na polityka mądrego, bezkompromisowego i odważnego. Czasy są bardzo niebezpieczne i trudne. To musi być człowiek, który będzie potrafił przeciwstawić się zagrożeniom czyhającym na Polskę. Tym zewnętrznym i tym wewnętrznym.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Premier w środku alkotubki



Łukasz Warzecha

Afera z alkotubkami pokazała, że standardy w Polsce tępnęły do poziomu białoruskiego



FOT. WOJCIECH OLUSZAK/EAST NEWS

Mówiąc o putinadzie, Jacek Żakowski miał na myśli narady pana premiera odbywane przed kamerami z ministrami i szefami służb w związku z powodzią. Skojarzenie jak najbardziej słuszne, podobnie jak słuszna była ocena, że państwo w ten sposób działać nie powinno. Redaktor Żakowski nie przewidział jednak, że ta putinada zostanie wzniesiona na kolejny poziom za sprawą wydarzenia z pozoru banalnego, ale mówiącego bardzo wiele o tym, jak działa Polska pod rządami Koalicji Obywatelskiej, oraz czego od państwa oczekuje spora część Polaków: awantury o wódkę w tubkach. Tu bez wielkiej przesady możemy mówić o obniżeniu standardów do poziomu białoruskiego.

To wydarzenie pokazało jasno, jak trafna jest diagnoza, że obecna władza przejęła wszystkie patologie poprzedniej – wśród których była również chorobliwa aktywność państwa – i podniosła je na nowy poziom. Ważny jest punkt odniesienia. PiS również potrafił proponować działania poniżej standardów państwa prawa, jak wówczas, gdy planowano zlikwidować hodowlę zwierząt futerkowych w bardzo krótkim czasie i bez odszkodowania. Tyle że mimo wszystko wtedy chciano to ująć w formie ustawy i odpowiednich procedur – jakkolwiek pogwałcających prawo własności i naruszających poważnie poczucie pewności prawa. Mimo wszystko nie była to sytuacja tak drastyczna jak obecna.

Donald Tusk powrócił w swojej doskonale znanej postaci: „Donald się wściekł”. Wielu osobom jego płomienna internetowa deklaracja na temat tego, że „alkohol w tubkach nie przejdzie”, przypomniła inne skrajnie populistyczne działania obecnego szefa rządu w przeszłości. W 2008 r. ówczesny premier grzmiał: „Jestem po rozmowie także z przedstawicielami resortu sprawiedliwości, Rządowego Centrum Legislacji; w ciągu kilkunastu dni [będą] tego typu zmiany w Kodeksie karnym, ale także organizacyjne zmiany, jeśli chodzi o utworzenie takiego centralnego ośrodka do leczenia przymusowego pedofilów, którzy popełnili zbrodnie”. Zmiany miały oznaczać chemiczną kastrację pedofilów już po odbyciu przez nich kary. Pan Tusk zapowiadał wtedy

„najbardziej represyjny i rygorystyczny zapis wobec zbrodniarzy, którzy gwałcą dzieci”. Jak wiadomo, skończyło się na pokrzykiwaniach.

Tamta sytuacja mocno przypomina tę aktualną, szczególnie że ważnym jej elementem były emocje. Donald Tusk sam mówił 16 lat temu: „Nie znam nikogo, kto mówiłby o takich sprawach bez emocji”. Teraz na posiedzeniu rządu mówił o alkohtubkach, że te budzą „wielkie i zrozumiałe emocje”. Mamy zatem do czynienia z najbardziej esencjonalnym populizmem, który nie tylko na emocjach – z zasady wykluczających rozum – gra, lecz także nawet otwarcie się do nich odwołuje.

Żeby jednak zrozumieć, dlaczego obecna sytuacja jest znacznie gorsza niż propozycje chemicznej kastracji pedofilów czy później – równie „skuteczna” – walka z dopalaczami, trzeba przypomnieć sekwencję zdarzeń.

JAK TO SIĘ ZACZĘŁO

Najpierw pojawiły się informacje – a pamiętajmy, że takie rzeczy na ogół nie pojawiają się w mediach przypadkowo – że jeden z producentów wprowadził do obiegu wysokoprocentowy alkohol w plastikowych opakowaniach, które miały przypominać tubki z musami owocowymi dla dzieci. W Internecie zaczęli się oburzać moralizatorzy i zawodowi aktywiści, którzy z walki z rzekomym polskim alkoholizmem zrobili sobie sposób na życie. Mechanizm internetowych kampanii, świetnie znany specjalistom, jest taki, że za „kreatorami opinii” idzie masa, zwykle całkowicie bezmyślnie, kierując się tylko emocjami unoszącymi ich na fali moralnej wyższości. W tej sprawie potencjał był bezsprzeczny: kto nie chciałby się poczuć przez chwilę lepszy, piętnując złego kapitalistę żerującego na dzieciach? Bo tak była ta sytuacja przedstawiana. Szybko zatem wytworzył się internetowy popyt na polityczną reakcję.

Ta reakcja nastąpiła. Z wyrazami potępienia wyskoczył szybko pan marszałek Szymon Hołownia, który jednak w dalszym ciągu afery nie odegrał większej roli. Mimo że ostatecznie chciał sobie przypisać w tej kwestii sukces.

Jeszcze mniej skuteczna okazała się próba podpięcia się pod aferę przez byłego premiera Mateusza Morawieckiego,

go, który nagrał film, w którym sytuację nazwał „skandalem”. Niestety, internauci zwrócili głównie uwagę na nieestetyczną opiętą koszulkę byłego szefa rządu.

Wkrótce zaś na portalu X pojawił się „wściekły”, odpowiednio nastroszony pan Tusk, który z marsowym czołem wygłosił złowrogi występ. – Alkohol w opakowaniach, które przypominają tubki z musami owocowymi dla dzieci. Nie, ten numer u nas nie przejdzie. Postawiłem na baczność wszystkich urzędników, którzy mają za zadanie znaleźć skuteczne metody przeciwdziałania temu procederowi – grzmiał szef rządu. – Chodzi

dowa organizacja Biuro Obrony Praw Dziecka, o której za wiele dowiedzieć się nie można, bo jej strona internetowa jest szczątkowa, za to wyraźnie podany jest link do zrzutki. Jak widać, każda okazja jest dobra, żeby skłonić jeleni do wpłacania pieniędzy.

Tymczasem pani Izabela Leszczyna, minister zdrowia, przyjęła dymisję Piotra Jabłońskiego, dyrektora Krajowego Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom – jedyne na razie w tej aferze odstrzelone kozła ofiarnego. Nie bardzo wiadomo, za co, skoro producent prawa nie złamał.

Tak nie działa poważne państwo ze stabilnym systemem prawnym i rządem właściwie wypełniającym swoje funkcje. Tak działa satrapia w rodzaju Białorusi, gdzie batiuszka prezydent osobiście zaleca, jakie zboże ma być gdzie uprawiane

o wykorzystanie istniejących przepisów prawa. Główny inspektor sanitarny już przeprowadza kontrolę. O przygotowanie rozporządzenia, najlepiej dziś do północy. Takie zadanie dostał minister rolnictwa, bo to jego resort odpowiada za kontrolę w tej materii. Minister zdrowia przygotowuje na przyszłość ustawę, która wyeliminuje systemowo tego typu zagrożenia. Tutaj nie ma miejsca na żadne negocjacje. Tego typu zagrożenie musi zniknąć, a osoby, które do tego dopuściły, na pewno mogą spodziewać się konsekwencji – mówił. Użycie słowa „proceder” sugerowało działania niezgodne z prawem, co było oczywiście nieprawdą.

Następnie zobaczyliśmy jeszcze, jak na posiedzeniu rządu pan premier wydaje polecenie ministrowi rolnictwa, Czesławowi Siekierskiemu, aby „pojechał do resortu i tę sprawę rozstrzygnął”. Minister karnie powstał zza stołu, zanim jeszcze prezes Rady Ministrów skończył mówić, i ruszył „do resortu”.

Ba, okazało się, że w sprawę włączyła się nawet prokuratura (przypuszczam, że prokurator ma z tego powodu niełichy ból głowy). Stało się tak z powodu oburzenia instagramowej mamusi, która poskarżyła się, że alkohtubkę dla jej 16-miesięcznej córki kupiła 80-letnia babcia. Prokuraturze doniosła pozarzą-

Tego samego dnia – w środę – sprawa stała się w zasadzie bezprzedmiotowa, ponieważ firma od alkohtubek posypała głowę popiołem i zapowiedziała, że towar wycofuje.

Tak nie działa poważne państwo ze stabilnym systemem prawnym i rządem właściwie wypełniającym swoje funkcje. Tak działa satrapia w rodzaju Białorusi, gdzie batiuszka prezydent osobiście zaleca, jakie zboże ma być gdzie uprawiane (na tym akurat Łukaszenka jako były dyrektor sowchozu może się faktycznie znać) i gdzie oraz czym wolno handlować.

NIE BYŁO ZŁAMANIA PRAWA

Najpierw trzeba jednak rozprawić się z absurdalnymi uzasadnieniami i usprawiedliwieniami działań władzy w tej sprawie. Przede wszystkim producent nie złamał żadnego przepisu – co potwierdził rzecznik praw obywatelskich – ani też nie „obchodził prawa”, jak była uprzejma stwierdzić pani minister Leszczyna. Prawo nie normuje – na szczęście – tego, jak mają wyglądać opakowania alkoholu, wymaga jedynie umieszczenia na nich odpowiedniej informacji i – w przypadku alkoholi wysokoprocentowych – papierowej banderoli (która, nawiasem mówiąc, jest archaicznym przeżytkiem

i dawno temu miała być zastąpiona banerem elektroniczną).

Zarzut, że opakowanie wódki było podobne – podobieństwo to rzecz względna – do opakowań musu jest absurdalny. Opakowania różnych produktów są do siebie podobne. Wino sprzedaje się w kartonach identycznych jak te, w których sprzedawane są soki. Jest też wino (noszące urokliwą nazwę Dzban Leśny) sprzedawane w saszetkach do złudzenia przypominających te z mydłem w płynie, które z kolei można by przecież pomylić z większymi saszetkami z owocowym musem. Jest wysokoprocentowy alkohol w puszkach wyglądających niemal identycznie jak te z colą. Są wreszcie soki czy produkty ziołowe nalewane do butelek takich jak te od wódki. Producent, podejmując decyzję o tym, w co pakuje swój produkt, nie musi na szczęście – poza spełnieniem podstawowych ustawowych wymogów – przejmować się tym, co się komu z czym skojarzy. Lub też – ma takie prawo – może tymi skojarzeniami grać.

Argument o możliwej pomyłce jest jeszcze bardziej absurdalny. Sposób sprzedaży alkoholu dość szczegółowo reguluje Ustawa o wychowaniu w trzeźwości, pochodząca zresztą z głębokiego PRL, z 1983 r., a więc z czasów gen. Jaruzelskiego, który walkę z alkoholizmem uznawał za jedną ze swoich dziejowych misji. W ustawie, w art. 96, czytamy, że alkohol powyżej 4,5 proc. (z wyjątkiem piwa) w sklepach o powierzchni powyżej 200 mkw. musi być sprzedawany na wydzielonych stoiskach, a w sklepach o mniejszej powierzchni – w sposób bezpośredni przez sprzedawcę. Innymi słowy – musi być ustawiony za ladą, a klient musi o niego poprosić. Zatem pomylenie wódki w tubkach z musem owocowym w sklepie jest zwyczajnie niemożliwe, chyba że ktoś „przez pomyłkę”, zamiast wziąć z półki mus, podejdzie do lady i powie do sprzedawcy: „Poproszę tę wódkę w tubce”. Ale jeżeli robi się takie pomyłki, to chyba czas odwiedzić psychiatrę.

Autentycznie przerażająca jest liczebność grupy ludzi, którzy argumentują, że w czasie zakupów „można się pomylić”. Emblematyczna jest tutaj historia oburzonej mamusi z Instagrama. Jeśli babcia nie rozumie, co kupuje w sklepie, to może nie powinna robić zakupów, bo następnym razem zamiast musu dla wnusi kupi my-

Jeśli ktoś twierdzi, że rząd musi reagować, bo inaczej ludzie masowo zaczną kupować wódkę w saszetkach zamiast soczków czy musu owocowego, to faktycznie jest niewolnikiem idealnym

dło w płynie, a zamiast żelków – tabletki do zmywarki. I nieszczęście gotowe.

RZĄD PROWADZĄCY ZA RĄCZKĘ

Sprawa alkotubek jest ilustracją stanu umysłowego wielu Polaków, którzy oczekują, że rząd będzie ich prowadził za rączkę nawet na zakupach. Paradoksalne, że pan marszałek Hołownia, który również z powodu możliwych pomyłek domagał się zlikwidowania alkotubek, jednocześnie chce przyznania praw wyborczych 16-latkom. Zdaniem polityków ludzie nie są w stanie się połapać, co kupują w sklepie, ale nadal mogą wybierać, kto będzie rządził krajem.

Reakcja na działania rządu jest – jak to zgrabnie ujął jeden z internautów – testem na niewolnictwo. Jeśli ktoś twierdzi, że rząd musi reagować, bo inaczej ludzie masowo zaczną kupować wódkę w saszetkach zamiast soczków czy musu owocowego, to faktycznie jest niewolnikiem idealnym.

Sprawa ma jednak dalsze konsekwencje. Producent, który działał całkowicie zgodnie z prawem – w tym z konstytucją dla biznesu, która mówi wyraźnie, że co nie jest zabronione, to jest dozwolone – i nie złamał żadnego przepisu, został zastraszony. I to całkiem wprost, trudno bowiem inaczej odczytywać groźby pana premiera o skierowaniu do sklepów i do firmy specjalnych kontroli. To oznacza, że nie istnieje w Polsce pewność prawa ani stabilność prowadzenia biznesu. Jak napisał na X były prezes wolnorynkowej Fundacji im. Ludwiga von Misesa Mikołaj Pisarski: „A teraz wyobraźmy sobie, że do władzy dochodzi Bardzo Zaangażowany Weganin. Albo ktoś, kto przeczytał (i potraktował poważnie) badania o szkodliwości kiełby z grilla. Albo ktoś, kto za problem »dotyczący bezpieczeństwa, zdrowia, dzieci« uważa np. orzeszki ziemne. Przerażające”.

Tak, to jest przerażające, że działającego zgodnie z prawem przedsiębiorcę,

który w swój produkt zainwestował przecież pieniądze, można zastraszyć metodami kompletnie pozaprawnymi. Sam producent twierdzi zresztą, że sprawę wyciągnęła i spopularyzowała jego konkurencja – co jest scenariuszem całkiem prawdopodobnym.

Pan premier w swoim internetowym wystąpieniu zapowiadał stworzenie „do północy” rozporządzenia, które miało w jakiś magiczny sposób uniemożliwić sprzedaż alkotubek. To mroźny krew w żyłach obraz postpolityki: niezależnie od zdrowego rozsądku i przepisów, pasożytując na bezrozumnych emocjach, ważny polityk zapowiada stworzenie na kolanie prawa, które ma załatwiać sztucznie stworzony problem, którym w normalnie działającym państwie szef rządu w ogóle nie powinien się zajmować. Przyklaskują temu ludzie, którzy w zasadzie otwarcie przyznają się do tego, że są zbyt głupi, żeby zrobić zwykłe zakupy.

Co dalej? Rządowa Agencja do spraw Codziennych Sprawunków, która zajmie się kupowaniem zestandaryzowanych zestawów żywnościowych dla ludności, tak aby nie pomylić wódki z mydłem z płynie, kiełbasy z batonikiem czekoladowym, margaryny z masłem, a wody mineralnej z octem?

Dlaczego pan Tusk tak ochoczo uchwycił się tubek z wódką? To banalnie proste: pan premier rozpaczliwie potrzebuje pokazać swoją sprawczość w jakiegokolwiek dziedzinie. Nie stało się tak w przypadku CPK, wali się system nauki i roztacza się wokół tej sprawy coraz większy smród, likwidacja skutków prowadzi to za potężne wyzwanie, niosące ze sobą zbyt duże ryzyko, alkotubki zaś – gdzie wystarczy nastraszyć jedną firmę i poszczuć ją głównym inspektorem sanitarnym – to sprawa idealna. CPK nie będzie, nie będzie też alkotubek, za to może przynajmniej bobby się uratują.

Metoda Grabowskiego



Piotr Gontarczyk

Profesor Jan Grabowski zażądał, żeby ONZ przejęła kontrolę nad placówkami upamiętniającymi w Polsce Holokaust, bo „miejscowi nacjonaści” zniekształcają historię, przemilczając swój udział w wielkiej zbrodni na Żydach



FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

Geneza występu prof. Grabowskiego będzie łatwiejsza do zrozumienia po krótkim przeglądzie jego dokonań jako autora.

„Judenjagd. Polowanie na Żydów 1942–1945. Studium dziejów pewnego powiatu” z 2011 r. to pierwsza książka Jana Grabowskiego na temat Holokaustu. Oficjalnie dotyczy powiatu Dąbrowa Tarnowska, w którego historii autor zaczął od opisu ataków na Żydów i podpalania synagog na tym terenie w latach 30. W tekście padają nazwiska, miejsca, daty oraz sygnatury akt archiwalnych, które sprawdziłem.

Dokumenty sprawy, która miała dotyczyć próby podpalenia synagogi, informowały o wybitych szybach w bożnicy. Ofiara śmiertelna, która miała paść w zajściach antyżydowskich, okazała się lokalnym bandytą (Polakiem) zastrzelonym w czasie obławy przez policjanta.

Podobnie było w innych sprawdzonych przypadkach. W aktach nie ma wydarzeń opisanych w książce, nie ma zacytowanych (!) tytułów teczek. Trochę to wszystko pachnie skłonnością do konfabulacji. Zamiast komentarza dodam, że książka ukazała się pod szyldem Centrum Badań nad Zagładą Żydów Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk, w której przez lata był afiliowany autor.

Nieco inne metody opisu historii widać w dalszej części „Judenjagd” doty-

czącej losów Żydów w czasie Holokaustu. Różnymi sposobami (dobór źródeł, faktów i proporcje opisów) usuwano tu w cień Niemców, wypełniając narrację prawdziwymi i wymaginowanymi opisami przestępstw Polaków.

Obszerny opis działań granatowej policji w tym powiecie byłby interesujący, gdyby nie to, że kluczowa faktografia pochodzi z okolicznych powiatów, a także z Mazowsza, Podlasia, Lubelskiego, Świętokrzyskiego albo spod Krakowa. Autor zebrał z całej Polski różne opisy przestępstw granatowych i zrobił z tego skondensowaną (metoda: „tu było tak samo”), gęstą od zbrodni „historię powiatu Dąbrowa Tarnowska”.

W ważkich kwestiach dotyczących Żydów nie zabrakło licznych przemilczeń, zniekształceń i manipulacji. To tu także znalazłem pierwsze edytowane źródło, z którego usunięto istotny fragment, to tu także znalazłem pierwszy zmanipulowany cytat.

Nie brak było i innych rzeczy, które kiedyś nie mieściły mi się w głowie. W książce jest np. oddzielny rozdział o rzekomym „udziale w Holokauście” na terenie powiatu „junaków” ze Służby Budowlanej (Baudienst), do której Niemcy przymusowo wcielali młodych Polaków. Rozdział ten to ewenement na skalę światową: nie ma w nim ani jednego faktu i dokumentu dotyczącego działalności

Baudienst w tym zakresie i na tym terenie. Cała ta książka nadaje się głównie na zajęcia warsztatowe studentów pierwszego roku studiów, przyszłych adeptów Klio w dziedzinie współczesnych metod i obszarów zniekształcania historii.

NAUKOWA NOC

Później Jan Grabowski był jednym z autorów książki „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski” (t. I–II, 2018). Tu powielił i twórczo rozwinął wcześniejsze metody działania. Z historii zniknęła np. niezbyt chwalebna rola żydowskiej policji, która pilnowała wejść do getta w Węgrowie i brutalnym biciem egzekwowała niemieckie zarządzenia. W „nowej wersji historii” getta z tej książki getta pilnują już niemieccy i polscy policjanci oraz okoliczni mieszkańcy – Polacy (t. I, s. 407).

Porównywanie akt archiwalnych z tym, co rzekomo na ich podstawie napisał autor, często daje podobne rezultaty. Dotyczyło to nawet jednej mapy. W patetycznym wstępie do artykułu na temat powiatu węgrowskiego Jan Grabowski napisał, że wybrał ten teren ze względu na bardzo ważne względy: tu miało znajdować się największe po Auschwitz cmentarzysko Żydów europejskich, czyli Treblinka. No ale ten obóz w rzeczywistości leżał kilka kilometrów od granicy, w sąsiednim powiecie Sokołów Podla-

ski. Na mapie znajdującej się w książce obóz został „relokowany” na północny wschód, tak że „zmieścił się” w powiecie węgrowskim. Można by to uznać za jakąś pomyłkę, gdyby nie jeden szczegół. Na mapie „przeniósł się” tylko obóz. Została prowadząca do niego, teraz kończąca się w szczerym polu linia kolejowa.

Opowieść o wątpliwych faktach, nieprawdziwych relacjach ze źródeł czy zmanipulowanych cytatach można by tu snuć godzinami. W bodaj najbardziej kuriozalnym przypadku, w oryginale w nieco większym fragmencie cytowanego w tej książce zeznania świadka, można przeczytać: „Strażacy pomagali Niemcom podpalać budynki getta szczątkowego” (t. 1, s. 466). W oryginale ten fragment wskazanego w przypisie dokumentu brzmi tak: „Żandarmi zapalali budynek, a strażacy nalewali wodę” (Archiwum Państwowe w Siedlcach, zespół Sąd Okręgowy w Siedlcach, t. 653, k. 167). Czyli strażacy gaszący getto w Węgrowie zostali zmienieni w cytacie na tych, którzy je podpalali.

Całe partie tekstu o likwidacji getta w Węgrowie zbudowano, opierając się na niewiarygodnych zeznaniach rozmaitych łazików, a nawet lokalnego pijaka i złodzieja (tak sąd opisał sprawę tych zeznań w wyroku). Różne zabiegi zastosowane w tekście zmierzają w jednym kierunku: Niemcy usuwani są w cień lub znikają w ogóle, a ich miejsce w znacznym stopniu zajmują Polacy. W pewnej chwili nawet niemiecka akcja likwidacji Żydów w Węgrowie zostaje przedstawiona jako „polski” pogrom: „Mimo dobrze skoordynowanych działań polskich służb mundurowych [mowa o polskiej policji i straży pożarnej – przyp. P.G.] od czasu do czasu jakimś Żydowi udało się ująć przed pogromem i zdać relację polskiemu świadkom” (t. 1, s. 449).

Inne artykuły zamieszczone w książce „Dalej jest noc” niewiele odstają od metod stosowanych w publikacjach Jana Grabowskiego. Trudno się dziwić, że jest aż tak źle, skoro druga współredaktorka, Barbara Engelking, też na dużą skalę „uszkadzała” cytaty.

W tekstach innych autorów tej książki nie jest dużo lepiej. Sprawdzamy opis zabicia Żydów przez Polaków – po sprawdzeniu źródła okazuje się, że to Niemcy. Tam sprawdzamy cytat – no i okazuje się, że w oryginale brzmi on

inaczej. Żydowskie ofiary niemieckich zbrodni „dopisuje się” na konto Polaków dosłownie setkami.

Chyba najpoważniejsza sprawa z całej książki dotyczy getta w Bochni. Zachowały się powojenne akta sprawy karnej jednego z żydowskich policjantów, a także liczne relacje żydowskich świadków, co działało się tam po jednej z deportacji. Podobnie jak w wielu innych gettach żydowska policja wyszukiwała bunkry z tymi, którzy ukryli się przed wywiezieniem do obozów zagłady. Wyciągała stamtąd rodaków i, po obrabowaniu, wydawała w ręce Niemców. W ten sposób potraktowano tu kilkaset rozstrzelanych potem osób. W książce „Dalej jest noc” na podstawie owych jednoznacznych w tej sprawie akt żydowskiego policjanta Dagmara Śwałek-Niewińska napisała, że Żydów wyciągały z bunkrów policje polska i niemiecka. Kiedy opublikowano dokumenty i ta mistyfikacja została zde-maskowana, rzecz odbiła się echem nawet w Izraelu. Autorka artykułu „poszła w zaparte” i twierdziła, że było tak, jak napisała. Jan Grabowski także podtrzymał to, co w sprawie Bochni napisano w „Dalej jest noc”.

NA NIEMIECKIM POSTERUNKU

Ostatnim znaczącym występm „naukowym” Jana Grabowskiego w Polsce była książka „Na posterunku. Udział polskiej policji granatowej i kryminalnej w zagładzie Żydów” z 2020 r. Co ciekawe, ta nie ukazała się już pod szyldem IFIS PAN, a środowisko naukowe obiegała wówczas informacja, że Jan Grabowski został usunięty na żądanie większości swoich współpracowników z Centrum Badań nad Zagładą Żydów. Czyżby nawet jak na obowiązujące tam, bardzo specyficzne standardy naukowe Grabowski jednak trochę przesadził?

Truizmem już będzie tu napisanie, że książka o granatowej policji powstała takimi samymi metodami jak poprzednie teksty. Nudne będą też wyliczanie zmanipulowanych cytatów czy próba dotknięcia sterty informacji, które podano w książce, a których nie ma w przywoływanych źródłach. Nie ma co też szczegółowo opisywać, że autor napisał w wypadku Krakowa, iż Żydów w bunkrach po deportacji wyszukiwała tutaj policje polska i niemiecka, a nie żydowska, bo to

byłaby kolejna powtórka opisu z Bochni.

Zasadniczo nowym i ciekawym elementem tej książki jest sposób skorzystania z artykułów dawnych współpracowników i współautorów książki „Dalej jest noc”. Jan Grabowski często przywołuje z nich rozmaite ważne informacje. Po sprawdzeniu okazuje się, że brzmią one tam zupełnie inaczej albo w ogóle ich tam nie ma. Jak widać więc, książka „Na posterunku” to już kolejny, wyższy poziom „nowej polskiej szkoły badania Holocaustu”.

Nie trzeba chyba dodawać, że skutkiem tego typu działań jest dopisywanie (dosłownie) setek i tysięcy żydowskich ofiar polityki III Rzeszy „do konta” granatowej policji i strażaków, a głównym beneficjentem tych działań są prawdziwi sprawcy: Niemcy. Pewnym smaczkiem w tej sprawie niech będzie to, że mniej więcej w czasie, kiedy ukazywała się ta książka, w Internecie można było odnaleźć informację, iż autor książki był stypendystą jakiejś niemieckiej fundacji...

Jan Grabowski nie odpowiada merytorycznie na krytykę, nie odnosi się do stawianych mu publicznie bardzo poważnych zarzutów dotyczących zabiegów stosowanych w jego piarstwie. Ogranicza się głównie do inwektyw i sprytnie pozycjonuje się jako rzetelny badacz atakowany przez „nacionalistów” i „negacjonistów Holocaustu”. Swoją największą sukces ostatnich lat odniósł na skutek słynnej awantury urządzonej w Niemieckim Instytucie Historycznym przez jego ważnego promotora, pośła Grzegorza Brauna. Nic dziwnego, że ustawicznie zaostcza język, a teraz żąda interwencji ONZ. Każda niemądra wypowiedź polskich polityków i kolejna awantura mogą go tylko publicznie wzmocnić, podobnie jak jakiegokolwiek inne polskie „nacionalistyczne protestacje”.

Tu trzeba działać inaczej, merytorycznie. Pytać go o liczne, postawione publicznie zarzuty manipulowania faktami i cytatami. Konsekwentnie pytać o to, kto naprawdę wyciągał Żydów z kryjówek w getcie w Bochni czy Krakowie, o to, dlaczego napisał, że strażacy w Węgrowie podpalali getto. Dyskusję warto zacząć od pytania: W jakim powiecie leży obóz zagłady w Treblince? © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem IPN.

Czy jesteś za strefami wolnymi od dzieci? – takie pytanie przedstawiła w internetowej sondzie redakcja programu śniadaniowego „Dzień dobry TVN”. W chwili, gdy piszę ten tekst, 71 proc. internautów pomysł poparło. Sonda stanowiła uzupełnienie rozmowy, którą w studiu TVN przeprowadzili z zaproszonymi gośćmi Marcin Prokop i Dorota Wellman. Tematem było wykluczanie dzieci z kolejnych dziedzin życia.

Nie jest ani nowe, ani oburzające to, że niepełnoletni nie mają wstępu do wielu miejsc – klubów nocnych, większości saun, do kina, gdy wyświetlany jest film z ograniczeniami wiekowymi, czy choćby do niektórych sklepów (kryterium wzrostu) itp. Istnieją też np. hotele 18+, które stanowią odpowiedź rynku na konkretne zapotrzebowanie klientów (jednocześnie trzeba zaznaczyć, że to promil wszystkich noclegów). Wymienione miejsca nie są dostępne dla dzieci przede wszystkim dlatego, że zagrażają ich rozwojowi fizycznemu i psychicznemu – i tutaj panuje konsensus. Tymczasem pragnie się je wykluczać i z innych miejsc.

TE STRASZNE MALUCHY

W lewicowo-liberalnych mediach trwa prawdziwa ofensywa ideologiczna zmierzająca do usuwania dzieci z przestrzeni publicznej. Redakcja „DDTVN” twierdzi, że do rozmowy zainspirowała ją pewna historia. „Niedawno z autobusu została wyproszona matka z dzieckiem. Maluch miał przeszkadzać innej pasażerce. Ta historia skłoniła nas do rozpoczęcia dyskusji na temat tego, jaki stosunek Polacy mają do tych najmłodszych obywateli naszego kraju. Czy powinniśmy tworzyć strefy dostępne wyłącznie dla dorosłych?” – czytamy. Autorzy programu uznali więc, że skandaliczne i niedopuszczalne zachowanie nieznanej z imienia osoby stanowi powód do rozpoczęcia poważnej dyskusji w ogólnopolskiej telewizji. Widzom zaserwowano rozmowę na temat, na który po prostu nie powinno się dyskutować – czyli czy dzieci mają prawo być w przestrzeni publicznej.

– Z moich doświadczeń wynika, że dzieci nie hałasują tak bardzo jak dorośli na wakacjach, którzy przyjeżdżają się wyszumieć [...]. Generalnie te hotele, które są tylko dla dorosłych, działają podobnie jak kluby tylko dla dorosłych. Wiemy, że nie wpuszczamy dziecka do klubu nocnego,

Kraina bez dzieci



Zuzanna Dąbrowska-Pieczynska

Nienawiść do dzieci w mediach lewicowo-liberalnych przekracza wszelkie granice. Najnowszym pomysłem jest utworzenie „stref wolnych od dzieci”

bo tam się dzieją rzeczy nie dla dzieci. Tam palimy papierosy, tam pijemy alkohol – przekonywał Michał R. Wiśniewski, autor książki „Zakaz gry w piłkę. Jak Polacy nienawidzą dzieci”.

„Strefom wolnym od dzieci” sprzeciwiała się też dziennikarka „Wprost” Paulina Socha-Jakubowska. – Jestem przeciwniczką wykluczania pewnych grup, także grupy dziecięcej – wskazała.

Jakie argumenty przywołali obecni w studiu zwolennicy wykluczania dzieci? Chyba ten najbardziej absurdalny wysunęła Agnieszka Grabowska, przedstawiła jako matka dwojga dorosłych dzieci. – Są osoby, które nie chcą mieć dzieci, i to jest ich wybór, ale są też osoby, które dzieci mieć nie mogą z różnych względów – powiedziała, sugerując, że dla tych drugich „pojechanie na wakacje, gdzie chcą sobie odpocząć, a jadą do hotelu, który

jest pełen szczęśliwych rodzin z dziećmi”, nie będzie komfortowe. Poza poczuciem dyskomfortu u niektórych osób dzieci powinno się wykluczać (według propagatorów pomysłu „stref wolnych”), ponieważ są głośne. – Ja jestem za tym, żeby jednak były te strefy dla dorosłych pozbawione dzieci, chociaż sam na co dzień mam do czynienia z dziećmi z racji tego, że jestem nauczycielem. Jednak np. kiedy wybieram się do jakiejś lepszej restauracji, płacę więcej po to, żeby mieć spokój, żeby mieć lepszy obiad, kolację, a w tle jest harmider i często bywa, że rodzice faktycznie nie pilnują swoich dzieci. Nie mam nic przeciwko dzieciom, ale w przypadku, kiedy są te krzyki, jest chaos, to jednak jest to męczące – narzekał nauczyciel (sic!) Andrzej Tarkowski-Kaliszewski.

Ktoś oburzony może stwierdzić, że krytykując prowadzenie dyskusji na temat





że wesela są drogie, a rodzice, wkładając pieniądze do koperty, nie zawsze uwzględniają, by dopłacić »za talerzyk« za swoje pociechy. Częstym argumentem było także to, że wesela to imprezy, na których pije się alkohol i bierze się udział w dwuznacznych zabawach” – czytamy. Co prawda, w tekście zaprezentowano też opinie przeciwników tego rodzaju wesel, ale tytuł artykułu jest jednoznaczny: „Wesele to nie kinderparty. Płakałabym, jakby krzyki zniszczyły mi ten dzień”.

O ile wielu rodziców zaproszonych na wesele z dziećmi decyduje się zorganizować dla nich opiekę i pobawić we dwoje, o tyle w przypadku podróży samolotem problem robi się znacznie większy. Wielu nie ma z kim zostawić dziecka na tydzień lub dwa, pomijając to, że wspólne wakacje to często moment, na który rodziny czekają cały rok. Rodzice chcą pokazać swojemu maluchowi świat, co trzeba chwalić i doceniać, a nie krytykować.

Jako społeczeństwo jesteśmy bombardowani treściami o wydźwięku negatywnym wobec dzieci

Podserwis Onetu przeznaczony dla „kobiet” opublikował list od pani Natalii udrażnionej podróżowaniem z obcymi dziećmi na pokładzie samolotu. „Nie rozumiem też, dlaczego tak wielu rodziców usiłuje żyć, jakby dziecka nie mieli – wybierają się z kilkumiesięcznym brzdącem w długą podróż, która najwytrwalszego dorosłego znuży. Poza wyjątkowymi sytuacjami (rodzinnymi, zdrowotnymi) lot w odległe miejsce to nie jest coś, czego małe dziecko potrzebuje. Gdy ktoś decyduje się na dziecko, pewne atrakcje nie będą przez jakiś czas osiągalne” – stwierdza autorytatywnie czytelniczka. Pani Natalia (pytanie, czy w ogóle istnieje czy jest wytworem antydziesięcioletniej fantazji redakcji) domaga się „poszanowania jej komfortu”.

W innym tekście ten sam portal opisuje „koszmarne wakacje z dzieckiem”. Tym razem koszmarne dla samych rodziców: „Wakacje planują z wyprzedzeniem, waliz-

ki pakują na raty. Marzy im się odpoczynek, ale nie zawsze przywożą tylko pozytywne wspomnienia. – Czułam na sobie wzrok innych turystów, którzy pewnie pomyśleli, że jestem złą matką – opowiada o wakacjach z siostrzeńcami 32-latką. – Problemy pojawiły się czwartego dnia. Straszny syn zaczął tęsknić za domem i kolegami z bloku. Młodsza córka źle znosiła upały, była bardzo marudna. Dwoiliśmy się i troiliśmy, żeby jadła coś więcej niż arbuza i frytki. Mieliśmy pecha, bo akurat w trakcie wakacji wyszły jej dwa nowe zęby” – mówi cytowana w tekście Karolina.

Z kolei para – Alicja i Bartosz – która kochała podróże, po narodzinach syna musiała zrezygnować z poznawania świata. „Franio nie lubi hałasu, a każde nowe dla niego doświadczenie bardzo go stresuje. Opuściliśmy więc na razie zagraniczne wyjazdy” – opowiada Alicja.

WYKLUCZANIE KOBIET

Gdy do produkowanych taśmowo tekstów o wadach wakacji z dzieckiem i ślubach bez dzieci dodamy liczne wyznania „bezkidek” [„Nie jestem mamą, bo nigdy nie chciałam mieć dzieci. Nigdy nie żałowałam” (List – portal Ofeminin.pl)], rysuje się nam niezwykle alarmujący obraz systemu medialnego, który wtłacza społeczeństwu wizję świata bez dzieci. I choć większość tego rodzaju materiałów broni rzekomo wolności kobiet, to w rzeczywistości chęć wykluczania dzieci oznacza wykluczanie kobiet. Jeśli restauracja to nie miejsce dla kilkulatek, to oczywiste jest, że nie pójdzie do niej jego mama. Podobnie z hotelami czy komunikacją.

Jeśli feministkom naprawdę zależy na dobru kobiet, to być może powinny zacząć walczyć o prawo dzieci do obecności w przestrzeni publicznej. Dodatkowo moment, w którym rozpętano ideologiczną nienawiść do dzieci, jest szczególnie (właściwie szczególnie zły). Jak podał Eurostat, w 2023 r. Polska była krajem z największym spadkiem ludności w całej Unii Europejskiej. Nasze społeczeństwo skurczyło się wtedy o 132,8 tys. osób. W tym roku nie jest lepiej. Według GUS liczba urodzeń w maju wyniosła 21 tys. i była o 14,3 proc. niższa niż rok wcześniej. Z prognoz urzędu wynika, że do 2060 r. liczba ludności w naszym kraju spadnie o 6,7 mln w stosunku do 2023 r.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Policjanci próbują rozbijać grupy nielegalnie ścigające się po ulicach, ale nie mają do tego dobrych narzędzi FOT. KOMENDA STOLECZNA POLICJI

Nielegalne wyścigi dojechały do mety?



Łukasz Zboralski

Mieszkańcy wielu miast są już tak zmęczeni rykiem samochodów i motocykli nielegalnie ścigających się po ulicach, że wymusili na władzach zajęcie się sprawą. Nowe przepisy mocno uderzą w „szybkich i wściekłych”

W wielu miastach od lat ludzie narzekali na to, że gdy tylko zaczyna się wiosna, całe noce nie mogą spać, bo bandy młodych mężczyzn przelatują im pod oknami usportowionymi maszynami – ich silniki wyją od wysokich obrotów, a z tłumików padają głośne strzały.

Jednak od lat z nielegalnymi wyścigami i całą rozwijającą się mocno subkulturą szukającą adrenaliny w łamaniu prawa na drodze niewiele robiono. Kilka lat

temu dziennikarze TVN dokonali prowokacji. Pojechali na zlot „fanów motoryzacji” i wręczyli im maskotki. Część zabrała je ze sobą do pojazdów. W maskotkach były lokalizatory GPS. Dzięki temu był jasny dowód na to, że ludzie zjeżdżający się na spotkania nocą w miastach pędzą potem po ulicach, znacznie przekraczając dopuszczalne prędkości.

To zmusiło trochę władze do działań. W policji zaczęły powstawać specjalne grupy, które nazwano SPEED. Policjanci

z drogówki dostali wsparcie kolegów z innych działów kryminalnych. Dostali też szybkie, nieoznakowane radiowozy. Tak mieli uderzać w ludzi, którzy zagrażają innym, bo chcą się na publicznych drogach pobawić swoimi drogimi samochodami. Po latach trzeba przyznać, że akurat tego problemu grupy SPEED nie rozwiązały.

Wystarczy wejść na policyjną mapę zagrożeń drogowych, by zobaczyć, że liczba piratów drogowych nie tylko nie zmalała, lecz także wzrosła. Na tej mapie tylko w Warszawie i najbliższych okolicach mieszkańcy w ciągu miesiąca zgłosili policjantom aż 60 miejsc nielegalnych wyścigów ulicznych.

SIEDEM RADIOWOZÓW NA CAŁĄ WARSZAWĘ

Nielegalnych wyścigów przybyło z dwóch powodów. Po pierwsze, przez ostatnią dekadę Polacy systematycznie dalej się bogacili. Jest już wielu relatywnie

młodych mężczyzn, których stać dziś na to, by kupić sobie usportowione, drogie auto o wielkiej mocy. Takim zakupem chcą potem się pochwalić. I nie znajdują innej możliwości, jak wyjechać nim nocą na ulicę i pokazać, jak potrafią się rozpędzić.

Drugi powód jest – jak często w Polsce – problemem systemowym. Choć poprzednia władza rozbudowywała na wsiach komisariaty i rzekomo kierowała tam policjantów, to w rzeczywistości mamy policyjną zapaść. W samej stolicy brakuje obecnie 2,5 tys. funkcjonariuszy. Doszło do tak dramatycznej sytuacji kadrowej, że nocą ulice w Warszawie patroluje zaledwie siedem radiowozów. W dwumilionowym mieście!

Ludzie, którzy chcą się pościgać na ulicach, nie czują żadnej obawy, że zostaną namierzeni i złapani. Wprawdzie gdy minister spraw wewnętrznych i administracji wywarł presję na policjantów, to ci w ostatnim tygodniu w jeden weekend w stolicy i okolicznych powiatach rozbili aż cztery grupy organizujące nielegalne wyścigi. Efekt? Skontrolowanych 558 pojazdów, ponad 300 mandatów na kwotę ponad 130 tys. zł, 55 zatrzymanych dowodów rejestracyjnych i 20 zabranych praw jazdy. Te liczby wyglądają imponująco, zwłaszcza gdy przedstawiał je minister Tomasz Siemoniak. Jednak po tej spektakularnej akcji, gdy już polityk pochwalił się wynikiem, wszystko wróciło do normy. Nocą w stolicy nadal jeździ zaledwie siedem radiowozów i żadne zakłęcia tego nie zmieniają.

BEZSILNI WOBEC „FROGÓW”

Trudno wyrokować, czy szybko uporamy się z wakatami w policji. Raczej nie będzie to łatwe. Na pewno jednak możemy tę garstkę policjantów wyposażać w lepsze narzędzia. Bo to, czym dziś dysponują, jest dla młodzieńców w autach za pół miliona, którymi popisują się nocami na ulicach, śmieszne.

Policjanci mogą dziś nakładać grzywnę, punkty karne i ewentualnie odbierać uprawnienia do kierowania. Tylko to ostatnie może być jakimś postrachem dla zamożnych amatorów nielegalnych wyścigów. Ale czy jest? Przypominam tu sprawę niejakiego „Froga”, który nie dość, że pędził samochodem przez miasto, to jeszcze to nagrywał i publikował w sieci. Dopiero społeczne oburzenie zmobilizowało policję i doprowadziło go przed

Rząd rozważa dodanie do Kodeksu karnego nowego przestępstwa „nielegalnych wyścigów”

sąd, który... rozłożył ręce. Bo polskie prawo nie pozwalało go ukarać za nic innego niż za wykroczenia, które po kolei na filmie można było wskazać. W efekcie stracił prawo jazdy. I nawet nie trafiłby za kratki, gdyby nie to, że do tego stopnia zlekceważył prawo, iż po odebraniu uprawnień złapano go ponownie za kierownicą. Swoją krótki wyrok – jak informowały potem polskie sądy – odsiedział w Wielkiej Brytanii. Aktualnie znów jest poszukiwany do odbycia kary i prawdopodobnie znów siedział za kierownicą, nie posiadając uprawnień do kierowania.

NIEMIECKIE METODY NAD WIŚLĄ

Niedawna tragedia, spowodowana przez kierowcę jadącego ok. 160 km/h przez Warszawę (staranował rodzinę w aucie, zabił ojca rodziny, a dzieci i matkę ciężko ranił) niejako skatalizowała społeczne żądania i w odpowiedzi na tak zwielokrotnioną presję politycy zadeklarowali walkę z tego rodzaju kierowcami, a także z nielegalnymi wyścigami.

Politycy przestali słuchać uzalania się „fanów motoryzacji” na to, że nie mają w kraju torów, na których mogliby się ścigać legalnie (to po prostu kłamstwa – pędzący nocami po Warszawie mają blisko profesjonalny tor w Modlinie) i zaczęli przygotowywać zmiany prawa, które pozwolą uciszyć nocą ulice.

Sposób prawny pochodzić będzie z Niemiec. Zaczynamy bowiem w Polsce rozumieć, że gdy inne kraje pewne rozwiązania już sprawdzili, nie warto wyważać otwartych drzwi i latami głowić się nad rozwiązaniem problemów, które ktoś inny rozwiązał.

Oczywiście nie będzie tak surowo jak w Niemczech, gdzie sędziowie nie potrzebują żadnych dodatkowych zapisów i za spowodowanie wypadków przy skrajnym łamaniu prawa decydują się na skazywanie takich kierowców po prostu za zabójstwo. Tak zdecydowali niedawno po wypadku

spowodowanym przez Polkę, która ścigała się z innym kierowcą, straciła panowanie nad samochodem i wbiła się w inne auto, zabijając ludzi. Usłyszała w Hamburgu wyrok dożywotniego więzienia za zabójstwo. Tego rodzaju kary w oczywisty sposób pośrednio oddziałują na wszystkich, którzy mają ochotę rozpędzać się po publicznych drogach dla zabawy. Sędziowie w Niemczech jasno pokazują im, co ich bezwzględnie czeka, gdy ich skrajne łamanie norm skończy się nieszczęściem.

W Polsce sięgniemy jednak po inny niemiecki mechanizm. Chodzi o nowe przestępstwo – „nielegalnych wyścigów drogowych” – którego dodanie do Kodeksu karnego jest rozważane przez specjalnie powołany międzyresortowy zespół.

Otóż po głośnym wypadku w 2016 r. w Berlinie, gdzie ścigający się samochodami doprowadzili do śmiertelnego wypadku, w niemieckim Kodeksie karnym (StGB) dopisano paragraf dotyczący „zakazanych wyścigów samochodowych” (§ 315d).

Od tej pory kodeks zakłada kary dla organizatorów nielegalnych wyścigów ulicznych i uczestników takich wyścigów. Ale nie tylko. Z tego samego paragrafu karani mogą być po prostu kierowcy poruszający się z nieodpowiednią prędkością rażąco sprzecznie z prawem ruchu drogowego i bezwzględnie mający na celu osiągnięcie najwyższych możliwych prędkości. Takim ludziom grozi do dwóch lat więzienia.

Paragraf przewiduje też karę do pięciu lat pozbawienia wolności dla tych, którzy zagrażają życiu innych osób lub mieniu o znacznej wartości.

Ci, którzy zabijają w wyniku ścigania się po publicznych drogach, otrzymują karę od roku do 10 lat pozbawienia wolności. W mniej poważnych przypadkach grozi kara od sześciu miesięcy do pięciu lat pozbawienia wolności.

Właściwie polscy legislatorzy muszą tylko skopiować niemieckie zapisy i wkleić je w odpowiednie miejsce w polskim Kodeksie karnym. Wszystko wskazuje na to, że mają od rządu zielone światło. Można się spodziewać, że za kilka miesięcy, gdy takie prawo ostatecznie zostanie uchwalone, ryk silników i strzały z tłumików będzie słyszał w polskich miastach sporadycznie, a nie nieustannie.



Wiesław Chelminiak

Jak żyć? Największy influencer ery nowożytnej podpowiada: w zgodzie z innymi, a przede wszystkim z samym sobą

Dzięki wydawnictwu Noir sur Blanc neopoganie mogą spędzić wakacje z Homerem, a buntownicy z Rimbaudem. Z kolei sceptykom łatwiej znieść upał, obcując z konceptami zmarłego ponad cztery wieki temu Michela de Montaigne'a. Dlaczego przyjaźń jest cenniejsza od miłości, a starość nie zasługuje na szacunek? Jak zachować spokój w czasie wojny? Szlachcic z Gaskonii uprawiał autoterapię, zanim stało się to modne. Udowodnił, że przeciętniak, niepretendujący do władzy, sławy czy świętości, może być pasjonującym obiektem dociekań. Sukces „Prób” zwiastował kulturowy przełom. Zachęcił tysiące ludzi do baczniejszego spoglądania w lustro.

Erazm z Rotterdamu i Tomasz Morus, uwięzieni w bańce intelektualizmu, mogli liczyć na odzew garstki humanistów, biegle władających łaciną. Montaigne napisał dzieło swego życia po francusku. Chciał, by czytały go również kobiety, ponieważ w odróżnieniu od innych gigantów epoki nie był mizoginem (choć żonę miał sekutnicę). W ojczyźnie nadal jest bardzo ważną figurą, jako ojciec chrzestny racjonalizmu, ale już nie oświecenia. XVIII-wieczni filozofowie uznawali jego wielkość, jednak radykałów, pragnących przewrócić świat do góry nogami, konserwatyzm mistrza po prostu drażnił. Montaigne nadał nowe znaczenie słowu „essay”. Dzisiejsi polihistorzy i felietoniści mogą się nazwać jego dłużnikami. Gdybyż jeszcze dysponowali porównywalną wiedzą, doświadczeniem życiowym tudzież dystansem do spraw, o których piszą...

CZŁOWIEK Z WIEŻY

Antoine Compagnon, utytułowany francuski historyk i krytyk literatury, wziął się za bary z prozą rodaka na uży-

Nasz brat Montaigne



Michel de Montaigne według Pierre'a-Michela Alixa

FOT. STEFANO BIANCHETTI/EAST NEWS

tek pięciominutowych pogadek, które wygłaszał na falach eteru w czasie wakacji. Odbiór był pozytywny, więc ukazała się wersja drukowana. Wniknąć w umysł człowieka, który żył pięć wieków temu, to zadanie karkołomne. Idee, porządkujące rzeczywistość, zdezaktualizowały się albo są rozumiane zgoła inaczej. Przykład? Montaigne był demokratą w tym sensie, że nie gardził prostakami i biedotą. Własnym tytułem szlacheckim pysnił się jednak w stylu zdradzającym nuworysza. Miał złe zdanie o królach i książętach, ale nie wyobrażał sobie innego ustroju niż monarchiczny.

Ojciec autora „Prób” miał poważne luki w wykształceniu i może dlatego zadbał o edukację syna. Ponoć zatrudnił cudzoziemskiego guwernera, który z Michелеm rozmawiał tylko po łacinie. Jakimś cudem odgadł, że chłopak nie odziedziczył po mieszczańskich przodkach smykałki do interesów. Kariera polityczna też go nie nęciła. Radcą trybunału podatkowego został dzięki wpływowi rodziny. Gdy miał lat 38, sprzedał ów lukratywny urząd, by wycofać się do domowego zacisza. Gonitwa myśli nie dawała mu spokoju, więc postanowił je spisać.

Dziwnym trafem z rodowej siedziby Montaigne’ów do dziś przetrwała tylko wieża, w której mieszkał i umarł nasz bohater. Na belkach stropowych jednej z izb wciąż widoczne są greckie oraz łacińskie sentencje, wyryte jego ręką. Nie licząc półtorarocznej podróży do Włoch, pisarz opuszczał swój azyl, tylko gdy w grę wchodziły sprawy wagi państwowej. Miał opinię zręcznego negocjatora, co w połączeniu z rosnącą sławą mędrca czyniło z niego idealnego kandydata na rozjemcę w sporach politycznych i religijnych. Nie były to czasy spokojne. Francją wstrząsały wojny domowe, kulminujące w masowych rzeziach i zabójstwach przywódców stronnictw.

Gdy Michel miał lat 15, w Bordeaux tłum, rozjuszony podwyżką podatków, rozszarpał królewskiego wysłannika. Łąco więc zrozumieć, że trzeba było wielu nacisków, by w wieku dojrzałym zgodzić się zostać merem stolicy Akwitarii. Pod jego zarządem miasto uniknęło krwawych zamieszek, siepaczy wyręczyła epidemia dżumy. Montaigne lawirował między papistami a hugenotami, ale i tak

zdarzyło mu się spędzić kilka godzin w Bastylii w roli więźnia stanu.

FILOZOF WŚRÓD FANATYKÓW

Namiętności religijne były mu obce do tego stopnia, że XVII- i XVIII-wieczni libertyni uznali go za patrona. Tolerancja mera wynikała jednak głównie z jego wstrętu do przemocy i rozlewu krwi. On sam deklarował się jako katolik, a wielkim fanem „Prób” był święty Franciszek Salezy. Kościół dopiero półtora wieku po śmierci Gaskończyka orzekł, że był on neopoganinem, i zakazał wiernym studiowania jego pism.

Idea pokoju religijnego miała w Paryżu wielu zwolenników, jednak postęпки ostatnich Walezjuszy napawały Montaigne’a odrazą. Katarzyna Medycejska i jej syn Henryk III (który na własną

Dowodził, że siła państwa jest odwrotnie proporcjonalna do jego kultury, a „zaprzatanie się naukami rozmiękcza i osłabia charakter”.

W ogóle nie lubił zmian. Podobał mu się wynalazek druku, jednak utrzymywał, że reformacja i odkrycia geograficzne przyniosły więcej złego niż dobrego. Współczuł Indianom, przewidując, że ich kultura i tradycja nie przetrwają konfrontacji z Europejczykami. Brak wiary w przyszłość był zresztą wśród ówczesnych myślicieli powszechny. Uważano, że cywilizacje starzeją się i umierają, a antyk był i pozostanie złotym wiekiem ludzkości. Nieprzypadkowo „Próby” kończą się cytatem z wiersza Horacego.

ŻYCIE LICHE I BEZ BLASKU

Jak łatwo się domyślić, Montaigne był zagorzałym książkolubem. Z powodu edukacji zaordynowanej przez ojca jego umysłu nie zaśmieszyły rycerskie romanse, będące ulubioną lekturą młodych szlachciców. Miał jednak paskudny zwyczaj bazgrania na marginesach czytanych woluminów.

Długo potraowało, zanim zrozumiał, że „książka pisana w dobrej wierze” uczyniła zeń giganta. Konsekwentnie bagatelizował jej znaczenie. Pierwszą w historii intelektualną autobiografię nazywał ćwiczeniem duchowym. Tytuł sugerował, że nie jest to poważny traktat, ale zapiski dyletanta, który zna się tylko na jednym (czyli na sobie) i śmie sądzić, że ta wiedza może być użyteczna dla innych ludzi. Compagnon skłania się do tezy, że Gaskończyk obawiał się problemów z cenzurą.

Montaigne uzupełniał „Próby” aż do śmierci. Piąte wydanie miało dwukrotnie większą objętość od pierwszego, na przekór opinii samego autora twierdzącego, że z wiekiem człowiek wcale nie zyskuje na mądrości. Programowo skromny („przedstawiam tu życie liche i bez blasku”) narzeka na swój nikczemny wzrost, gapostwo tudzież fatalną pamięć. Przyznaje się do słabości, które tak naprawdę są cnotami: wrażliwość, łagodność, odraza do okrucieństwa. „Umiem słuchać innych, jestem uprzejmy oraz

Dziwnym trafem z rodowej siedziby Montaigne’ów do dziś przetrwała tylko wieża, w której mieszkał i umarł nasz bohater

zgubę wzgardził tronem Jagiellonów i uciekł z Polski do Francji) byli wielkimi fanami Machiavellego. Nasz bohater uważał natomiast, że kłamstwo i obłuda w polityce na dłuższą metę nie popłacają. Utrata wiarygodności to dla rządzących klęska, a władca winien wzbudzać raczej sympatię niż strach u poddanych. Większe nadzieje Montaigne słusznie pokładał w księciu Henryku z Nawarry, który Francję na powrót zjednoczył.

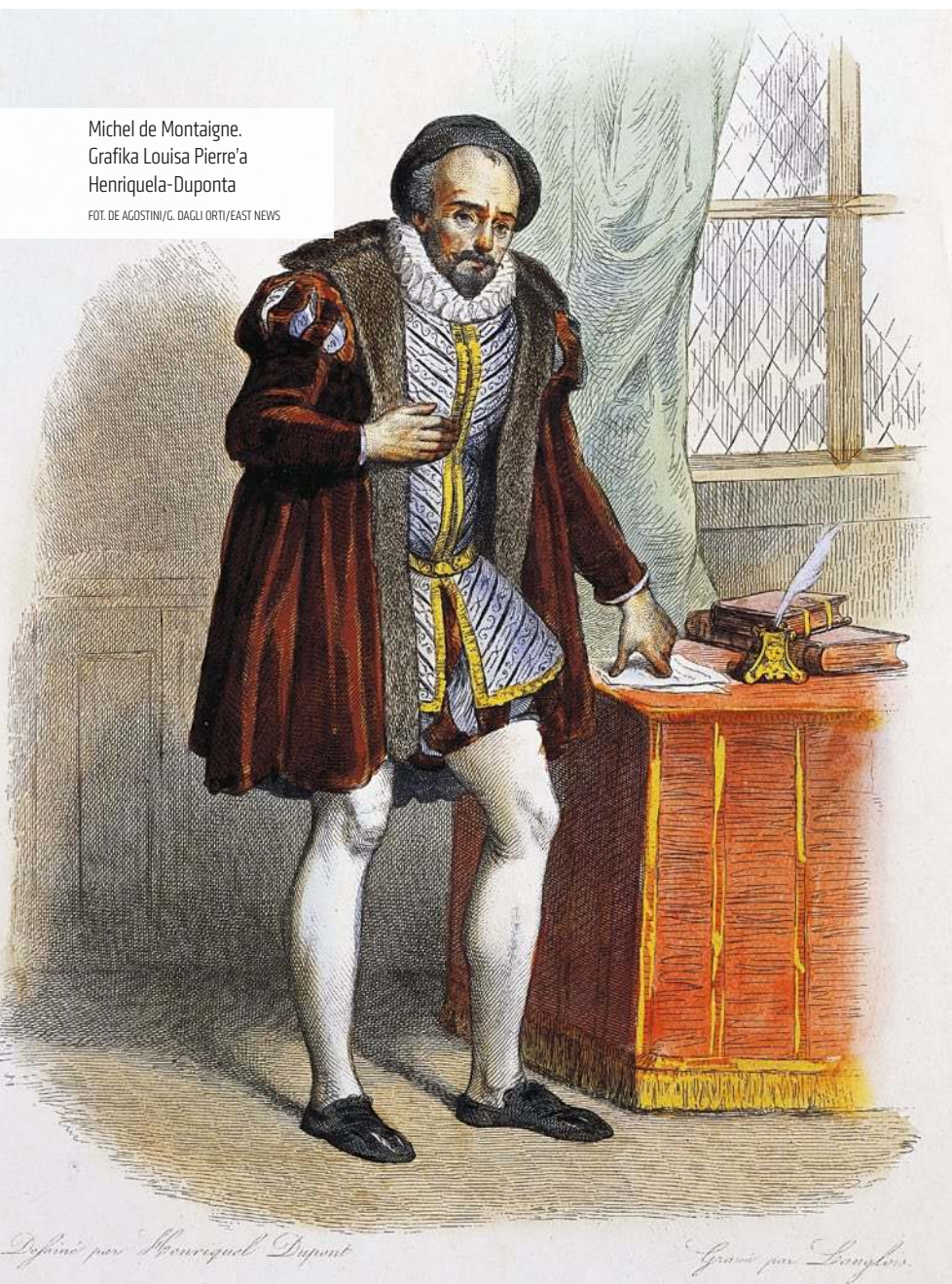
Czternaście lat obserwowania wybryków kasty sądowej obrzydliło naszemu bohaterowi XVI-wieczny wymiar sprawiedliwości. Daremnie krytykował procesy o czary i wyroki, oparte na zeznaniach wymuszonych torturami. Pod koniec jego życia stosy płonęły częściej, niż gdy się urodził. W innych kwestiach realista brał w nim górę nad humanistą. Nie wierzył w wyższość pióra nad mieczem. Ba!



ANTOINE COMPAGNON
„LATO Z MONTAIGNE’EM”
TŁUM. JAN MARIA KŁOCZOWSKI,
NOIR SUR BLANC
2024

Michel de Montaigne.
Grafika Louisa Pierre'a
Henriquela-Duponta

FOT. DE AGOSTINI/G. DAGLI ORTI/EAST NEWS



**Jego wizja edukacji, która
zamiast nabijać młode głowy
wiedzą, uczy je myśleć, nadal
czeka na realizację**

go i ceniła władająca francuskim elita Rzeczypospolitej. Duchowym bratem Gaskończyka był Stanisław Herakliusz Lubomirski zwany „polskim Salomonem”. Na język polski „Próby” (w formie przypominające szlacheckie silva rerum) przełożył dopiero w 1916 r. Tadeusz Boy-Żeleński. Nazwał je „biblią nowożytnej myśli” i „monografią duszy ludzkiej”, choć wytykał autorowi snobizm i nałóg cytowania. Bez wątpienia montenistą jest Józef Hen, autor jedynej polskiej biografii mistrza, wydanej już czterokrotnie.

Zdaje się, że najważniejszą przyczyną nieśmiertelności Montaigne’a jest jego szczerość. Nie owija w bawełnę, jest wrogiem krasomówstwa i kunsztownych fraz, fanem lapidarnego stylu Cezara tudzież nonszalancji Castiglione’a. Urocze są jego rozterki i brak konsekwencji (do czego się zresztą chętnie przyznaje). Mimo deklarowanego szacunku nie waha się polemizować z poglądami „nauczycieli naszych”, czyli antycznych filozofów, nawet Platona i Arystotelesa. My, którzy żyjemy w epoce zmierzchu autorytetów, umiemy to docenić.

Montaigne, sceptyk i relatywista, ma wątpliwości i się ich nie wstydzi. Drażnią go zarozumialcy. Ostrzega przed oszukiwaniem samego siebie. Nie jest takim hipokrytą jak Rousseau, który pisał jedno, a robił drugie.

Według Compagnona autor „Prób” to człowiek współczesny, „nasz brat”.

Jego wizja edukacji, która zamiast nabijać młode głowy wiedzą, uczy je myśleć, nadal czeka na realizację.

Co jeszcze radzi nam filozof, który za filozofa się nie uważał? Podróżować bez z góry określonego celu. Akceptować życie, które zostało nam dane, korzystać z niego, lecz „bez przekraczania miary”. Paść oczy urodą świata, kochać bliźnich i się nie nadymać, bo nawet „na najwyższym tronie świata i tak siedzimy jeno na własnym zadku”.

■ pogodzony z różnorodnością świata i zmiennością fortuny” – prawi doradca królów, by w następnym akapicie nazwać się ignorantem.

Wiele myśli Gaskończyka zachowało aktualność (np. „świat jest wiekiustą huśtawką”), lecz „Próby” są dziełem nierównym. Oprócz pryncypiów autora zajmują sprawy, z dzisiejszego punktu widzenia, trzeciorzędne. Rozdziały „O uzbrojeniu Partów” czy „O koniach podręcznych” mogą zainteresować co najwyżej kolekcjonerów kuriozów. Gdy Montaigne wymądrza się o ludożerstwie,

impotencji, kazirodztwie, homoseksualistach i hermafrodytach, bywa brutalnie dosadny. Zionie nienawiścią do medyków, którzy nie potrafili sobie poradzić z jego kamicą.

NA TRONIE ŚWIATA

Książka, pisana rzekomo dla zabawy i zabicia czasu, okazała się jednym z największych bestsellerów ery nowożytnej. Wywarła wpływ nie tylko na życiową postawę angielskich dżentelmenów. „Montenizm” szerzyli Szekspir, Bacon, Molier i cała zgraja filozofów. Znała

Uśmiechnięty festiwal



Remigiusz Włast-Matuszak

Można było to przewidzieć – 49. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych był pełen politycznych wrzutek. Czy coś się zmieni przed zbliżającą się jubileuszową edycją?

szych snach nie przypuszczałem, że premier rządu, który miał być ucieleśnieniem bliskich mi wartości, powie coś, co jest jawną zachętą do rasistowskiej przemocy”. Premier koalicji rasistą?

Pani ministra (tak zapowiedział konferansjer – aktor z serialu komediowego „1670”) Hanna Wróblewska musiała być zaskoczona wypowiedzianymi towarzyszącymi wręczaniu nagrody publiczności, gdyż kilka minut później musiała wręczyć temuż współscenarzyście oraz panu producentowi najważniejszą nagrodę 49. FPFF – Złote Lwy. Wybrnęła filozoficznie: „Wierzę w filmy, które poruszają serca, umysły i sumienia... Niech nikt nie będzie nam cenzorem”. Ufam pani ministrze i wierzę w jej słowa.

Co do filmów, „które poruszają serca, umysły i sumienia”, to film Magnusa von Horna (pochwalił się ze sceny, że właśnie po 20 latach dostał polski paszport i jest Polakiem) pt. „Dziewczyna z igłą” zdobył sześć nagród i Srebrne Lwy. Film do dramat dziejący się na początku XX w. w Danii, gdzie biedna dziewczyna nie może poddać się aborcji i rodzi niechciane dziecko. Magnus von Horn ze sceny, łamaną polsz-

czyzną, zakomunikował: „Usłyszałem gdzieś zdanie, że ten obraz rozgrywa się w czasach, gdy aborcja była jeszcze nielegalna. Odparłem, że w kraju, w którym mieszkam, wciąż tak jest. Pytany, dlaczego przyznałem, że koalicja nie potrafi się dogadać...”. Za chwilę pozdrowił troje swoich dzieci.

W telegraficznym skrócie odnotujmy, że nagrodę za reżyserię otrzymał Marcin Koszałka za film „Biała odwaga” (wielokrotnie krytykowany na łamach „Do Rzeczy”). Reżyser ze sceny dziwił się jak „pierwsza naiwna”, dlaczego poprzednia władza dała pieniądze na jego film o Goralenvolku. Dalsze nagrody. Za scenariusz: „Biała odwaga” dla Łukasza M. Maciejewskiego i Marcina Koszałki. Za zdjęcia: „Dziewczyna z igłą” – Michał Dymek. Za muzykę, scenografię, kostiumy i drugoplanową rolę kobietę: „Dziewczyna z igłą”. Za drugoplanową rolę męską: Julian Świeżawski w filmie „Biała odwaga” (aktor wystąpił na scenie w czarnej plisowanej spódnicy i białym naszyjniku z „czegoś tam”).

Nagrodę Złotego Pazura zdobyły Maria Zbąska i producentka Inga Kruk za „To nie jest mój film” – bezpretensjonalny, kameralny melodramat, który

zachwyca prostotą formy i przekazem. Za główną rolę kobietę – Sandra Drzymalska w filmie „Biała odwaga”. Za główną rolę męską – Jacek Borusiński w filmie „Wróbel”. Wyróżnienie specjalne przyznano pośmiertnie Maciejowi Damięckiemu za poruszającą rolę w filmie „Cisza nocna” w reżyserii Bartosza M. Kowalskiego. Nagroda za debiut: „Pod szarym niebem” w reżyserii Mery Tomkovich, a wyróżnienie jury dla Nel Kaczmarek za rolę w filmie „Utrata równowagi” w reżyserii Korka Bojanowskiego.

Co wprost szokujące, żadnej nagrody nie przyznano Janowi P. Matuszyńskiemu, reżyserowi „Minghuna”, i wybitnemu filmowi wojennemu pt. „Ludzie” w reżyserii Macieja Ślesickiego.

W codziennych relacjach z festiwalu kanał TVP Kultura przedstawiał redaktor Katarzynę Janowską (z Onetu) i jej poprawnych politycznie gości. Tomasz Kolankiewicz, były dyrektor artystyczny FPFF, prezentował opinie, poglądy i tatusze jedyne i niepowtarzalne, a aktualna dyrektor artystyczna Joanna Łapińska, wymachując rękoma w trakcie wypowiedzi, budziła respekt pięciocentymetrowymi paznokciami w kolorze filetowym (ostania chińska kochanka Czyngis-chana w 1227 r. rozpruła mu jądra – śmiertelnie – właśnie takimi szponami; ale bez obaw – w Trójmieście nie ma nikogo na miarę Czyngis-chana).

FPFF w Gdańsku powołano do życia w 1975 r. Drugi i trzeci festiwal w latach 1976 i 1977 prowadziły dwie (!) osoby (w tym ja). W 1986 r. FPFF przeniesiono do Gdyni, a dzisiaj organizacją 49. FPFF zajmują się 52 osoby. Zbliża się 50. jubileuszowy festiwal i mam nadzieję, że będzie to w końcu normalny festiwal „bez cenzury” poprawności politycznej. ©

Jury 49. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych (z udziałem scenarzysty filmu „Hiacynt” – Marcina Ciastonia) znalazło się pod tak wielką presją gildii „branży” filmowej, że nagroda została wymuszona. I tak po „polskim” Orle „Zielona granica” dostała (nie zdobyła, tylko dostała) Złote Lwy.

Kwadrans wcześniej „Zielona granica” otrzymała nagrodę publiczności. Reżyserka „z powodów osobistych” nie zjawiała się na gali festiwalu, za to odczytano jej polityczne przesłanie. Pani Holland znowu „czuje się być wieszona w wagonie do polskiego obozu koncentracyjnego”. „Sytuacja na granicy nie zmienia się po zmianie władzy, pod wieloma względami zmieniała się na gorsze...”; „Nienawistna, podsycająca strach propaganda nie prowadzi do rzeczywistego rozwiązania kryzysu. Ani geopolitycznego, ani humanitarnego. Służy zapewne doraźnym celom wyborczym, ale roznieca nastroje ksenofobii, rasizmu i nacjonalizmu, które rozlewają się już po całej Europie i prowadzą do jej szybkiego zbrunatnienia. Polska staje się znów polem, gdzie faszyzujące grupy obywateli z jawnym przyzwoleniem państwa organizują pogromy na ludzi o innym kolorze skóry, ale i na tych, którzy ich ratują i pomagają im, płacąc za to często najwyższą cenę”.

Najwyższą cenę?! A więc obok masowych grobów migrantów (300 ofiar według byłej posłanki Ochojskiej) są też dziesiątki grobów Polaków zastrzelonych przez Straż Graniczną za pomoc migrantom? Czy pani Holland może się opamiętać? Czy koniecznie musi wcielać się w Wandę Wasilewską?

Współscenarzystka „Zielonej granicy”, odbierając nagrodę, mówił ze sceny: „W najgor-



Piotr Gociek

„Rodzina z karetki” wyróżnia się szlachetną tradycyjnością. To prosta opowieść o zwykłych ludziach, którzy próbują związać koniec z końcem w nieprzyjaznym świecie

Na początek wypadu pogratulować miastu Meksyk dynamicznego rozwoju w dziedzinie opieki zdrowotnej. Kiedy w roku 2019 na festiwalu w Sundance pokazywano film dokumentalny „Midnight Family”, w dziewięciomilionowej metropolii było jedynie 50 państwowych karetek. Dziś, w 10-milionowym już mieście, jest ich ok. 100. Co za sukces! Jaki rozwój! Jedna karetka na 100 tys. mieszkańców! Spokojni o swój los muszą być mieszkańcy miasta Meksyk. No i oczywiście muszą być bardzo zdrowi. Bo lepiej nie ryzykować.

Szyderkę odkładam, bo rzecz jest zbyt poważna, wszak to sprawa życia i śmierci. Tam, gdzie system nie daje rady, życie organizuje się samo. W Meksyku kwitnie więc biznes karetkowy stworzony oddolnie przez inicjatywę prywatną. „Midnight Family”, jeden z najlepszych filmów dokumentalnych ostatnich lat, pokazywał życie, pracę i dylematy rodziny Ochoa, załogi jednego z takich ambulansów. Pięć lat później w Apple TV+ debiutuje serial „Rodzina z karetki” („Familia de medianoche”), już nie dokument, lecz fabuła, w której zamiast prawdziwych bohaterów z dokumentu Luke’a Lorentzena oglądamy fikcyjną rodzinę Tamayo. Ale realia pozostają te same – trafiamy wprost do surrealistycznego, okrutnego świata, o którego istnieniu nie mieliśmy pojęcia.

EFEKT „WOW!”

Trudno dziś zaskoczyć widza czymś nowym i nieoczywistym; w pierwszych minutach serialu dostajemy aż dwie chwile efektu „wow!”. Po raz pierwszy, kiedy odkrywamy, że sympatyczna Marigaby prowadzi podwójne życie, za dnia studiując medycynę, a nocą jeżdżąc w prywatnej karetce, która jest



FOT. CAMILA METLARA

Ciemna strona miasta

zarazem wielopokoleniowym biznesem rodzinnym. I drugi raz, gdy chwilę potem obserwujemy chaos na ulicach miasta: konkurujące o pacjenta (i zarobek) ambulanse ścigają się niczym w „Szybkich i wściekłych” – przegrany nie zarobi nic. Być może podobny dreszczyk adrenaliny znają właściciele polskich domów pogrzebowych konkurujących o klienta pod szpitalami, choć zdaje się, że polegają raczej na cynkach niż na wyścigach karawanów.

Bardzo żałuję, że w żadnym polskim serwisie streamingowym nie można

obejrzeć oryginalnego filmu dokumentalnego, który narobił kilka lat temu wiele hałasu. O jego istnieniu przypomina więc polskiemu widzowi jedynie czołówka serialu Apple, gdzie inspirację filmem Lorentzena odnotowano. Oryginalna „Midnight Family” to jeden z najbardziej poruszających dokumentów ostatnich lat, opowieść nie tyle o nietypowym biznesie i niewydolnym systemie, ile o ludziach, którzy za wszelką cenę próbują utrzymać się na powierzchni. Rodzina Ochoa nie posiada nic poza karetką, jej los całkowicie zależy od tego, czy trafi się klient



**„RODZINA
Z KARETKI”
USA, MEKSYK
2024**

(to znaczy ofiara wypadku), którego stać na opłatę za transport medyczny lub za którego dowieszenie zapłaci zaprzyjaźniony szpital. Po wydatkach na benzyne, leki i sprzęt medyczny zostaje niewiele. A pieniędzmi trzeba jeszcze dzielić się z policjantami żądającymi łapówek. Nie zapłacisz – nie pojedziesz, bo zawsze znajdzie się pretekst: tablice rejestracyjne nie takie jak trzeba albo bałagan w papierach. Kilka nocy bez zarobku i będzie trzeba oszczędzać na jedzeniu, żeby wystarczyć na benzynę. Bracia Ochoa przechodzą więc na jadłospis składający się tylko z dwóch posiłków dziennie, a żeby było taniej, jedzą kukurydzą i tuńczyka z puszki. Nawet najtańszy street food jest dla nich zbędnym luksusem.

Finałowa scena dokumentu Luke’a Lorentzena: oto pacjentka zabrana z miejsca wypadku zmarła w drodze do szpitala. Bliscy mają pretensje: „Dlaczego nie zabraliście jej do najbliższej placówki? Czemu jechała aż tutaj?”. Snujemy przypuszczenia: bo tutaj czekało honorarium. Ale nie musiało tak być, cały film jest opowieścią o tym, w jak dziwnej i dziwnej krainie się znajdujemy. Spójrzmy więc, jak było: policja nie pozwala prywatnym karetkom zabierać rannych, bo pierwszeństwo mają karetki państwowe. Ofiary czekają po pół godziny i więcej, a przecież o życiu lub śmierci może zdecydować każda chwila. Gdy wreszcie prywatni ruszają w drogę (bo państwowe karetki oczywiście ostatecznie nie przyjeżdżają), okazuje się, że pod wskazanym szpitalem stoi kolejka ambulansów, które przyjechały wcześniej. A oczekiwanie na przyjęcie może potrwać kolejne pół godziny albo i o wiele dłużej. Załoga Ochoa podsuwa rozwiązanie: są inne szpitale, spróbujmy tam.

Wszystko na nic, pacjentki nie udało się uratować. Tyle że aby przeżyć kolejny dzień, trzeba wyciągnąć rękę do pograżonej w żalu rodziny: tak czy inaczej musicie zapłacić za transport. Może chociaż 1,5 tys. peso? Nie chcę tu wchodzić w rozważania na temat zasad działania rozmaitych opiek zdrowotnych w poszczególnych krajach, ale i z filmu Lorentzena, i z serialu Apple TV można

wyciągnąć wniosek, że hybryda państwowo-prywatna w Meksyku łączy najgorsze cechy obu systemów.

TO NIE JEST SERIAL PREMIUM

Film dokumentalny „Midnight Family” był dokonaniem wybitnym. A serial, którego pierwsze odcinki możemy od niedawna oglądać w serwisie Apple TV+? Podchodziłem do tej premiery z wielką podejrzliwością: pewnie przerobią prawdziwe tragedie

w telenowele. Na szczęście tak się nie stało, choć oczywiście fikcja rządzi się swoimi prawami, więc rozmaite rzeczy trzeba było dopisać. Właściciel karetki dostał więc w prezencie od scenarzystów dodatkową córkę, która studiuje medycynę. Marigaby symbolizuje aspiracje biedaków – jako pierwsza w rodzinie ma szansę na ukończenie studiów, w dodatku są to studia medyczne. Swoje nocne zaangażowanie w rodzinny biznes musi ukrywać, bo studenci mają zakaz praktykowania medycyny dopóty, dopóki nie ukończą studiów.

Każdy dostał tu swoją historię: Marigaby rozdarta jest nie tylko między pracą i nauką, lecz także między potajnym związkiem z jednym z wykładowców oraz rodzajem się uczuciem do kolegi z roku. Patriarcha rodziny, Ramón, poważnie choruje na serce – co ukrywa przed resztą rodziny. Jego najstarszy syn dowiaduje się, że jego dziewczyna (recepjonistka w zaprzyjaźnionym szpitalu) jest w ciąży, poza tym od dawna namawia go do porzucenia rodziny, bo w Stanach czeka przecież lepsze życie. Mały Julito za dnia chodzi do szkoły, nocą pomaga starszym w karetkach; to drugie podoba mu się o wiele bardziej, więc prymusem nie jest. No i tęskni za mamą, która całe to towarzystwo kilka lat wcześniej porzuciła.

I byłaby to kolejna rutynowa telewizyjna opowieść obyczajowa – bo siłą rzeczy większość uwagi widza przykuwają kłopoty osobiste członków rodziny Tamay – gdyby nie to, że twórcom serialu udało się wiele zachować z dokumentu. Niektóre sceny zostały zapożyczone wprost – poranna kłótnia w mieszkaniu, gdzie z prysznicu leci tylko zimna woda, spory

małego brata ze starszym na temat tego, czy jest sens chodzić do szkoły, nieustanne obrachunki – kto dziś zapłaci za leki, kto za obiad, czy wystarczy na paliwo, czy będzie praca dziś w nocy. Serial „Rodzina z karetki” jest dużo bardziej kolorowy, czasem zamienia się w melodramat, ale jego akcja rozgrywa się w tym samym świecie co akcja dokumentalnego „Midnight Family”. Bohaterowie fikcji stoją przed tymi samymi problemami, co prawdziwi paramedycy z miasta Meksyk, i tak samo jak oni balansują nad przepaścią.

Niektóre wątki zostały podkreślone – sam się zastanawiam, czy dzięki inwencji scenarzystów czy po prostu dlatego, że Luke Lorentzen w dokumencie nie miał na nie miejsca (koncentrował się na nocach rodziny Ochoa). Ot, rozmowa szpitalnego lekarza z chorym na serce Ramónem – załatwić ci odpowiednie leki, ale będziesz mi winien pięć przejazdów (karetki z nowym pacjentem, ma się rozumieć). Chcesz EKG? Trzy przejazdy ekstra. Badanie krwi? Dwa przejazdy. W tej dżungli wszystko kosztuje, ale nazbyt często płaci się zdrowiem i życiem. Inne wątki złagodzone: w filmie dokumentalnym jeden z braci trafia do aresztu, bo naraził się skorumpowanemu gliniarzowi; w serialu zostaje zatrzymany, bo miał pecha trafić akurat na uczciwego, i to jemu zaproponował odpalenie paru peso.

„Rodzina z karetki” to nie jest serial premium, nie będziemy o nim dysktować latami, jak o „Rodzinie Soprano”, ale wyróżnia się wśród konkurencji szlachetną tradycyjnością. To prosta opowieść o zwykłych ludziach, którzy próbują związać koniec z końcem w nieprzyjnym świecie, o tym, jak ważna jest rodzina, o tym, że jeśli chcesz więcej, to musisz na to zapracować. Jego bohaterowie balansują czasem na granicy prawa, ale to nie oni są nieuczciwi – to system, w którym żyją, jest nieuczciwy. A kiedy przychodzi chwila próby (w trzecim odcinku jest to wielkie trzęsienie ziemi, podobne do tego, które nawiedziło Meksyk w 2017 r.), można liczyć właśnie na nich. Wtedy też, w serialu stroniącym od politycznej czy ideologicznej perswazji, pojawia się proste przesłanie: możemy mieć różne poglądy na wszystko, ale przetrwać możemy tylko razem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAL PRASOWE



PIOTR GOCIEK

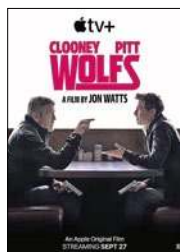
OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Tak. Ale po co?



i prowadząca donikąd. W dodatku letnia, jakby twórcom zabrakło odwagi, by albo przycisnąć gaz do dechy i zrobić z tego prawdziwą komedię akcji, albo dać aktorom porządną materię, żeby zrobić z tego komediodramat charakterów. Watts reżyserował kiedyś zręcznie niskobudżetowe horrory i to wystarczyło, żeby zaczął potem kręcić dla Marvela kasowe hity o Spider-Manie. Do „Samotnych wilków” sam napisał scenariusz i przebąkuje coś nawet o tym, że może będzie sequel. Nie, nie i po stokroć nie, szkoda czasu ekipy i widzów.

Dzięki gwiazdorskiej obsadzie miał film Watts trafić w wielkiej liczbie kopii do kin, ale w sierpniu nagle zmieniono tę decyzję i „Samotne wilki” gryzą od razu w streamingu. Wcale się nie dziwię – prawdopodobnie ktoś w Apple obejrzał gotowy produkt i złapał się za głowę, oszczędzając firmie wydatków na promocję i dystrybucję. Mądry człowiek, dać mu awans. ©©



★★★★★
REŻ. JON WATTS
„SAMOTNE WILKI”
(„WOLFS”)
USA 2024

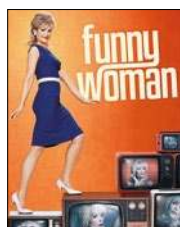
wyst. George Clooney, Brad Pitt, Amy Ryan

Trup w hotelowym pokoju. I co wtedy? Jeśli masz odpowiednie kontakty, to zamiast na policję dzwonić do fixera – gościa, który to wszystko załatwi. Margaret (Amy Ryan) dostanie ich nawet dwóch, bo w hotelu są kamery i własnego fixera wysłała dyrekcja. Tak oto w pokoju Margaret spotyka się dwóch gości przekonanych o tym, że są jedyni w swoim fachu: George Clooney i Brad Pitt.

Rywalizacja między panami, która – wiemy o tym, bo takie są zasady gatunku – musi zamienić się w szorstką przyjaźń, to w zasadzie cały pomysł na film, coś jak „Dwaj zgryźliwi tetrycy” XXI stulecia. Clooneya i Pitta zawsze miło widzieć razem na ekranie (jak w trylogii Soderbergha „Ocean’s

Eleven”) i, owszem, charyzmy nie stracili, jednak to za mało, by zaliczyć komedię Jona Watts do udanych. Potrzebny byłby jeszcze np. scenariusz, ale jego w zasadzie nie ma, bo cała intryga sprowadza się do kilku zadań niczym misje w grze wideo: zajmij się ciętym, znajdź lekarza, znajdź chłopca, znajdź gadżet, bez którego nie wykonasz finału misji. Koniec. Te sekwencje bywają lepsze lub gorsze (fragment z lekarką jest zabawny, fragment z pościgiem – nudny, kawałek z tańcem na gangsterskim weselu – raczej żenujący). Gwiazdorzy robią, co mogą, ale z pustego i Clooney z Pittem nie naleją.

Pochwalne opinie niektórych krytyków mam raczej za dowód upadku tego zawodu, bo „Samotne wilki” to opowieść o niczym



NOWE SERIALE: „FUNNY WOMAN”

Ciąg dalszy opowieści „jak zostać gwiazdą telewizyjnej komedii” – co nawet w szalonym Londynie lat 60 XX w. nie jest łatwe. W drugim sezonie serialu inspirowanego powieścią Nicka Hornby’ego „Funny Girl” (polskie wydanie w roku 2015) Sophie (Gemma Arterton) szuka nowych dróg

rozwoju. Może kino niezależne, może autobiograficzny stand-up? Brytyjska odpowiedź na „Wspaniałą panią Maisel”, nierówna, ale ciekawa. ©© **Piotr Gociek**

• **sezon 2 „Funny Woman”, Wielka Brytania 2024**



NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Kevin Konrad Hanna
„Mike Mignola: Drawing Monsters”, USA 2024
- sezon 1 „Zmierzch bogów” („Twilight of the Gods”), USA 2024
- sezon 3 „Stamtąd” („From”), USA 2024

Za dużo gadał

KINO

Arcydzieło kina zemsty wraca! „Oldboy”, na przekór tytułowi, wcale się nie zestarzał. Ba, na tle chybionego amerykańskiego remake’u wydaje się świeży jak kałamarnica, którą Oh-dae Su pożera po 15 latach spędzonych w obskurnej kawalerce z telewizorem. Ktoś inny pewnie by zwariował, lecz on zmienia się w potwora. Odzyskawszy wolność, ma tylko dwa cele: dopaść człowieka, który go więził, i dowiedzieć się dlaczego. Film potwierdza tezę, że jedynym uniwersalnym językiem kina jest przemoc. I to wcale niesymboliczna. Chan-wook Park raczy publiczność scenami wyrwania zębów bez znieczulenia czy obciążenia języka (czy to nie Słowianie karali w ten sposób oszczerstwo lub brak dyskrecji?).



★★★★★
REŻ. CHAN-WOOK PARK
„OLDBOY”
KOREA PŁD. 2003
wyst. Min-sik Choi, Ji-tae Yu, Hye-jeong Kang

Skośnooki hrabia Monte Christo rozprawia się z przeciwnikami uderzeniami młotka, gdyż posiadanie broni palnej jest w Korei zakazane. Zdarzają się przebłyki czarnego humoru („oddaję pierścień, dłoń wyrzuciliśmy, bo zaczęła gnić”), lecz nie o częstą rozrywkę tu chodzi, a o katharsis. „Oldboy”, będący ekranizacją japońskiej mangi, żwawo zmierza w stronę greckiej tragedii. Dwadzieścia jeden lat po premierze reżyser chce nakręcić wersję serialową, ma się rozumieć anglojęzyczną. Pewnie znów będzie czarował obrazem i okcydentalną muzyką. Ale jak powtórzyć efekt zaskoczenia? Bez zmiany zakończenia raczej się nie obejdzie. ©©
Wiesław Chełmniak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KREW Z NOSA

KINO



★★★★★
REŻ. HALFDAN ULLMANN TØNDEL
„ARMAND”
NORWEGIA 2024

Zbliżają się wakacje, a tu taki pasztet. Syn znanej aktorki zostaje obwiniony o molestowanie rówieśnika w szkolnej toalecie. Ciało pedagogiczne, kierując się tyleż konformizmem, co zdrowym rozsądkiem, nie chce rozdmuchiwać sprawy. Domniemany seksualny drapieżnik ma przecież sześć lat. Niestety, z winy rodziców upragniona konsolidacja zamiast zbliżyć, coraz bardziej się oddala. Która ze znerwicowanych kobiet mówi prawdę, a która konfabuluje? Podobno najwięcej genów dziedziczymy po dziadkach. Reżyser debiutant nie uniknie więc porównań do Bergmana, a jako Norweg – do ekspresjonisty Muncha tudzież symbolisty Ibsena. Tak, „Armand” jest duszną psychodramą. Akcja filmu sączy się leniwie, jak krew z nosa wicedyrektorki szkoły. Wnuka twórcy „Persony” realistyczna konwencja nudzi i męczy. Zmienacka zmienia ją więc na symboliczno-baletową. Morał: lepsza szczerza nienawiść niż fałszywa przyjaźń.

wyst. Renate Reinsve, Elle Dorrit Petersen, Øystein Røger

SOLO, ALE W DUECIE

apple tv



★★★★★
REŻ. HERBERT ROSS
„SUITA KALIFORNIJSKA”
 („CALIFORNIA SUITE”)
USA 1978

Bądźmy szczerzy, śp. Maggie Smith w ekranizacji „Harry’ego Pottera” i telewizyjnym tasiemcu „Downton Abbey” zbyt się nie wysilała. Owszem, role ekscentryczek przyniosły jej światową sławę, lecz artystyczne wyżyny osiągnęła o wiele wcześniej. W teatrze, ale też w „Kalifornijskiej suicie”.

wyst. Maggie Smith, Michael Caine, Jane Fonda

To kolejny paradoks. Miątko komedynka o pięciu parach zameldowanych w tym samym hotelu w Beverly Hills już dawno pogrążyłaby się w odmętach zapomnienia, gdyby nie brytyjski duet. Maggie gra kobietę lubiącą ciosać kółki na głowie małżonka. Michael Caine znosi to z anielską cierpliwością, bo zdaje sobie sprawę, że hollywoodzki klimat aktorom szekspirowskim szkodzi. Oscar i Złoty Glob za rolę sekutnicy, której Oscar przeszedł koło nosa – takie cuda nie zdarzają się często. Wyobrażam sobie miny amerykańskich gwiazd, które w tym filmie poprzestały na wygłupach. ©©
Wiesław Chełmniak

GRA TYGODNIA: „FROSTPUNK 2”

Pierwsza część survivalowej strategii od polskiego 11 bit studios została doceniona przez recenzentów i graczy. Jako garstka ocalałych po apokalipsie próbowaliśmy przetrwać w nieprzyjnym, mroźnym świecie. Część druga dzieje się trzy dekady

później. Nie jest to prosta kontynuacja sprawdzonej konwencji, 11 bit zdecydowało się na eksperymenty. Zarządzamy bardziej w skali makro. Zarządzamy kilkoma osadami, dzieląc zasoby, których zawsze brakuje. Dalej stajemy przed trudnymi



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★
dylematami moralnymi, zwłaszcza że nie uciekniemy tu od polityki. ©©
Radosław Wojtas

• **Gatunek:** strategiczna
• **Platforma:** PS5, XSX, PC
• **Producent; wydawca:** 11 bit studios

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Nie trzeba głośno mówić

Czterdziesta rocznica męczeńskiej śmierci bł. ks. Jerzego Popiełuszki przyniosła kilka wartościowych książek poświęconych tej wyjątkowej postaci w dziejach polskiego państwa i Kościoła. Odnotowuję więc w tym miejscu „Męczennika za wiarę i wolność”, ilustrowaną biografią kapelana Solidarności pióra Joanny Sosnowskiej, skupiając się jednak na książce Krzysztofa Kąkolewskiego, wybitnego twórcy literatury faktu, który koncentrując się na procesie zabójców ks. Jerzego, odsłonił nieznane szerzej kulisy zbrodni, wpisując ją w wiele działań podejmowanych – nie tylko przez polskich (?) komunistów – przeciw Kościołowi, a wiążących się z próbą zabójstwa Jana Pawła II.

W tej edycji „Popiełuszko. »Będziesz ukrzyżowany«” ukazuje się po raz pierwszy, ale starszym czytelnikom przypomną się zapewne takie książki zmarłego w 2015 r. pisarza, jak „Ksiądz Jerzy w rękach oprawców” czy głośne reportaże, które autor publikował na ten temat w „Tygodniku Solidarność”.

Doskonale pamiętam tamten czas i dystansowanie się środowisk opiniotwórczych odnośnie do tego, co pisał Kąkolewski. Dość powszechnie wydawało się, że pisarz wyolbrzymia rolę służb specjalnych, jak również podąża sowieckim tropem zbrodni, nie mając po temu dostatecznych dowodów. Generalnie dawało się wyczuwać narzuconą, jakżeby inaczej, przez „Gazetę Wyborczą” tendencję, którą można by podsumować aż za dobrze znanym zdaniem: „Ciszej nad tą trumną”. A ściśle rzecz biorąc, nad procesem toruńskim, który wyjątkową hańbą okrył wymiar sprawiedliwości czy raczej niesprawiedli-

wości w powojennej Polsce. To, co się działo na sali sądowej, miało na celu uczynienie ze sprawy politycznej zbrodni kryminalnej, a główny oskarżony – Grzegorz Piotrowski – kreowany był jeśli nie na bohatera, to na ofiarę, podczas gdy winnym stawał się zamordowany kapłan.

Polacy, na szczęście, nie dali się wziąć na lep tej obłędnej manipulacji. W pogrzebie ks. Popiełuszki – 3 listopada 1984 r. – wzięło udział, jak się szacuje, od 500 tys. do miliona osób. Takiej manifestacji Warszawa nie widziała, a kościół św. Stanisława Kostki na Żoliborzu, gdzie pochowano męczennika, stał się miejscem pielgrzymek z różnych stron kraju i świata.

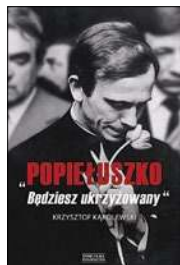
Sadystycznych zbrodniarzy dotknęła powszechna pogarda; nie godzono się ze stosunkowo łagodnymi wyrokami i ze zmniejszeniem kar na mocy amnestii. Co nie znaczy, że propaganda sączona – jak powszechnie sądzono – przez moralnego sprawcę tej zbrodni Jerzego Urbana nie pozostawała bez echa. Niezawodna Agnieszka Holland w 1988 r. zrealizowała za granicą film „Zabić księdza” z Edem Harrisem w roli sprawcy mordu, odrąbanego przez społeczeństwo, wyrzuconego na margines życia, no, nieszczęśnika, nad którym wypada się pochylić i zmówić razem z nim paciorek, bo – było tak, a jakże – Piotrowski przebywając w więzieniu, nagle się nawrócił, nad czym, naturalnie, wkrótce przeszedł do porządku dziennego i już na wolności kontynuował swą antykościelną krucjatę w antyklerykalnym tygodniku „Fakty i Mity”.

A jednak – czytamy w książce Krzysztofa Kąkolewskiego – „Piotrowski jest ofiarą w tej sprawie. Można mówić o krzyżu.

Łotrze wiszącym na krzyżu, obok krzyża księdza Jerzego. Za plecami Piotrowskiego schowała się nie tylko sądzona z nim »banda generałów«, jak Płatek i Pietruszka, ale także najwyżsi na terenie kraju zwierzchnicy: Kiszczak, Jaruzelski, jak i Andropow, i dziedziczący po nim Gorbaczow. Może nawet Jelcyń i Putin, w ich rękach znajdują się dane, drobiazgowo zebrane przez tajną i jawną rezydenturę KGB oraz rezydentury GRU, odzwierciedlające przebieg operacji w stosunku do księdza Jerzego i jej skutki. Jeśli ma się tak potężnych protektorów, a zarazem dług, który u niego zaciągnęli jest tak wielki, że trudny do oszacowania, trzeba się mieć na bacności. Piotrowski jest nosicielem tajemnicy – naziści nazywali taką osobę Geheimnistraeger”. A „zabezpieczył się tak, że nie opłacało się zabić go”.

Pisarz wyciągał wnioski z akt sprawy, wyłapywał sprzeczności i jawne przeinaczenia. Przed laty Józef Mackiewicz dał jednej ze swoich najlepszych książek ironiczny tytuł: „Nie trzeba głośno mówić”. Otóż o zbrodni popełnionej na ks. Jerzym Popiełuszce i o przerażającym procesie sprawców tej zbrodni należy krzyczeć, bo tego zapomnieć nie wolno.

„Mordercy, nim księdza Jerzego zabili, liczyli na to, że da się tego uniknąć dzięki zastraszeniu – pisał Kąkolewski. – Jak ongi Bock, który żegnał świętego Maksymiliana, wstrzykując mu fenol, słowami: »Teraz ci będzie lżej na drodze do wieczności«, także funkcjonariusze SB lubowali się w aforyzmach, metaforach i alegoriach. Telefonowali całe miesiące, powtarzając natrętnie, jak katarynka, kwestię: »Będziesz ukrzyżowany«. Tak też się stało. ©©



★★★★★
KRZYSZTOF
KĄKOLEWSKI
„POPIEŁUSZKO.
»BĘDZIESZ
UKRZYŻOWANY«”
ZYSK I S-KA,
POZNAŃ 2024



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

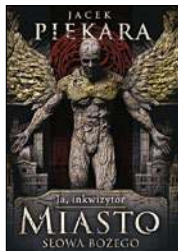
On, inkwizytor

Inkwizytor Mordimer Madderdin powraca, ale jest to zarazem nowy początek, bo powieść „Miasto Słowa Bożego” jest pierwsza w nowym wydawnictwie. Dla nowych czytelników zatem kilka słów. Akcja książki o Madderdinie rozgrywa się w świecie alternatywnym, „zbliżonym do naszego, historycznego świata Renesansu” – podpowiada autor, ale nie w epokach historycznych i geografii tkwi podstawowa różnica, lecz w religii. W tym świecie Chrystus zamiast umrzeć na krzyżu, zstępuje z niego, by wraz z apostołami krwawo zemścić się na swych oprawcach, co zmienia chrześcijaństwo z religii miłosierdzia w religię pomsty. O nieuchronność i sprawiedliwość kary dbają inkwizytorzy. I mają ręce pełne roboty, bo mieszkańcy tego świata, tak jak naszego, są grzeszni, fałszywi, chciwi, skłonni do przemocy itd. Są tacy, którzy uważają za koncept Piekary za bluźnierczy, ja widzę w nim raczej smutny rachunek wystawiony naszej rzeczywistości. Uważacie świat Madderdina za okrutny? Spójrzcie dookoła – w naszym uniwersum Jezus umarł za nasze grzechy. I co? Dużo lepiej to wszystko wygląda?

Jest to więc prowokacja, ale prowokacja mądra. Od sa-

mego początku serii Piekara wplata w swoje fabuły autentyczne lub nieco przetworzone cytaty z Biblii, pokazując, jak niewielkie przesunięcia akcentów przynoszą zupełnie inne przesłanie (kamyczek do ogródka tłumaczy i interpretatorów). Radosław Bień w szkicu poświęconym cyklowi inkwizytorskiemu (w tomie prac „Wokół źródeł fantasy”, Uniwersytet Zielonogórski 2009) nie ma wątpliwości, że złożoność tej prozy i wymagania [intertekstualne – dopisek P.G.] stawiane czytelnikowi kwalifikują twórczość Piekary do „wysokiej literatury fantastycznej”.

Nade wszystko jest jednak świat Madderdina okazją do opowiadania niezliczonych fabuł o zbrodniach i karach, zatem podstawowym paliwie literatury popularnej. A Piekara ma duszę gawędziarza, opowiada obficie, ze szczegółami, wplatając anegdoty w anegdoty. Zanim jego bohaterowie ruszą z pałacu na wyprawę (cel – odzyskać zbroję relikwii, minie dobrych 100 stron. Są tacy, którzy tego stylu nie cierpią, są rzesze czytelników, które uwielbiają. Wszystko w oku obserwatora; Piekara stworzył jeden z nielicznych światów polskiej fantasy, który sprawdza się i na serio, i jako pas-tisz. ©©



★★★★★
JACEK PIEKARA
„JA, INKWIZYTOR.
MIASTO SŁOWA
BOŻEGO”
ZYSK I S-KA 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Osąd”, „Przemienienie”, „W kolonii karnej” – nowe tytuły znanych nowel Kafki, bo i nowy przekład Łukasza Musiała, który także opatrzył zbiorek posłowiem podpowiadającym nowe tropy i interpretacje.



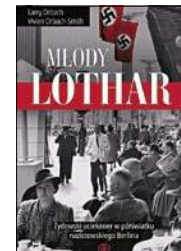
FRANZ KAFKA
„KARY”
OFFICINA

To nie poradnik dla ignorantów, lecz prowokacyjny esej o tym, co sztuka czytania oraz nieczytania mówi o społeczeństwie i współczesności. Książka bardzo zabawna i jednocześnie bardzo gorzka.



PIERRE BAYARD
„JAK ROZMAWIAĆ
O KSIĄŻKACH,
KTÓRYCH SIĘ
NIE CZYTAŁO”
PIW

Historia niemal jak z „Flipa” Tyrmanda – młody Żyd ucieka przed gestapo, by przez kolejne lata ukrywać się w półświatku Berlina. W jednym z ostatnich transportów trafił do Auschwitz. Jego wspomnienia spisała córka.



LARRY ORBACH,
VIVIEN
ORBACH-SMITH
„MŁODY LOTHAR”
REBIS

Obszerna opowieść o polskim komiksie SF lat 1946–1989, od pasków zamieszczanych w prasie, przez elementy fantastyczne u klasyków gatunku, do magazynów „Alfa” czy „Relax” i albumów wydanych już w latach 80.

recenzuje Piotr Gociek



MARCIN OSUCH,
KONRAD
WĄGROWSKI
„POZAZIEMSCY
BOGOWIE
I KOSMICZNI
DETEKTYWI”
KURC

KOMIKS TYGODNIA:

„ŻEŃ-SZEŃ..”

Potężny kawał życiopisania w formie powieści graficznej. Thompson wspomina czasy, gdy jako dziecko pielął pola żeń-szenia na farmie w Wisconsin, przechodzi kryzys wieku średniego jako część generacji, której nie nauczono bronić własnego punktu widzenia, przygląda się chińskim i amerykańskim



CRAIG THOMPSON
„ŻEŃ-SZEŃ.
ZGNIŁE
KORZENIE”
TIMOF COMICS
2024

strategiom życiowym, opisuje niedolę białych bidoków.

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Romantyczny realista

Józef Chełmoński przyszedł na świat w rodzinie zubożałej szlachty w majątku w Bocz-kach, które dzierżawił jego ojciec. Pola, łąki i lasy otaczające jego rodzinny dom pozostaną z nim na zawsze. Uczył się w prywatnej pracowni Wojciecha Gersona, w Monachium (w którym nie czuł się dobrze), zwiedzał Włochy, Podole, uznanie zdobył w Paryżu.

Jeden z najwybitniejszych polskich realistów, znajdujący

inspirację w literaturze polskiego romantyzmu, zwłaszcza w twórczości Mickiewicza. „W Kukłowie na honorowym miejscu, wśród obrazów i studiów, wisiał auto-graf poety” – pisał historyk sztuki Maciej Masłowski. Wymykał się konwencjom. „Tworzył w sposób instynktowny i intuicyjny, niezależny od jakichkolwiek założeń programowych” – piszą autorzy wystawy malarstwa Chełmońskiego w MNW, która „ukaże go jako kronikarza codziennego życia wsi, artystę zafascynowanego końmi, [...] jako wrażliwego obserwatora natury, dostrzegającego także duchowy, religijno-mistyczny wymiar jej bytu”. ©©

GDZIE? Muzeum Narodowe w Warszawie
KIEDY? do 26 stycznia 2025 r.



FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE



FOT. BIBLIOTEK KUL

CZŁOWIEK POSŁANY

W stulecie święceń kapłańskich ks. prof. Wincentego Granata (1900–1979), wybitnego teologa, dogmatyka, humanisty, rektora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (1965–1970), Biblioteka Uniwersytecka KUL przygotowała wystawę poświęconą temu kapłanowi zmarłego w opinii świętości. Prezentowane są jego publikacje, opracowania dotyczące jego życia i twórczości, a także liczne fotografie dokumentujące działalność ks. Granata. ©©

GDZIE? Lublin, Biblioteka Główna KUL
KIEDY? do 30 listopada



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

W trakcie potopu

Wytwórnia Sony Music wykupiła w 2022 r. za 200 mln dol., prawa do nagrań noblisty.

Jednocześnie liczba wydawnictw płytowych z nazwiskiem Dylan, które w ostatnich latach pojawiły się na rynku, przypomina tsunami.

W 2016 r. ukazał się box „The 1966 Live Recordings” zawierający 36 CD (!), trzy lata później wydano „The Rolling Thunder Revue” 14 CD, w 2023 r. „The Complete Budokan 1978” 4 CD, a teraz „The 1974 Live Recordings” zawierający 27 kompaktów.

W 1974 r. Bob Dylan, po ośmiu latach nieobecności, ruszył w trasę koncertową. Z zespołem The Band zagrał ok. 30 koncertów w ciągu 42 dni. Pięćdziesiąt lat temu to

wydarzenie świetnie udokumentował podwójny album o proroczym tytule „Before the Flood” („Przed potopem”).

„The 1974 Live Recordings” zawiera 431 nagrań, z których 417 nie było wcześniej publikowanych. Przy czym na każdym z kompaktów lista utworów jest mniej więcej podobna. Tego typu wielopłytkowe wydawnictwa określa się mianem „Nigdy nie wysłuchasz czwartego krążka”. Natomiast taki box, w cenie ok. 600 zł, świetnie wygląda na półce! Pozycja wyłącznie dla zatwardziałych fanów i historyków Dylana. Zamiast tego pudła zdecydowanie bardziej polecam wersję jednokompaktową – „The 1974 Live Recordings – Sampler”. ©©



★★★★★
BOB DYLAN
„THE 1974 LIVE RECORDINGS”
SONY MUSIC



★★★★★
THURSTON MOORE
„FLOW CRITICAL LUCIDITY”
DAYDREAM LIBRAR

Dziewiąty solowy album byłego lidera Sonic Youth rozpoczyna odjechana rymowanka dla przedszkolaków. Po czym wkraczamy do znajomej krainy przestrojonych gitar, onirycznych medytacji i nieskrępowanego jazgotu.



★★★★★
KRZYSZTOF CUGOWSKI & ZESPÓŁ MISTRZÓW
„WIEK TO TYLKO LICZBA”
MYSTIC

Ostra rockowa podróż do epoki władania gitarowego rocka. Głos jak dzwon, teksty znająco kłują albo nostalgicznie rozczulają, bluesowe gitary tną ostro, klawisz buduje klimacik, ballady rozdzierają serce...

Kiedy przyjdą podpalić dom



Krzysztof Masłowski

Przełom, który tego wiecznie rozczochranego okularnika wydobył z akademickiej niszy, dokonał się za sprawą świetnej parodii przeboju Drupiego „Provincia”. Pod tytułem „Ragazzo da Napoli”

Czterdzieści trzy lata temu, w sierpniu 1981 r., na dziś legendarnym Przeglądzie Piosenki Prawdziwej, który odbył się w gdańskiej hali Olivii, publiczność nagrodziła go Złotym Kneblem, obok m.in. Jacka Kaczmarskiego i Macieja Zembatego. Wykonywano tam „zakazane piosenki”, choć koncerty oczywiście nie były transmitowane, dzięki nagraniom na kasetach błyskawicznie obiegiły cały kraj i niebawem jak Polska długa oraz szeroka powtarzano wezwanie Jacka Woźniaka wyartykułowane w „Piosence na wszelki wypadek”, by „w tę d... wypiętą na Polskę, kopa dać, choćby była czerwona”. Bodaj tylko równie popularna stała się fraza wyśpiewana przez Jana Tadeusza Stanisławskiego: „Uczyła mnie mama, bym się nie bał chama”. Na utwory te niesłychanie wybrzydzał w „Polityce” znany esteta Daniel Passent, wszystkim innym bardzo się podobały.

Zwoźniak z powodzeniem prezentował w Olivii także inne swoje piosenki, wśród nich tę o „Najpiękniejszej w klasie

robotniczej” (chodziło naturalnie o Solidarność), a także „Wio, koniku”, „Szoruj, babciu, do kolejki” i „Milicja, Wrocław i ja”. Ta ostatnia miała już swoją historię, nagrodzony został bowiem za nią Zwoźniak m.in. na... Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu w roku 1976 na koncercie debiutów. Tyle że słyszeli ją tylko widzowie tego koncertu, zaśmiewający się przy padających z estrady słowach:

Niebieskie mundury, po szynach mkną Wrocławskie tramwaje.

Niebieskie mundury – ktoś nosi to? Poznajesz? – poznaj!

Są w całej Polsce od gór aż do morza, Jako te chabry wśród łanów zboża.

Czterdzieści lat z hakiem, a jeszcze lat sto –

Niech żyje, niech żyje MO.

Był czerwiec 1976 r. – ten sam, który upamiętnił się szczególnie w Radomiu i Ursusie. Minęło jednak pięć lat. Weszliśmy w apogeum karnawału Solidarności i Zwoźniak najzwyczajniej w świecie olał dyspozycję cenzury, by w żadnym wypadku nie wychylać się z żadnym kopem wymierzonym w czerwone cztery litery, bo to zagraża naszym sojuszom. Grożono mu potem prokuratorem, ale że władza miała ważniejsze sprawy na głowie, na pogróżkach się skończyło. A po 13 grudnia realia zmieniły się już diametralnie.

W stanie wojennym Jacek Zwoźniak pisał i wykonywał, gdzie mógł i gdzie nie mógł, takie piosenki jak „Wracaj, Polsko, do cywila: „Niech do koszar wraca wojsko, / do domów internowani. / A ty wracaj do nas, Polsko – / tak czekamy”.



FOT. STEFAN KRZYSZKOWSKI/PAF

Przez lata funkcjonował Zwoźniak w kręgu kultury studenckiej, występując na Yapie w Łodzi czy na Przeglądzie Piosenki Autorskiej w Hybrydach, co czynił na ogół z kolegami: Kubą Wenclem i Markiem Ferdkiem. Razem tworząc kabaret BABA. Przełom, który tego wiecznie rozczochranego okularnika wydobył z akademickiej niszy, dokonał się za sprawą świetnej parodii przeboju Drupiego „Provincia”. Pod tytułem „Ragazzo da Napoli” brzmiał on tak:

Twój ragazzo Forda Capri ci nie kupi, „Buonanotte” pewnie też nie powie ci...

Jeszcze wierzysz, że dla ciebie śpiewał Drupi...

Ciao, bambina – spadaj mała, tam są drzewa.

W radiowej Trójce można już było usłyszeć takie utwory Zwoźniaka jak ten właśnie, jak „Wy miastowi”, „Córka poety” czy – w swoim czasie również obłożony anatemą – przejmujący „Szoruj, babciu, do kolejki” z wymownym zakończeniem: „Szoruj, babciu, do kolejki,

zlew i wannę / Zostaw szynkę, jadaj kleik albo mannę, / Pierz skarpetki, kurze ścieraj, jadaj dżemy / I broń Boże nie umieraj – bo zginiemy”. Stał się bardem rozpoznawalnym.

Wolną Polską się jednak nie nacieszył. 18 czerwca 1989 r. zginął w wypadku samochodowym, razem ze swoim przyjacielem i artystycznym partnerem Kubą Wenclem. Miał 37 lat.

Przypominam w całości jego „Piosenkę na wszelki wypadek”. Właśnie na wszelki wypadek:

Kiedy przyjdą podpalić dom, Jeśli zechcą ci go zapaskudzić, To nie czekaj, aż zbudzi cię grom, Bo się z ręką w nocniku obudzisz. Czas odnowy, dla brudu pogardy, Gdy dom sprząta się, myje i bieli, Wciąż próbuj nam naszczać do farby, Jak takiego w łeb pałą nie zdzielić? Będą ślali ulotki, instrukcje, Opowiadać rzeczy i takie, Że widzieli tu kontrewolucję Pełzającą pospół z kułakiem. Trza nam wytrwać w działaniu i trosce I uważać, bo sprawa to drańsko, Lecz za dłoń wyciągniętą ku Polsce W mordę łać, choćby była słowiańska! Są w ojczyźnie rachunki krzywd, Nadszedł czas, że pospłacać je trzeba, Bo już w twarz nam nie będzie pluł nikt, Choć publicznie by potem ubolewał. I nie trzeba obstawiać się wojskiem, Bo bez sensu dziś taka obrona, Lecz w tę d... wypiętą na Polskę Kopa dać, choćby była czerwona! Od początku znów zacząć nam przyszło I choć nieraz ku temu był sprzeciw, Przyjdą czasy, że w kraju nad Wisłą Będą mieszkać polscy poeci. I nie spadnie nam z głowy korona Gdy tej zgrai, co Polski by chciała, Nie będziemy cytować Cambrenne'a Lecz powiemy: O, takiego wała! © ©



Piotr Semka

Wiele razy w historii padliśmy ofiarą arbitrażu wielkich mocarstw nie liczących się z naszymi aspiracjami narodowymi i suwerennościowymi. Tym bardziej powinniśmy wystrzegać się tego w stosunku do Ukrainy

Najbliższe miesiące nie będą łatwe dla Ukrainy. Prezydent Wołodymyr Zełenski lansuje swój plan pokojowy, ale nic nie wskazuje na to, by jakaś forma rozpoczęcia negocjacji pokojowych z Rosją była w najbliższym czasie aktualna. Niedawno odwiedził Amerykę, gdzie jego największym osiągnięciem było spotkanie z Donaldem Trumpem. Uzyskał od kandydata republikanów obietnicę wsparcia USA w kontynuowaniu wojny. Teraz najważniejszą datą jest 13 października i wynik spotkania w Ramstein, gdzie na czele z prezydentem Joe Bidenem liderzy państw zachodnich mają wyrazić zgodę na użycie zachodnich broni do operacji na terytorium Rosji.

Ale najwięcej trosk Zełenskiego dotyczy ukraińskiej energetyki. Dla Ukraińców może to być najcięższa zima od czasów drugiej wojny światowej. Od marca do końca sierpnia Rosjanie przeprowadzili 10 zmasowanych ataków na ukraiński system energetyczny. Metodycznie niszczone rozdzielnice transformatorów i urządzenia przesyłowe elektrowni jądrowych. Ukraińcy obawiają się, że w najbliższym czasie zaatakowane zostaną trzy działające jeszcze elektrownie atomowe. Ukraiński prezydent musi też z niepokojem patrzeć na rozwój wydarzeń na linii Izrael – Liban – Iran. Jeśli dojdzie do ostrego konfliktu na bliskowschodnim teatrze polityki, to siłą rzeczy uwaga Waszyngtonu skupi się właśnie na tym rejonie. Nie omieszkają z tego zapewne skorzystać Rosjanie, aby zaskoczyć Kijów jakąś nieprzyjemną niespodzianką.

W tej bardzo ciężkiej sytuacji Ukrainy polska opinia publiczna wyraźnie



straciła zainteresowanie konfliktem. Być może przypominamy nieco widzów Netflixu, którzy zniechęcają się serialem ze zbyt dużą liczbą odcinków. Oczywiście na ten spadek poczucia solidarności z Ukraińcami ekipa Zełenskiego ciężko zapracowała. Polacy dobrze zapamiętali sobie aroganckie słowa ukraińskiego prezydenta w trakcie wystąpienia w ONZ, który – nawiązując do konfliktu o oboze między Warszawą a Kijowem – obwinił Polskę o „uczestniczenie w scenariuszu Putina”. Na pewno też Ukraińcy nie zrozumieli na czas, jak ważną kwestią dla Polski jest rozpoczęcie ekshumacji na Wołyniu. W zachowaniu ukraińskim pojawiły się pewne pozytywne zmiany. Wiceprzewodnicząca parlamentu Ukrainy Olena Kondratiuk przyznała w wywiadzie dla jednego z ukraińskich portali, że wypowiedź sze-

fa dyplomacji, Dmytra Kułeby, na Campusie Polska, zrównująca rzeź wołyńską z akcją „Wisła”, była niefortunna i stała się ostatnią kropką nad i rozczerowania Polaków. Olena Kondratiuk zaznaczyła, że Ukraińcy są gotowi na ewentualne prace ekshumacyjne. Potwierdził to też szef ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej, który wskazał, że takie działania mogłyby się odbywać na wniosek polskich obywateli.

Te deklaracje ze strony ukraińskiej oczywiście przyjmowane są w Polsce chłodno, gdyż już parę razy padały w tej sprawie rozmaite obietnice, ale nic później się nie działo. Wszystko to jednak nie tłumaczy narastającej obojętności w dyskusji na temat Ukrainy lub wręcz przedstawiania Ukrainy jako zagrożenia dla Polski. Ponieważ w ciągu ostatnich dwóch miesięcy zebrano się w tekstach



być równoważona przez dbanie o zachowanie suwerenności i zasad demokratycznych, które czyniły państwa skupione wokół Ameryki silną siłą demokracji.

Jeżeli przyjmiemy, że Ukraina nie ma prawa np. do wejścia do NATO, to zaakceptujemy zasady, które sami kiedyś ostro krytykowaliśmy, gdy w trakcie konferencji w Jałcie Winston Churchill i Franklin Delano Roosevelt faktycznie uznali, że Polska i inne kraje Europy Środkowej nie zasługują na pełną suwerenność i będą musiały uznawać zasady dyktowane przez Kreml. Przez cały czas od rozpoczęcia wojny w lutym 2022 r. ten dylemat się nie zmienił. To, co się zmieniło, to rozczarowanie dużej części polskiego społeczeństwa czy to lekceważeniem znaczenia dla Polaków kwestii wołyńskiej, czy to demonstracyjnym ogłoszeniem przez Zełenskiego, że to Niemcy są najważniejszym sojusznikiem Ukrainy w wojnie z Rosją. A jednak nawet najbardziej nietaktowne czy pozbawione wyczucia posunięcia Ukrainy nie zmieniają tego, że walcząc z Rosją, oddziela nas od przybliżania się rosyjskiej maszyny wojskowej do Polski.

I tu dochodzimy do kwestii tzw. czerwonych linii, które próbują przez cały czas wojny ustalać Rosjanie i dyplomacie najważniejszych zachodnich państw. Wojna jest siłą rzeczy ciągiem nieprzewidywalnych wydarzeń, a Ukraińcy walczą o życie. Oczywiście musi istnieć jakaś koordynacja między Waszyngtonem a Kijowem w kwestii wykorzystywania sprzętu dostarczanego Ukraińcom, ale nie mogą być to żadne „wykute w kamieniu” niezmiennie zasady. Bo Rosjanie sami co rusz łamią kolejne – wydawałoby się – nienaruszalne reguły. Masakra w wykonaniu rosyjskich żołdaków w Buczy doskonale pokazuje, że Rosjanie, gdy mają na to ochotę, łamią wszelkie zasady prowadzenia humanitarnej wojny. Ale sami chcieliby narzucać Ukraińcom własne limity. Czy można się dziwić, że Ukraińcy się przeciwko temu buntują?

To ciekawe, jak publicyści, którzy powinni pamiętać dobrze lata 80., kiedy to w Polsce kleiliśmy na tchórzostwo polityków niemieckiej SPD, dziś powtarzają dokładnie ich sposób myślenia. Wtedy – na przełomie lat 70. i 80. – syta Republika Federalna Niemiec z niepokojem patrzyła na rewolucję Solidarności jako element ewentualnej destabilizacji w środku

na łamach „Do Rzeczy” wiele opinii tego typu, warto podjąć z nimi polemikę.

KTO MA WYZNACZAĆ „CZERWONE LINIE”?

Pierwsze pytanie dotyczy pojęcia eskalacji. Jeślibyśmy prześledzili kwestie pojawiania się tego określenia w publicystyce dotyczącej konfliktu za naszą wschodnią granicą, to można odnieść wrażenie, że sam fakt stawiania oporu przez Ukrainę bywa uznawany za narażanie na niebezpieczeństwo naszego rejonu świata. Zwłaszcza uwagę przyjmowanie punktu widzenia, który absolutnie lekceważy priorytety Ukraińców w walce o zachowanie swojej suwerenności i integralności terytorialnej. W myśl tego sposobu myślenia przedłużająca się wojna oznacza jedynie coraz większą niekontrolowaną eskalację konfliktu, która może mieć dla Polski

dramatyczne skutki. Pada argument, że jeżeli coś pójdzie nie tak – choćby przez przypadek – i Rosjanie przejdą do fazy wojny jądrowej z całym Zachodem, to w pierwszej mierze dla nas będzie miało to dramatyczne skutki.

Tyle że dotykamy tutaj problemu współgryzostowania z Rosją, a wcześniej ze Związkiem Sowieckim, które było dylematem Zachodu od 1945 r. Państwa NATO musiały jakoś reagować na rozmaite rosyjskie działania, a jednocześnie mieć w tyle głowy, że ktoś na Kremlu może stracić nerwy i wcisnąć atomowy przycisk. Gdyby literalnie przyjąć wszystkie możliwe wypowiedzi płynące z Rosji, sugerujące rychłe użycie broni jądrowej, to Moskwa powinna już uderzyć wiele razy. Zarówno jednak wtedy, w czasach istnienia ZSRS, jak i teraz naturalna obawa przed wybuchem wojny jądrowej musi

■ Europy, która zagroziłaby wielomiliardowym kontraktom niemieckich koncernów wysyłającym rury z najlepszej stali do budowy transsyberyjskich rurociągów. Polaków krew zalewała, gdy słyszeli realistyczne komentarze ideologów „niemieckiej polityki wschodniej” w rodzaju Eгона Bahra i Herberta Wehnera, którzy nie kryli ulgi po wprowadzeniu stanu wojennego przez gen. Jaruzelskiego, widząc w tym wygaszenie źródła możliwego konfliktu prowadzącego do wojny Zachodu z Rosją sowiecką.

Jeszcze później Polacy wzruszali ramionami, gdy widzieli zachodnoniemieckich pacyfistów przykuwających się do płotów baz NATO w RFN w proteście przeciw instalowaniu rakiet Pershing. Dla wielu z nas było wtedy oczywiste, że Zachód nie ma prawa przyjmować logiki Moskwy, która uważała, że może tłumić wolnościowe wystąpienia w Europie Wschodniej, a jednocześnie żądać od Zachodu, by ten samoograniczał się w kwestii zbrojeń. Za każdym razem Rosja używała tego samego argumentu. Nie róbcie nic, co mogłoby się nam nie spodobać, bo zaraz wywołamy kryzys. Już Stalin za pomocą tej metody szantażował oponentów na zebraniach. Jak wspominają świadkowie epoki, gdy ktoś podejmował z nim polemikę, wtedy wąsaty Gruzin mówił tonem pełnym pogroźki: „Mołczaj, bo budżet chuze” („Milcz, bo będzie jeszcze gorzej”).

Dziś podobne techniki stosuje dyplomacja rosyjska wobec państw Zachodu. A my nagle czujemy się jak wspomniani Niemcy z lat 80., którzy stawiają swój błogostan na postumencie. Z irytacją patrzymy na Ukraińców, zastanawiając się, dlaczego w ogóle jeszcze walczą i tym samym niepotrzebnie narażają resztę Europy na możliwość konfliktu jądrowego.

MYŚMY WSZYSTKO ZAPOMNIELI

Dobrym przykładem, jak szybko można zmienić swoją świadomość, jest niedawna wypowiedź Baláza Orbána, szefa gabinetu politycznego premiera Węgier Viktora Orbána (zbieżność nazwisk jest przypadkowa – panowie nie są ze sobą spokrewnieni). Węgierski polityk postawił sprawę szczerze i w podcaście dla węgierskiego tygodnika „Mandiner” stwierdził: „Decyzja Zełenskiego o obro- nie Ukrainy jest nieodpowiedzialna”.

Następni w kolejce do narzucania nam ograniczeń geostrategicznych będziemy my i republiki bałtyckie

I dalej: „Prawdopodobnie nie zrobilibyśmy tego, co prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski zrobił dwa i pół roku temu” – stwierdził Balázs Orbán, nawiązując do przeciwstawienia się przez Ukrainę rosyjskiej inwazji w lutym 2022 r. Szef gabinetu premiera Węgier dodał: „Gdyby nas zapytali, nie doradzilibyśmy tego, z powodu wydarzeń w 1956 r.”.

Trudno przejść bez komentarza wobec tak daleko posuniętego dowodu uznawania, że siła w relacjach między narodami jest czynnikiem absolutnym. Mówi to szef gabinetu Viktora Orbána, który przecież rozpoczął swoją karierę polityczną od wystąpienia w trakcie pogrzebu bohaterów zaangażowanych w powstanie 1956 r. i który zażądał właśnie na pogrzebie ofiar w 1989 r. wycofania wojsk sowieckich stacjonujących w kraju Madziarów. I jeszcze jedna refleksja. Na łamach węgierskich mediów pojawiają się często opinie, że doprowadzenie do pokoju między Ukrainą i Rosją i zakończenie wojny jest postulatem najważniejszym. Dla Ukrainy oznaczałoby to formalne zrzeczenie się Krymu i w najlepszym wypadku na pewno terenów Ługańszczyzny i obwodu donieckiego, a być może nawet fragmentu Zaporozża i Charkowszczyzny. Takie postulaty jako coś oczywistego wysuwa się w kraju, w którym jedną z konstytutywnych cech zbiorowej świadomości jest poczucie krzywdy za oderwanie od Węgier prawie dwóch trzecich dawnego terytorium w wyniku traktatu w Trianon w 1920 r. Dlaczego przeciętny Węgier ma mieć prawo do ronienia łez na wspomnienie o oderwaniu od Korony św. Stefana Słowacji, Siedmiogrodu, Baczki czy Banatu, a jednocześnie w jego kraju oczekuje się, że Ukraińiec w Kijowie spisze na straty tereny zajęte siłą przez Rosjan? W tej sprawie też należy wykazać pewną podstawową roztropność.

Polska nie jest krajem, który będzie miał decydujący wpływ na kształt ewen-

tualnego procesu pokojowego. Nikt nie jest w stanie określić, jakich ofiar będzie wymagała logika procesu pokojowego od prezydenta Zełenskiego. Czy będzie to zgoda na zaakceptowanie linii frontu jako linii nowych granic Ukrainy czy też dojdzie do bardzo groźnego z naszego punktu widzenia precedensu i Zachód zgodzi się na narzucenie Ukrainie deklaracji, że rezygnuje z aspiracji przystąpienia do paktu północnoatlantyckiego. W obu wypadkach jednak decyzje musimy pozostawić samym Ukraińcom. Sam fakt, że już teraz często spotyka się w Polsce opinie, iż kwestia utraty przez Ukrainę Krymu i wschodnich obwodów jest już oczywista i niepodlegająca dyskusji, jest osławianiem się z triumfem dyplomatycznym Rosji.

W pełni rozumiem Ukraińców, którzy czytając takie opinie w polskich mediach, mają poczucie bycia zdradzonymi. Tym bardziej niestosowne były dywagacje ministra Radosława Sikorskiego na konferencji w Kijowie, sugerujące możliwość oddania Krymu pod tymczasowy nadzór społeczności międzynarodowej i przeprowadzenie tam referendum mającego rozstrzygnąć przyszłość półwyspu. Właśnie dlatego, że wiele razy w historii padliśmy ofiarą arbitrażu wielkich mocarstw nie liczących się z naszymi aspiracjami narodowymi i suwerennościowymi, powinniśmy wystrzegać się tego w stosunku do Ukrainy. Tym bardziej że na Zachodzie amatorów do jak najszybszego powrotu do odtworzenia korzystnych wzajemnie relacji gospodarczych według stanu sprzed 2014 r. nie brakuje.

Słusznie posądzają się w Polsce Niemcy o chęć powrotu do „business as usual” w relacjach z Kremlem. Równie silny jest ten sposób myślenia w Paryżu. A szefem NATO jest obecnie Holender Mark Rutte, którego zobaczyć można na zdjęciu z uroczystego otwarcia rurociągu Nord Stream 2. I dlatego powinniśmy troszczyć się o suwerenność Ukrainy, bo z chwilą, gdy zostanie ona osłabiona, następni w kolejce do narzucania ograniczeń geostrategicznych będziemy my i republiki bałtyckie. I wtedy odkryjemy, że ta drażniąca nas dzisiaj stosunkiem do rzezi wołyńskiej Ukraina jednak była skuteczną zaporą przed rosyjskim naporem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Lech Mażewski

Czy ostatni plan prezydenta Ukrainy mógłby doprowadzić do zakończenia konfliktu? A może to jedynie propozycja dalszego prowadzenia wojny?

Stanowisko Rosji w konflikcie na Ukrainie zawierało propozycje z 17 grudnia 2021 r. w sprawie nowej architektury bezpieczeństwa w Europie. Sednem ich było wyrzeczenie się przez Kijów możliwości stania się członkiem NATO, zajęcia pozycji pozablokowej, być może na kształt neutralności Szwajcarii albo Austrii, ale nie zakaz wejścia do Unii Europejskiej.

24 lutego 2022 r., w momencie wybuchu wojny, prezydent Władimir Putin dodatkowo zażądał demilitaryzacji Ukrainy oraz jej debanderyzacji, co mogło oznaczać próbę ingerencji w sprawy wewnętrzne tego państwa. Jednocześnie Rosja oficjalnie uznała obie republiki donbaskie (Doniecką Republikę Ludową i Ługańską Republikę Ludową) w ich granicach administracyjnych, a już w 2014 r. Krym stał się częścią Federacji Rosyjskiej. Słowem: z punktu widzenia Moskwy wojna toczy się zarówno o nowy charakter publicznoprawny Ukrainy (neutralizacja, demilitaryzacja i debanderyzacja), jak i uznanie jej okrojenia z terenów zamieszkałych w większości przez ludność rosyjskojęzyczną.

18 czerwca 2024 r. prezydent Putin na spotkaniu z szerokim kierownictwem Ministerstwa Spraw Zagranicznych poinformował o przyjęciu w skład Federacji Rosyjskiej obu republik donbaskich w ich granicach administracyjnych, a także obwodu chersońskiego i zaporoskiego w granicach administracyjnych. We wszystkich tych przypadkach część obszarów nadal pozostawałaby pod kontrolą Ukrainy. Przywódca Rosji zaznaczył ponadto, że jeśli dalsze walki przyniosą sukcesy Moskwie, to na tym nie muszą się zakończyć jej nowe nabytki terytorialne. Co do pozostałych spraw, jako warunku zakończenia wojny, sytuacja pozostaje bez zmian. Wyrażono jedynie oczekiwanie,

że po zawarciu pokoju nastąpi zniesienie sankcji nałożonych na Rosję od 2014 r.

PLAN ZWYCIĘSTWA

Pojawiły się informacje, że wkrótce prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski ma przedstawić plan zwycięstwa. Według Bloomberg'a na ten plan składałyby się cztery elementy: 1. gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy na wzór art. 5 traktatu waszyngtońskiego z 4 kwietnia 1949 r. o utworzeniu NATO, zanim nastąpiłoby jej wejście do samego paktu północnoatlantyckiego; 2. międzynarodowa pomoc finansowa na rzecz odbudowy gospodarczej; 3. dostawy nowoczesnej broni, za pomocą której można by razić cele w głębi Rosji i 4. wsparcie dla konty-

żeby w trakcie tego konfliktu mogło do tego dojść.

Plan zwycięstwa Zełenskiego jest kompletnie nie do przyjęcia przez Rosję choćby dlatego, że rozpoczęła ona wojnę z powodu braku zgody na obecność Ukrainy w NATO. John Mearsheimer wielokrotnie w tym kontekście przywoływał analogię z próbą przeciągnięcia Meksyku lub Kanady do zbrojnego obozu wrogiemu wobec Waszyngtonu i negatywnej na to reakcji ze strony USA. Na ewentualność natomiast ataku rakietami dalekiego zasięgu nawet przez państwo nieposiadające broni atomowej, ale przy udziale państwa wyposażonego w takie uzbrojenie zapowiedziano na Kremlu dokonanie zmiany doktryny

Klęska planu zwycięstwa

nuacji operacji ukraińskiej w obwodzie kurskim.

Realizacja tych elementów miałyby wzmocnić pozycję Ukrainy w planowanym na listopad szczycie pokojowym, tym razem już z udziałem Rosji. W Wersalu w 1919 r. można było prowadzić rozmowy pokojowe bez uczestnictwa Niemiec, których przedstawiciele wezwano jedynie do podpisania traktatu kończącego wojnę. Dziś nikt nie powinien mieć wątpliwości, że Federacja Rosyjska to nie pokonane w pierwszej wojnie światowej Niemcy. Nic też nie wskazuje,

bezpieczeństwa narodowego – w takiej sytuacji byłoby możliwe użycie przez Rosję taktycznej broni atomowej, także w obronie Białorusi jako części Państwa Związkowego Rosji i Białorusi. Na tym właściwie można zakończyć rozpatrywanie propozycji prezydenta Zełenskiego, o czym on sam wkrótce się dowie od prezydenta Bidena.

25 września 31 państw G7 i członków UE, w tym Polska, podpisało Deklarację w sprawie odbudowy Ukrainy, potwierdzając swoje zobowiązania do zamrożenia rosyjskich aktywów do czasu zapłaty od-

■ szkodowań za szkody poczynione w trakcie trwającego konfliktu. Na razie nie mówi się o pozbawieniu Rosji tych zakwestrowanych środków. Naruszenie na tak wielką skalę prawa własności byłoby bardzo źle przyjęte przez całą resztę świata, zwaną przez Chiny globalną większością.

26 września doszło do rozmowy prezydenta Zełenskiego z prezydentem Bidenem, który po raz kolejny nie pozostawił żadnych wątpliwości co do braku akceptacji Stanów Zjednoczonych w sprawie przyjęcia Ukrainy do NATO, a także nie wyraził zgody na użycie broni amerykańskiej lub broni z elementami pochodzącymi z USA do atakowania celów w głębi Rosji.

Prezydent Ukrainy to coraz bardziej natrętny petent utrudniający znalezienie rozwiązania

W obu tych sprawach prezydenci Rosji i USA okazali się zgodni, a prezydent Ukrainy to coraz bardziej natrętny petent, utrudniający znalezienie rozwiązania dla toczącej się globalnej rozgrywki geopolitycznej. Niejako w rewanżu prezydent Biden zaproponował dodatkowy pakiet wsparcia dla Kijowa w wysokości 8 mld dol. To jednak żałośnie mało jak na oczekiwania zawarte w planie zwycięstwa prezydenta Zełenskiego.

WOJNA BEZ POMYSŁU

Czym jest plan zwycięstwa, które w takiej formie nigdy nie nastąpi? Rozmowa prezydentów Ukrainy i USA pokazuje, że propozycja wychodząca z Kijowa to jedynie plan prowadzenia wojny, bez żadnego pomysłu na jej zakończenie. Nie widać bowiem, aby w ten sposób mogła pojawić się możliwość zmiany sytuacji na korzyść Ukrainy. Dowodem zaś zupełnej bezradności ekipy prezydenta Zełenskiego jest zajęcie fragmentów obwodu kurskiego w sytuacji, gdy cały Donbas, najważniejszy okręg przemysłowy Ukrainy, przechodzi w ręce Rosjan. W przedwojennej Polsce jedna gmina na Górnym Śląsku była warta więcej niż powiat na Polesiu, w przypadku Donbasu



i fragmentów obwodu kurskiego jest dokładnie tak samo.

A może w planie zwycięstwa Zełenskiego chodzi o pokazanie Ukraińcom, że o żadnym zwycięstwie nie ma mowy, a więc najwyższa pora, aby podjąć negocjacje pokojowe, a przynajmniej o zawieszeniu broni, z uwzględnieniem realiów militarnych, które panują na frontach wojny rosyjsko-ukraińskiej? Gdyby tak nie było, to nie da się wykluczyć, że rozmowy o zakończeniu wojny będą toczyć się bez udziału Ukrainy, a przedstawiciele tego państwa mogą być potraktowani jak Niemcy w Wersalu w 1919 r.

Przeciwnicy Moskwy muszą się spieszyć, bo nie da się wykluczyć, że wkrótce czołówki wojsk rosyjskich dotrą do Dniepru, wkraczając przy tym na tereny kolejnego okręgu przemysłowego: Zaporże – Krzywy Róg – Dniepropietrowsk. W okresie drugiej wojny światowej uważano, że ciężki sprzęt gąsienicowy na stepach Ukrainy najlepiej sprawuje

się przy kilkunastostopniowym mrozie, a więc poczynawszy od przełomu listopada i grudnia. Wtedy może spełnić się zapowiedź prezydenta Putina z 18 czerwca – o możliwości powiększenia Rosji o kolejne okręgi, w tym przypadku chodziłoby o okręg dniepropietrowski.

PRELIMINARIA POKOJOWE

Rozmowy pokojowe między Ukrainą a Rosją toczyły się już w marcu i kwietniu 2022 r. najpierw na terytorium Białorusi, a później Turcji. Sytuacja była wtedy korzystna dla Ukrainy, bo wówczas wojska ukraińskie nie dopuszczały do zajęcia Kijowa przez wojska rosyjskie.

Uzgodnione preliminaria pokojowe zakładały m.in. zakaz przystąpienia Ukrainy do NATO, podjęcie kroków na rzecz debanderyzacji, demilitaryzację, choć wielkość armii i jej wyposażenie określone były jedynie w szerokich „widelkach”, co wskazywało, że będzie to przedmiotem dalszych negocjacji. Brako-



Prezydent USA Joe Biden stale odmawia prezydentowi Ukrainy Wołodomyrowi Zełenskiemu używania broni od Stanów do ataków celów w głębi Rosji. FOT. PRESIDENT.GOV.UA

Ukraińcy powinni się uczyć choćby od Alaksandra Łukaszenki, prezydenta Białorusi, a nie poddawać mimowolnej polonizacji własną politykę

wało jednak jakichkolwiek postanowień w kwestiach terytorialnych. Z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że spierano by się tylko o przynależność Krymu i obu republik donbaskich.

Od tego czasu zginęło i zostało rannych w sumie ok. 1 mln żołnierzy ukraińskich i rosyjskich, a Ukraina stała się państwem z kompletnie zniszczoną infrastrukturą. Wszystko to nie miało by miejsca, gdyby nie nastąpiło zerwanie przez Ukrainę toczonych wówczas roz-

mów. Jeśli dziś strony ponownie podjęłyby je, to prędzej czy później pojawi się pytanie o to, kto za to odpowiada. Rutynowe gromy rzucone na rosyjski imperializm niczego nie załatwią.

Przyjmuje się, że poczynione uzgodnienia zostały odrzucone przez Kijów z powodu namowy Borisa Johnsona, ówczesnego premiera Wielkiej Brytanii, a może też sugestii prezydenta Andrzeja Dudy. Gdyby nawet tak było, to i tak pełną odpowiedzialność ponosi prezydent Zełenski, który w trakcie podejmowania decyzji powinien mieć na uwadze olbrzymią dysproporcję potencjałów, która istnieje między Kijowem a Moskwą.

A jeśli miałyby słuchać czyichś rad, to należałoby skorzystać z pouczenia Jezusa. W Ewangelii św. Łukasza czytamy: „Albo który król, mając wyruszyć, aby stoczyć bitwę z drugim królem, nie usiądzie wpierw i nie rozważy, czy w dziesięć tysięcy ludzi może stawić czoło temu, który z dwudziestu tysiącami nadciąga

przeciwko niemu? Jeśli nie, wyprawia poselstwo, gdy tamten jest jeszcze daleko, i prosi o warunki pokoju” (Łk 14, 31–32). Tak właśnie było na przełomie lutego i marca 2022 r.

Czy uchronienie stolicy przed zajęciem przez Rosjan to za mało, aby uznać się za zwycięzcę i podjąć rozmowy pokojowe? Pod koniec 2024 r. sytuacja istotnie się zmieniła na niekorzyść Kijowa i nic nie wskazuje na to, żeby mogło być lepiej.

POKUSA POLONIZACJI UKRAIŃSKIEJ POLITYKI

Jeśli skutkiem działań rządzących jest militarna czy polityczna klęska, to nie wolno za nią odpowiedzialnością obciążać innych, choćby nawet napastnika. Odpowiedzialność ponosi ten, kto podejmował decyzje o walce. Inaczej byłoby w przypadku, gdyby chodziło o nienegocjowane imponderabilia, ale sytuacja Ukraińców nie była podobna do tej z okresu powstania w getcie warszawskim w 1943 r.

Nie jest również wytłumaczeniem, że ktoś chciał dobrze, walczył w obronie własnego państwa, a mimo to zostało ono obrócone w perzynę przez najazd obcych wojsk. Mogli przecież ci rządzący skorzystać z ewangelicznej rady i prosić o warunki pokoju. Zgoda na konieczne ustępstwa, jeśli nie ma innego sposobu uratowania własnego państwa, nie jest przecież niczym uwłaczającym, a może być wręcz korzystna w perspektywie przyszłości.

Historia Ukrainy nie kończy się na tym konflikcie, a trwające starcie nad Dnieprem jest jedynie elementem rozpoczętej wojny systemowej o panowanie nad światem. Żeby w niej skutecznie uczestniczyć, trzeba zachować własne państwo w możliwie dobrym stanie i umieć czekać na dogodny moment do podjęcia zakończonych sukcesem działań. Ukraińcy powinni się tego uczyć choćby od Alaksandra Łukaszenki, prezydenta Białorusi, a nie poddawać mimowolnej polonizacji własną politykę.

W naszej tradycji pełno jest zgoda niepolitycznych zachowań typu wszystko albo nic. W takiej sytuacji zazwyczaj jest nic, kolejna klęska, za którą odpowiedzialni są wszyscy, tylko nie sami Polacy. Mutatis mutandis w tej samej sytuacji znajdują się obecnie Ukraińcy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Od początku obawiałem się, że podróż Jorge Maria Bergoglio do Azji Południowo-Wschodniej zakończy się jakimś poważnym skandalem. Indonezja, Papua-Nowa Gwinea, Timor Wschodni, Singapur... Te kraje to prawdziwy tygiel religijny, obok siebie żyją tam muzułmanie, hinduiści, chrześcijanie – i prowadzą zaawansowany „dialog” międzyreligijny, często w skrajnie progresywnej postaci. To, co Franciszek mówił podczas trwającej w dniach 3–13 września wyprawy, mimo wszystko nieco mnie zaskoczyło: owszem, papież nigdy nie ukrywał przywiązania do błędu indyferentyzmu religijnego, ale nie sądziłem, że odważy się ogłosić to tak wprost.

Indyferentyzm religijny to pogląd, zgodnie z którym nie ma znaczenia, jaką człowiek wyznaje wiarę: wszystkie są równie dobre, bo jakoby żadna nie jest obiektywnie prawdziwa. Według indyferentysty religię można sprowadzić do zestawu mitów, przekonań i praktyk, które są uwarunkowane z jednej strony konkretną kulturą, z drugiej – partykularnym doświadczeniem wielkich postaci danej tradycji. W pewnym sensie indyferentne religijne było Imperium Rzymskie: każdy mógł wierzyć, w co mu się podobało, byleby spełniał kult publiczny. Chrześcijanie kategorycznie odrzucali tę ideę: wyznając boskość Chrystusa, wierzyli, że lepiej jest zginąć niż pokłonić się przed fałszywym bóstwem. Indyferentyzm w XVIII w. na dużą skalę szerzyli masoni, a w XIX w. liberalni protestanci i surowo potępiani przez papieżów modernisci. W 1829 r. papież Pius VIII pisał w „Traditi humilitati”, że indyferentyzm jest „zabójczą ideą, którą odrzuca nawet rozum naturalny”. Wydany za Piusa IX „Syllabus errorum” z 1864 r. herezję określił poglądem, zgodnie z którym „ludzie mogą znaleźć drogę do zbawienia... przez praktykowanie jakiegokolwiek religii”. W 1928 r. Pius XI pisał w „Mortalium animos”, że ci, którzy twierdzą, iż „wszystkie religie są mniej lub więcej dobre i chwalebne... są w błędzie i odstępują od prawdziwej wiary”. Święty Jan Paweł II w „Redemptoris missio” z 1990 r. piętnował „postawę obojętności... nacechowaną relatywizmem religijnym, który prowadzi do przekonania, że jedna religia ma taką samą wartość jak druga”. Kardynał Józef Ratzinger w 2000 r. w „Dominus Iesus” ogłosił, że „byłoby sprzeczne z wiarą ka-

Gdy papież głosi równość religii



Paweł Chmielewski

Franciszek przekroczył kolejną granicę. Stwierdził, że wszystkie religie prowadzą do Boga, a żadna, w tym chrześcijaństwo, nie jest lepsza od drugiej. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu głosiciel takich haseł mógłby zostać ekskomunikowany. Jak to możliwe, że dziś głosi je sam papież?



FOT. MASSIMO VALLICHA/NURPHOTO/GETTY

tolicką postrzeganie Kościoła jako jednej z dróg zbawienia, istniejącej obok innych”.

To stałe nauczanie papieża jest zakorzenione nie tylko w praktyce chrześcijan pierwszych stuleci, lecz także w samym Objawieniu. Bóg dał Mojżeszowi przykazania, wśród których wyłączność wiary w Siebie postawił na pierwszym miejscu,

a Stary Testament jest pełen historii o strasznym gniewie Bożym spadającym na Izraelitów, którzy oddają się fałszywym kultom. Również Nowy Testament stawia sprawę prosto. „Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu! Kto uwierzy i przyjmie chrzest, będzie zbawiony; a kto nie uwierzy, będzie

potępiony” – naucza Chrystus (Mk 16, 16). Nauka Kościoła jest zatem jasna: wszyscy ludzie są zobowiązani do wyznawania Boga w Trójcy Jedynej, a kto twierdzi inaczej, jest heretykiem.

FRANCISZEK NIE GRYZIE SIĘ W JĘZYK

Franciszek się tym jednak nie przejmując. Podczas podróży do Azji Południowo-Wschodniej dał temu wyraz dwukrotnie, biorąc swoją wyprawę jakby w kłamrę. Najpierw indyferentyzm religijny głosił w stolicy Indonezji, Dżakarcie. Chociaż w Ewangelii św. Jana Chrystus mówi, że to On jest „światłością świata”, Jorge Mario Bergoglio nazwał 5 września „światłością” chrześcijan i... muzułmanów, o ile kroczą wspólnie drogą braterstwa. Te słowa padły w największym meczecie całego regionu, Istiqlal. Meczet jest specyficzny: kilka lat temu został połączony podziemnym tunelem z katolicką katedrą, która wznosi się naprzeciwko. Franciszkowi ten tunel bardzo się spodobał. Zszedł do niego i w przemówieniu pochwalił symboliczny zamysł architekta, mówiąc, że religie różnią się wprawdzie doktrynami i praktykami, ale jest to tylko „powierzchnia”, a to, co się naprawdę liczy, jest ukryte „pod spodem” – i każdy może na drodze własnej religii iść „ku światłu”.

Jeszcze dalej biskup Rzymu poszedł ostatniego dnia podróży, 13 września, w Singapurze. Spotkał się wówczas z młodzieżą reprezentującą różne religie. Tu nie gryzł się już w ogóle w język. „Wszystkie religie są drogami dojścia do Boga” – ogłosił. „Nasze religie są językami, ścieżkami prowadzącymi do Boga. Ktoś jest sikhem, ktoś muzułmaninem, ktoś hinduistą, ktoś chrześcijaninem, ale są to różne ścieżki” – dodał. Mówił też, że nie wolno mówić: „moja religia jest prawdziwa, twoja nie jest prawdziwa”, bo żadna religia nie jest „ważniejsza” od drugiej. Cytowane słowa pochodzą z oficjalnego tekstu wystąpienia na stronie Watykanu. Jorge Mario Bergoglio mówił w dobrze znanym sobie języku, po włosku. Ciekawostka: pierwotnie w angielskim tłumaczeniu podano inne słowa, które były mniej skandaliczne. Później jednak poprawiono je na takie, które papież wypowiedział naprawdę.

Wystąpienie Franciszka zostało zrelacjonowane na wielu katolickich stronach internetowych, ale przynajmniej w pierw-

szych dniach niewiele było komentarzy ze strony biskupów świata. Nic dziwnego. Bo co można tu w ogóle powiedzieć? „Zabójcza idea” (Pius VIII), „błąd” (Pius IX), „odstępstwo od prawdziwej wiary” (Pius XII), „sprzeczność z wiarą” (kard. Józef Ratzinger)... Mało kto ma ochotę przyznawać publicznie, że odnosi się to do Franciszka, człowieka 11 lat temu wybranego na 266. następcę św. Piotra. Arcybiskup Charles Chaput z USA stwierdził, że „można mieć tylko nadzieję, że papież miał coś innego na myśli”.

Kto chce, niech taką nadzieję ma, papież jednak głosi podobne poglądy nie po raz pierwszy. O „drodze” Franciszka do tego błędu pisałem obszernie w „Do Rzeczy” z sierpnia 2023 r. (nr 34). Przypomnę tu tylko, że już w 2016 r. Jorge Mario Bergoglio opublikował w Watykanie film, na którym zestawiał obok siebie chrześcijań-

„Wszystkie religie są drogami dojścia do Boga” – ogłosił papież Franciszek w Singapurze

stwo, islam, judaizm i buddyzm, twierdząc, że ostatecznie „liczy się tylko miłość”; w 2019 r. w Abu Zabi podpisał z egipskim imamem deklarację, gdzie stwierdził, że Bóg w swojej „mądrej woli” chciał różnorodności religijnej; w lipcu 2023 r. powtórzył to samo w rozmowie z mediami Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Z błędem indyferentyzmu religijnego ściśle wiąże się też wiara w puste piekło: skoro religia nie ma znaczenia, to zbawieni będą pewnie wszyscy. Franciszek wielokrotnie przyznawał, że prywatnie sądzi, że nikt nie zostanie potępiony. W swoim gabinecie powiesił nawet obraz nagiego Jezusa pochylającego się czule nad ciałem Judasza.

OBŁĘD „DIALOGIZMU”

Jak to w ogóle możliwe, że papież głosi poglądy, za które – jak kaśliwie napisał znany amerykański publicysta Taylor Marshall – za pontyfikatu Piusa X zostałyby „ekskomunikowane tak szybko, jak to możliwe”? Nie ma cienia wątpliwości, że nie byłoby tego skandalu, gdyby nie obłędny „dialogizm” ostatnich dziesięcioleci. To

on od strony polityki kościelnej umożliwił działalność Franciszka. Sobór Watykański II przyjął deklarację „Nostra aetate”, która prezentuje, mówiąc delikatnie, dość dziwaczne nauczanie o „świętych” elementach w innych religiach. Jan Paweł II zorganizował w 1986 r. międzyreligijny dzień modlitwy o pokój w Asyżu, gdzie przedstawiciele różnych kultów i Kościoła zostali sprowadzeni jakby do tego samego poziomu; ten sam papież pocałował też w 1999 r. Koran, a dwa lata później wygłosił w meczecie w Damaszku pochwałę islamu. Jakkolwiek wszystkie te rzeczy były głęboko skandaliczne, pozostawały zanurzone w paradygmacie dialogu, w którym żaden z podmiotów nie wyrzeka się swojego roszczenia do prawdy. Innymi słowy – nie przekreślało to nauki Kościoła o jedyności zbawczej Chrystusa, nawet jeżeli mogło rzucić na nią poważny cień.

Słowa Franciszka są inne. Jorge Mario Bergoglio głosi otwarcie, że różnice religijne po prostu nie mają znaczenia. W ten sposób jawi się kimś więcej niż tylko kontynuatorem dotychczasowego dialogu międzyreligijnego: próbuje zniwelować różnice religijne, wskazując na rzekomą ograniczoność (a co za tym idzie – również fałsz) wszystkich wyznań. Papież, owszem, korzysta z impulsów Soboru Watykańskiego II i Jana Pawła II, ale po to, by nadać quasi-oficjalny charakter błędowi indyferentyzmu religijnego.

Nie będzie chyba przesadą stwierdzenie, że religia, którą głosi, jest wiarą bliską już nie ojcom i doktorom Kościoła, ale raczej wielkim nauczycielom oświecenia i herezji modernistycznej, jak Lessing, Hegel czy Teilhard de Chardin. Jezus nie jest tu Bogiem, ale tym, w którym – obok wielu innych – przejawiała się „boskość”, ostatecznie osiągnąca wyłącznie na drodze ludzkiego braterstwa. Przykro to powiedzieć, ale nauka Franciszka nie jest katolicka, o ile katolicyzmem nazwiemy to, co Kościół głosił zawsze i niezmiennie na podstawie Objawienia. To inna nauka, taka chyba, przed którą przestrzega św. Paweł w pierwszym liście do Galatów (Ga 1, 8–9).

W tej smutnej sytuacji katolicy muszą modlić się o łaskę nawrócenia dla pasterzy Kościoła i nieustannie głosić niezmienną Ewangelię wszystkim narodom – także narodom Indonezji i Singapuru.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

Z dr Karoliną Trzeskowską-Kubasik,
pracownikiem Biura Badań Historycznych,
członkiem projektu „Terror okupacyjny na
ziemiach polskich w latach 1939–1945”
rozmawia Tomasz D. Kolanek



Las Welecki

Las Welecki,
miejsce egzekucji
dokonywanych
przez niemieckich
zbrodniarzy, oraz
pomnik upamiętniający
ofiary FOT. KAROLINA
TRZESKOWSKA-KUBASIK

TOMASZ D. KOLANEK: Jak ocenia pani kondycję polskiej świadomości historycznej, jeśli chodzi o niemieckie zbrodnie w czasie drugiej wojny światowej na Polsce lokalnej, Polsce powiatowej? Mam tu na myśli takie zbrodnie, jak te opisane przez panią w książce „Zbrodnie niemieckie w Lesie Weleckim koło Buska-Zdroju”.

DR KAROLINA TRZESKOWSKA-KUBASIK:

Niestety, temat zagłady Polski lokalnej, Polski powiatowej, nie jest wątkiem dostatecznie dobrze zbadanym w polskiej historiografii, czego w mojej ocenie najlepszym przykładem jest powiat buski (Kreis Busko), położony w południowej części Kielecczyny. W czasie okupacji niemieckiej znajdował się w granicach administracyjnych dystryktu Radom.

Kiedy rozpoczynałam pracę nad tą tematyką, to pierwszą rzeczą, która mnie uderzyła, była znikoma liczba publikacji traktujących o niemieckich zbrodniach na terenie Kreis Busko. Przeważająca

większość masakr, morderstw i innych bestialstw dokonywanych na tym obszarze była zapomniana, podobnie zresztą jak ich ofiary. Ponadto w historiografii funkcjonował mit łagodnej okupacji niemieckiej na tymże terytorium. Okolice Buska-Zdroju, Kreis Busko, to tylko jeden z niezbadanych obszarów, gdzie miała miejsce inna niż np. w Warszawie, inna niż na Pomorzu, inna niż w Łodzi etc. specyfika niemieckiej okupacji.

W 2019 r. IPN zainaugurował projekt „Terror okupacyjny na ziemiach polskich w latach 1939–1945”, którego głównym celem jest zbadanie niemieckiego terroru w ramach niższych jednostek administracyjnych, czyli powiatów. Dzięki tej inicjatywie miałam możliwość odkrycia wielu nieznanych dotychczas miejsc kaźni, przywrócenia imion i nazwisk ofiarom zbrodni niemieckich i opisanie sylwetek niemieckich zbrodniarzy.

Powtórzę jednak – Kreis Busko to tylko jeden z przykładów niemieckiego terroru. Niestety, jeśli chodzi o niemieckie zbrodnie dokonane w Polsce lokalnej, Polsce powiatowej, to jest to tematyka bardzo, ale to bardzo zaniedbana, żeby nie powiedzieć – zapomniana...

Użyła pani słów „mit łagodnej okupacji”. Przepraszam, ale jaka „łagodna okupacja”? W pani książce jest nagromadzone tyle zła, tyle podłości i bestialstwa, że czytając ją, musiałem sięgać co kilka stron po różaniec, żeby nie zwariować...

Urodziłam się i wychowałam w Busku-Zdroju, dlatego też te tereny są dla mnie znane i mam do nich duży sentyment. Będąc nastolatką, w ogóle nie słyszałam o niemieckich zbrodniach dokonywanych na tym terytorium. Z kolei kiedy nieco później przeglądałam materiały m.in. z okresu PRL na ten temat, to wyzierał z nich mit „łagodnej okupacji niemieckiej”.

Przez niemal cztery lata prowadziłam badania o terrorze niemieckim na terenie Kreis Busko w latach 1939–1945. Udało mi się ustalić wiele danych liczbowych. Co najmniej 12 394 osoby zginęły na tym terytorium. Od razu chciałabym zaznaczyć, że te ustalenia dotyczą wyłącznie osób, których personalia udało mi się ustalić, więc śmiało można przyjąć tezę, że skala zbrodni była znacznie wyższa. Około 20 tys. osób wywieziono na roboty przymusowe do III Rzeszy, a 4 tys. do niemieckich nazistowskich obozów koncentracyjnych. Przez same areszty i więzienia przeszło około 23 tys. osób. Co więcej, według moich wyliczeń na tymże terytorium działało aż 29 obozów niemal wszystkich kategorii (z wyjątkiem obozu koncentracyjnego), a także 29 więzień i aresztów.

To jednak nie wszystko. Na terytorium Kreis Busko Niemcy zlokalizowali osiem gett, w których skupiono ponad 25 tys. Żydów. Przeważająca większość z nich zginęła w obozie zagłady w Treblince.

To tylko część moich ustaleń. W mojej ocenie przeczą one mitowi „łagodnej okupacji niemieckiej” i pokazują, jak ważne jest prowadzenie tego typu badań w ramach powiatów. Dają one nam możliwość oszacowania skali niemieckich zbrodni na terytorium okupowanej Polski.

Tylko skąd wziął się ten mit, że Niemcy byli źli w obozach zagłady, że byli źli podczas rzezi Woli, że byli źli podczas likwidacji getta warszawskiego, ale poza tym to byli w sumie dobrzy ludzie i wcale nie tacy źli, zwłaszcza na prowincji w czasie okupacji?

Mit ten funkcjonuje przede wszystkim ze względu na brak wystarczających badań na temat zbrodni popełnianych w ramach niższych jednostek administracyjnych. Bez wątplenia w wielu przypadkach nie przeprowadzono szerokich kwerend archiwalnych. Nie nawiązano współpracy z różnorakimi instytucjami zarówno polskimi, jak i zagranicznymi, dzięki której istnieje możliwość ustalenia wielu danych dotyczących strat osobowych oraz określenia rozmiaru zbrodni popełnionych przez Niemców.

Przykładowo: we wrześniu 1939 r. żołnierze Wehrmachtu tylko na terenie ówczesnego powiatu stopnickiego – który w przeważającej większości stał się w czasie okupacji niemieckiej Kreistem Busko – rozstrzelali 250 osób. Skoro 250 osób zo-

stało rozstrzelanych we wrześniu 1939 r. tylko na tym terytorium, to ile osób zabito w innych miejscach Polski? Ile osób zginęło w niemieckich bombardowaniach? Jak nazywali się ci ludzie? Dlaczego Niemcy ich zamordowali? Prawdopodobnie nigdy nie poznamy całościowych odpowiedzi na te i inne pytania, ponieważ mam wrażenie, że przez lata nie korzystano wystarczająco, jakkolwiek to zabrzmiał, z „potencjału”, którym dysponowaliśmy. Mam tutaj na myśli chociażby osoby, które były świadkami niemieckich zbrodni, których zeznania nigdy nie zostały spisane. Dzisiaj większość świadków już nie żyje...

Mówiła pani o tysiącach osób, które zostały wywiezione z powiatu buskiego do niemieckich obozów koncentracyjnych. Zapytam prowokacyjnie: Po co? Czytając pani książkę, odniosłem wrażenie, że powiat buski był jednym wielkim obozem... Jeśli Polak za nisko ułonił się Niemcowi, to w najlepszym wypadku trafił do więzienia, a w najgorszym zabijano go na miejscu. Jeśli Polak ubił bez zgłoszenia Niemcom krowę lub świnię, żeby przeżyć, to czekało go to samo... Powtórzę: dla mnie to jeden wielki obóz niczym Kambodża Czerwonych Khmerów...

Na terenie Kreis Busko mieliśmy do czynienia z różnymi formami eksterminacji ludności polskiej, żydowskiej etc. Mam tutaj na myśli m.in. eksterminację bezpośrednią i pośrednią. Mieszkańców wywożono do obozów koncentracyjnych z różnorakich przyczyn. Jedną z nich było nieoddanie kontyngentów, czyli osławionych niesławą obowiązkowych dostaw produktów rolnych i hodowlanych, które Polacy mieli przekazać Niemcom. Do obozów koncentracyjnych wywożono również osoby zaangażowane w działalność konspiracyjną czy też udzielające pomocy ludności żydowskiej.

Pięć tysięcy osób wywiezionych do obozów koncentracyjnych w przypadku jednego Kreisu to niezwykle duża liczba. Gdy uświadomimy sobie, że większość z nich zginęła w tych obozach, to wówczas widzimy, z jak wielką masakrą, hekatombą, zbrodnią mieliśmy do czynienia.

Przejdźmy dalej: w przypadku Lasu Weleckiego mamy do czynienia z systematyczną akcją eksterminacji ludności polskiej, ponieważ egzekucje rozpoczęły się już w 1941 r. Z kolei 12 stycznia 1945 r. miała miejsce ostatnia egzekucja w pobliżu Lasu Weleckiego. Niemcy byli wówczas w procesie opuszczania tego

terenu, ponieważ zbliżali się Sowietci, którzy ostatecznie weszli do Buska-Zdroju 13 stycznia 1945 r.

Przepraszam pani doktor, że przerywam, ale czy Niemcy naprawdę nie mieli w styczniu 1945 r. nic lepszego do roboty? Zamiast uciekać, woleli dalej zabijać Polaków?

To tylko dowodzi, jak zbrodnicza była natura tych ludzi. Przed ucieczką 12 stycznia 1945 r. zamordowali jeszcze 20 osób osadzonych w areszcie przy ul. Kościelnej w Busku-Zdroju – osławionej niesławą katowni gestapo.

Największa eskalacja egzekucji w Lesie Weleckim miała miejsce w latach 1943–1944 i wiązała się m.in. z przybyciem na te tereny Maxa Petera – funkcjonariusza Policji Bezpieczeństwa. Obok Johanna Hansela był on najczęstszym wykonawcą egzekucji w Lesie Weleckim.

Las Welecki nie był oczywiście jedynym miejscem na terenie dystryktu Radom, gdzie była prowadzona systematyczna eksterminacja Polaków. W położonym 13 km dalej więzieniu w Pińczowie Niemcy rozstrzelali od 200 do 500 osób. Mnie udało się ustalić nazwiska 210 zamordowanych tamże Polaków.

Czy nie jest tak, że w okolicy Buska Niemcy wysłali największych bydlaków i zwyrodnialców, którym torturowanie i mordowanie Polaków sprawiało po prostu dużą przyjemność?

Takich zbrodniarzy możemy spotkać w zdecydowanej większości miast, miasteczek, powiatów i gmin okupowanej Polski. W przypadku Kreisu Busko ich zbrodnicza działalność nie została dostatecznie dobrze opisana. Wielu mieszkańców nie jest ona do dzisiaj znana.

W mojej książce, która jest przyczynkiem do naszej rozmowy, tylko zasygnalizowałam np. poszczególne formacje policyjne, które funkcjonowały na tymże terytorium. W sposób o wiele bardziej szczegółowy sylwetki niemieckich zbrodniarzy zostaną opisane na łamach kolejnej monografii zatytułowanej „Terror niemiecki na terytorium Kreishauptmannschaft Busko w latach 1939–1945”. Liczy ona ok. 700 stron.

W „Zbrodniach niemieckich...” skupiłam się głównie na opisanu zła, którego na terenie Lasu Weleckiego dokonali Niemcy. Zależało mi na tym, by w końcu po tylu latach od zakończenia drugiej

wojny światowej ofiarom została przywrócona należna pamięć, a samo miejsce zaistniało w świadomości społecznej. Mam nadzieję, że mi się to udało. Muszę podkreślić ogromny wysiłek lokalnej społeczności w upamiętnieniu zbrodni dokonanych na terenie Lasu Weleckiego. Od trzech lat organizowane są tamże ponownie obchody rocznicowe największej egzekucji – 19 lipca 1944 r. Niemcy rozstrzelali 29 osób. Przed nami 80. rocznica – z tej okazji zaplanowano wiele różnych inicjatyw.

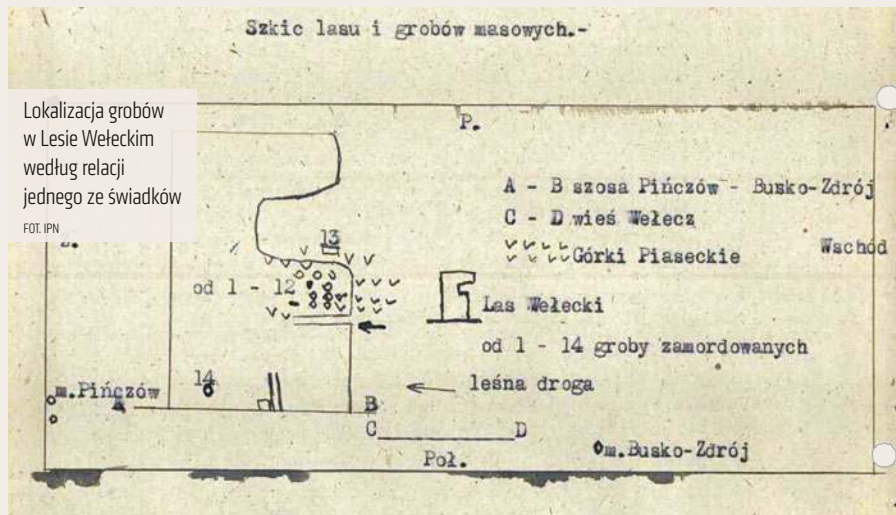
Jak wyglądało życie codzienne Polaków na tym terytorium?

Mówiąc najogólniej: codzienność była niezwykle trudna. Jesienią 1939 r. na terenie powiatu stopnickiego wiele ośrodków nauki i kultury – szkół, bibliotek oraz kin – zostało zamkniętych i oznaczonych jako „Nur für Deutsche” (tylko dla Niemców). Administracja niemiecka początkowo zezwoliła na działalność Gimnazjum i Liceum im. Marszałka Piłsudskiego, zakazując w niej jednakże nauczania historii. 1 października 1939 r. placówka rozpoczęła pracę. Buskie Gimnazjum i Liceum im. Józefa Piłsudskiego w Busku-Zdroju funkcjonowało tylko do 6 listopada 1939 r.

Zarządzeniem Kreishauptmanna Wilhelma Schäfera wprowadzono godzinę policyjną, która obowiązywała od 21 do 5. Z nowoczesnych mieszkań i domów wysiedlono dotychczasowych mieszkańców, a przy tym zabierano sprzęty gospodarstwa domowego, które przeznaczano dla Niemców.

Rozporządzeniem Kreishauptmanna Schäfera z 28 października 1939 r. nakazano usunięcie tablic umieszczonych na budynkach instytucji państwowych oraz zlikwidowanie portretów polskich polityków. Według rozporządzenia Emila Philippa z 8 marca 1940 r. zabroniono używania godła polskiego. W przypadku niestosowania się do niego grozono karą więzienia lub też grzywną. Zabroniono również obchodów świąt narodowych. To tylko nieliczne przykłady rozporządzeń, które były wymierzone w ludność polską.

Przeważającą większość ludności na terytorium Kreis Busko stanowili rolnicy. Według ostatniego, przedwojennego spisu z 1931 r. aż 79 proc. ludności na terenie powiatu stopnickiego trudniło się rolnictwem. Jak już wcześniej wspomniałam,



rolnicy byli obciążeni obowiązkowymi dostawami kontyngentów. Ich rozmiary znacznie przekraczały ich możliwości, a za niewywiązanie się z nich groziło wiele różnych konsekwencji: osadzenie w areszcie, deportacja do obozu koncentracyjnego, a nawet kara śmierci.

Represje zostały wymierzone także w przedstawicieli inteligencji. Przedstawiciele tej grupy stanowili bardzo duży odsetek ofiar w Lesie Weleckim. Ogółem ustaliłam nazwiska co najmniej 322 przedstawicieli polskich elit, którzy zginęli w latach 1939–1945.

Na koniec chciałbym zapytać panią o bitwę z „czerwonym autobusem”, w którym jechali niemieccy żołnierze. Polskie oddziały w walce zabiły połowę „pasażerów” tego autobusu, a drugą połowę wzięto do niewoli, zamknięto w stodole położonej 800 m na wschód od Stopnicy. Budynek następnie podpalono. Wiem, że to nie po katolicy, ale jakoś nie potrafie nazwać tego, co zrobili Polacy, zbrodnią, ponieważ cały czas z tyłu głowy mam to, co robili Niemcy...

W celu wyjaśnienia okoliczności incydentu stopnickiego Niemcy zaangażowali niemalże wszelkie możliwe służby – zarówno wojskowe, jak i policyjne. Zauważalny jest brak podobnej gorliwości w przypadku nieporównanie liczniejszych zbrodni wojennych, których we wrześniu 1939 r. dopuścili się żołnierze Wehrmachtu na terenie powiatu stopnickiego czy w późniejszych latach.

W protokołach przesłuchań funkcjonariuszy formacji policyjnych czy pracowników Kreishauptmannschaftu, zdeponowanych m.in. w Bundesarchiv w Ludwigsburgu, widać następujący obraz: Niemcy utrzymywali, że nie tylko

nie dokonywali zbrodni na terenie Kreis Busko, lecz także nie miały one miejsca, co jest wierutnym kłamstwem.

Wspominałam wcześniej o Johannie Hanselu, czyli o jednym z najczęstszych wykonawców egzekucji w Lesie Weleckim. Pełnił on również funkcję szofera. Po wojnie utrzymywał, że zajmował się jedynie przewożeniem więźniów do lasu. Równocześnie pomijał przy tym cel takich transportów i ich dużą częstotliwość. Takich przypadków można wymienić mnóstwo.

Ile takich Lasów Weleckich jest na terytorium Polski?

Wydaje mi się, że bardzo dużo. Minęło niemal 80 lat od zakończenia wojny, a bardzo wiele miejsc kaźni nie zostało jeszcze odkrytych i należyte opisanych. W przypadku wielu rejonów Polski nie zostały przypomniane nazwiska ofiar nie tylko terroru niemieckiego, lecz także sowieckiego. W związku z tym przed historykami, a także dziennikarzami wciąż jeszcze bardzo dużo pracy. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Karolina Trzeskowska-Kubasik – pracownik Biura Badań Historycznych IPN, członek zespołu pełnomocnika prezesa IPN do spraw badań nad terrorem okupacyjnym na ziemiach polskich w latach 1939–1945. W latach 2014–2019 pracownik Studium Polski Podziemnej w Londynie. Autorka pięciu książek, a także ponad 100 artykułów popularnonaukowych i naukowych publikowanych w prasie krajowej oraz emigracyjnej.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Sprawa Łucka

W okresie II RP komuniści prowadzili na ziemiach polskich szeroko rozgałęzioną działalność nie tylko polityczną, lecz także wywiadowczą i terrorystyczną, wymierzoną w instytucje państwa polskiego. Zrozumiałą rzeczą jest zatem to, że po ujawnieniu agentury wielu funkcjonariuszy partii komunistycznych (były trzy: Komunistyczna Partia Polski – KPP, Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi – KPZB i Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy – KPZU) jedną z najgłośniejszych spraw sądowych była tzw. sprawa Łucka (bo odbywała się w Łucku na Wołyniu).

Oskarżonych o działalność przeciwko państwu polskiemu było aż 57 „towarzyszy”. Znaczna ich część posypała się w śledztwie, składając obszernie zeznania i wyjaśnienia. Przez partię zwani byli „sypakami”. Niektórych wykluczono z KPZU, wielu innych zostało zawieszonych.

Już podczas śledztwa komuniści w nielegalnie wydawanych broszurach informowali swe szeregi, że jeśli towarzysze sypią, to pod wpływem tortur i znęcania się. Na przykład w broszurce „Brześć a Łuck”, wydanej w 1931 r., pojawiły się twierdzenia, że aresztowani poddani byli „wymyślnym torturom”. Jedna z towarzyszek informowała, że „mężczyzn bito po organach płciowych, zostaną kalekami... Dziewczyny zgwałcono”. Chodziło o przekonanie

opinii publicznej, że opresyjne państwo tylko takimi metodami wymuszało zeznania, a zatem są one fałszywe. Po latach okazało się, że większość towarzyszy „sama z siebie” informowała organa ścigania o swej działalności. Chcąc uzyskać niższe wyroki, oskarżono ich o przygotowania oderwania części terytorium RP na rzecz Związku Sowieckiego i pozbawienia Polski jej niepodległego bytu, czyli o zdradę główną.

Jednym z głównych oskarżonych był Ożjasz Szechter, wysoki funkcjonariusz partyni. Jego żona Helena Michnik oficjalnie została „asystentką” jednego z adwokatów, pieczołowicie przepisywała akta na potrzeby partii. Proces rozpoczął się w Łucku w lutym 1934 r., wyrok zapadł w kwietniu tego roku. Skazanych zostało tylko 45 podsądnych, wyroki były stosunkowo bardzo niskie wobec takich zarzutów, bo zaledwie od dwóch do ośmiu lat więzienia. Ale szybko wyszli na mocy amnestii już w 1935 r. Ożjasz Szechter, uznany za „sypaka”, w Polsce Ludowej zrobił ograniczoną karierę, w przeciwieństwie do innych skazanych.

Już w III RP „sprawa Łucka” została przypomniana w innych okolicznościach. W jednej z publikacji IPN Szechter został wspomniany jako skazany za szpiegostwo. Jego syn wywalczył swoiste przeprosiny i IPN musiał przyznać, że jego skazanie nastąpiło nie za szpiegostwo, tylko za... zdradę główną. ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Krwawy Maciek z telewizji

W szewchwałny szef Radiokomiteu epoki propagandy sukcesu, Maciej Szczepański, nigdy nie żałował finansów na zachodnie produkcje filmowe czy gwiazdy estrady zza żelaznej kurtyny. Specjalnie zaś dbał o jakość Studia 2 i sprowadził do programu szwedzką grupę ABBA. Zespół był wówczas u szczytu popularności, a jego występ (13 października 1976 r.) można było przyrównać tylko do koncertów Rolling Stones w Sali Kongresowej dziewięć lat wcześniej. Inna sprawa, że atrakcje nie kończyły się na sobotnim bloku programowym, gdyż w pozostałe dni tygodnia, w najlepszym czasie antenowym, nadawano wiele zachodnich produkcji.

„Przyjąłem zasadę – tłumaczył Szczepański – że przeciętny obywatel włącza telewizję przede wszystkim po to, aby się rozerwać. A na drugim miejscu [dopiero] stawia sprawy dostępu do informacji. Chyba że są jakieś napięcia czy niepokoje, to wtedy [tylko] sytuacja się zmienia”.

Doszło nawet do tego, że wyrównała się liczba produkcji amerykańskich i tytułów z krajów socjalistycznych, co było ewenementem w całym bloku wschodnim i wzbudzało protesty sowieckiej ambasady.

„Pisywałem źle o Macieju Szczepańskim, jej dyrektorze – notował w lutym 1977 r. Stefan Kisielewski – a teraz powiedzieć jednak muszę, że to w swoim rodzaju wielki

menadżer. Daje mnóstwo amerykańskich filmów, coraz lepsze programy rozrywkowe i sportowe i oto cała Polska siedzi bez przerwy przed telewizorem [...] i nie myśli, tylko chłonie tę opiumową strawę. Ameryka – opium dla ludu, to dobre hasło – ten spryciarz wie dobrze, że jakby pokazywał Rosję, toby ludzie szlag trafił. I tak Polska śpi – a oni rządzą”.

Rozbudowano ofertę drugiego kanału telewizji i emitowano coraz więcej programów w kolorze. Pojawił się czwarty program polskiego radia, od razu w wersji stereofonicznej, próbowano nawet eksperymentów z dźwiękiem kwadrofonicznym. Radiowa Trójka kontynuowała misję wśród młodych słuchaczy i słusznie uważano ją za jedyną rozgłosząc młodzieżową w krajach komunistycznych. Towarzysz Maciej doskonale wiedział, że „wentyl bezpieczeństwa” był potrzebny, a młodzież potrafi przecież zawsze przysparzać kłopotów...

To wszystko nie byłoby możliwe bez ogromnych nakładów finansowych, ale Szczepański zawsze mógł liczyć na duże pieniądze, gdyż budżet telewizji był praktycznie otwarty. Nic zatem dziwnego, że zdarzają się opinie, iż Szczepański wyjątkowo przyczynił się do upadku komunizmu nad Wisłą, gdyż obywatele PRL żyją jak ich odpowiednicy w krajach zachodnich. I nie było to szczególnie korzystne porównanie. ©

Szefowa KE Ursula von der Leyen na konferencji prasowej poświęconej proponowanej strukturze kolegium komisarzy, 17 września 2024 r.

FOT. MATHIEU CUGNOT/EP/EU



European Parliament



Zielona komisja



Dominika Ćosić

Ursula von der Leyen przedstawiła proponowany skład nowej Komisji Europejskiej. Wśród 25 kandydatów na komisarzy co najmniej kilku budzi poważne wątpliwości

Co pięć lat dochodzi do przemeblowania unijnej sceny politycznej. Najpierw są wybory do PE, których wynik już wnosi coś nowego. Od kilkunastu lat widać powolne i drobne, ale stałe przesuwanie się na prawo europarlamentu. Oczywiście co pięć lat

przed wyborami mało obeznani eksperci lub naiwni politycy wieszczą rewolucję. Ci z prawej strony sceny politycznej z nadzieją mówią o wielkiej zmianie, która zmiecie dotychczasowy układ sił, i przebudzeniu się Europejczyków. Ci z lewej straszą triumfem „skrajnej

prawicy i populistów” i zagrożeniem dla demokracji. Jedni i drudzy przesadzają w swych nadziejach i obawach, bo zamiast rewolucji mamy ewolucję.

Po wyborach z czerwca dalej mamy te same dwie największe frakcje polityczne w europarlamencie: Europejską Partię Ludową (która zwiększyła liczbę europosłów w porównaniu z 2019 r.) i socjaldemokratów (którzy stracili sporo mandatów). Jednak na trzecim miejscu zamiast liberałów są Patriotci dla Europy (m.in. Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen, Fidesz Viktora Orbána i Liga Matteo Salvini) i tuż za nimi (różnica kilku mandatów) Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy. W sumie są trzy prawi-

cowe frakcje. Co ciekawe, EKR wyszedł z kordonu sanitarnego i w tym rozdaniu jego politycy otrzymali funkcje w PE.

Po wyborach do Parlamentu Europejskiego liderzy krajów unijnych na specjalnym szczycie wybierają nowego przewodniczącego KE, szefa unijnej dyplomacji i szefa Rady. Następnie nowy już PE głosuje nad szefem KE. I dopiero wtedy przewodniczący Komisji na drodze rozmów z premierami poszczególnych krajów wybiera kandydatów na komisarzy oraz kreśli strukturę nowej Komisji. Zmienia przy tej okazji podział na portfolia i hierarchię. Następnie ogłasza proponowany skład w Parlamencie Europejskim podczas sesji plenarnej w Strasburgu.

Kilka tygodni później rozpoczyna się w PE cykl wysłuchań kandydatów na komisarzy w poszczególnych komisjach tematycznych. To jest ten moment, kiedy europosłowie mogą odrzucić kandydatów i zażądać zastąpienia ich innymi. I w chwili, kiedy jest już zielone światło ze strony PE, nowa Komisja Europejska może zacząć pracę. Tym razem nowa szefowa przewodnicząca KE chciała przyspieszenia, liczyła na rozpoczęcie wysłuchań jeszcze na początku października, tak by Komisja mogła zacząć pracę przed wyborami prezydenckimi w USA. Już wiadomo, że ten plan się nie uda, bo wysłuchania rozpoczną się w listopadzie, co oznacza, że nowa Komisja zacznie pracę najwcześniej w grudniu.

Jaka ma być nowa ekipa w KE? Przyjrzyjmy się po kolei wszystkim kandydatom.

KANDYDACI NA KOMISARZY

AUSTRIA – Magnus Brunner (EPL). Miałby się zajmować sprawami wewnętrznymi i imigracją. To doświadczony polityk, m.in. były minister finansów. Znany jest z ostrzejszego podejścia do polityki migracyjnej.

BELGIA – Hadja Lahbib (Renew). Ona miałaby odpowiadać za, cytuję dosłownie, „Gotowość, zarządzanie kryzysowe i równość”. Urodzona w Belgii, ale algijskiego pochodzenia polityk budzi od dawna duże kontrowersje. Jej nazwisko pojawiło się w kontekście afery katarskiej (jej obecnym partnerem życiowym jest były mąż eksuroposłanki, Marii Areny, kluczowej postaci afery). Sama Lahbib w 2021 r. odwiedziła, wbrew ostrzeżeniom, Krym

i odmówiła potępienia Rosji za jego aneksję. Co prawda, po wybuchu wojny na Ukrainie w lutym 2022 r. już jako minister spraw zagranicznych wspierała Ukrainę, ale wątpliwości co do jej zaangażowania politycznego pozostały.

BULGARIA – Ekaterina Zaharieva (EPL). Jej mają przypaść start-upy, badania i innowacje. W przeszłości m.in. minister spraw zagranicznych oraz minister sprawiedliwości. Bułgaria jako jedyny kraj dostosowała się do prośby von der Leyen i zaproponowała dwoje kandydatów na komisarzy: kobietę i mężczyznę. Szefowa KE wybrała właśnie Zaharięwą.

CHORWACJA – Dubravka Šuica (EPL). Już w poprzedniej KE była komisarzem, a wcześniej europosłanką, jeszcze wcześniej burmistrzem Dubrownika. Odpowiadała za politykę demograficzną. Teraz miałaby się zająć polityką środowiskową.

CYPR – Kostas Kadis – rybołówstwo i oceany. To nowe portfolio, ale odpowiedzialny za nie polityk ma duże doświadczenie. Był m.in. ministrem zdrowia, ministrem rolnictwa, a z wykształcenia jest biologiem. Ta nominacja nie jest zatem przypadkowa.

CZECHY – Jozef Síkela (EPL). Ten był ministerem do spraw przemysłu i handlu w Brukseli dał się poznać podczas czeskiej prezydencji, gdy krytykował KE za próbę odgórnego sterowania cenami gazu. Teraz miałby odpowiadać za międzynarodowe partnerstwo.

DANIA – Dan Jørgensen (socjaldemokrati). Polityk doświadczony, ale bardzo kontrowersyjny. Od wielu lat jest zadeklarowanym przeciwnikiem elektrowni atomowych i zwolennikiem odnawialnych źródeł energii, czyli wpasowuje się w politykę Zielonego Ładu. W KE miałby się zajmować energią i mieszkalnictwem. I to budzi bardzo duże obawy.

ESTONIA – Kaja Kallas (Renew). Była premier Estonii będzie szefową unijnej dyplomacji. W Brukseli doskonale znana i raczej lubiana, zwolenniczka ostrego kursu wobec Rosji, co jest o tyle ciekawe, że jej mąż jest oskarżany o finansowe relacje z Rosją. Ojciec Kallas był kilkanaście lat temu estońskim komisarzem. Kandydaturę Kallas w ostatnim momencie próbowała storpedować włoska premier Giorgia Meloni, która wyraziła obawy, że Kallas jako odpowiadająca za unijną politykę zagraniczną skupiać się będzie tylko

na wschodzie, podczas gdy powinna się zajmować całością dyplomacji unijnej.

FINLANDIA – Henna Virkkunen (EPL). Była europosłanka, z dużym doświadczeniem i dość mocnymi poglądami, jedna z głównych postaci w komisji do spraw używania Pegasus. Miałoby jej przypaść bardzo ważne portfolio związane z cyfryzacją, ze sztuczną inteligencją i z Internetem, czyli „Suwerenność technologiczna, bezpieczeństwo i demokracja”. Zdaniem niektórych krytyków ta nominacja może być gorsza od krytykowanego za pomysły wprowadzenia cenzury w Internecie byłego już francuskiego komisarza Thierry'ego Bretona.

FRANCJA – Stéphane Séjourné (Renew). To była polityczna bomba, bo kandydatem francuskim był właśnie Breton, ale w ostatnim momencie na osobistą prośbę przewodniczącej KE Francja została poproszona o przedstawienie innej kandydatury, najlepiej kobiety. Konflikt Bretona z von der Leyen był tajemnicą poliszynela. Według innej teorii zaszkodzić mu miało forsowanie pomysłu oceniania portalu X – ponoć von der Leyen, licząc się z ewentualną wygraną Donalda Trumpa, nie chciała jawnej konfrontacji. Séjourné, dotychczasowy minister do spraw europejskich, był wcześniej europoseł. Jest uważany za jednego z najbliższych współpracowników Emmanuela Macrona. W Brukseli media kpią z jego bardzo ograniczonej znajomości angielskiego. W KE miałby odpowiadać za dobrobyt i strategię przemysłową. Czyli mocna teka.

GRECJA – Apostolos Diziakostas (EPL). Był przewodniczącym Europejskiego Komitetu Regionów miałby się zajmować teraz zrównoważonym transportem i turystyką, czyli zwłaszcza z greckiego punktu widzenia ważnymi tematami. Pytanie, na ile pod hasłem „zrównoważony transport” kryje się pomysł ograniczenia transportu lotniczego, co owocować mogłoby wzrostem cen biletów.

HISZPANIA – Teresa Ribera (socjaldemokrati). Ta minister do spraw transformacji energetycznej budzi wiele obaw ze względu na jej niemal fanatyczne podejście do polityki klimatycznej i niechęć do elektrowni atomowych, a także energii pochodzącej z węgla. Miałaby odpowiadać za „czystą, sprawiedliwą i konkurencyjną transformację”.

HOLANDIA – Wopke Hoekstra (EPL). Były minister spraw zagranicznych, który zastąpił w KE Fransa Timmermansa, gdy ten zdecydował się wrócić do krajowej polityki. Pierwotnie miał odpowiadać za sprawy gospodarcze, ostatecznie zaproponowano mu „Klimat, neutralność emisyjną CO₂ i czystość”, czyli poza polityką klimatyczną także kwestie podatkowe.

IRLANDIA – Michael McGrath (Renew). „Demokracja, sprawiedliwość i praworządność”, czyli – jak pokazała praktyka – bardzo ważne portfolio, wykorzystywane często do dyscyplinowania niechętnych rządów. Teraz ma być rozszerzone także o walkę z dezinformacją i obcymi wpływami. Irlandczyk był m.in. ministrem finansów, wykładał też wcześniej na uczelni.

LITWA – Andrius Kubilius (EPL). Były premier Litwy, wieloletni europoseł, znany z krytycznej wobec Rosji polityki i retoryki, ma być odpowiedzialny za nowe portfolio – czyli politykę bezpieczeństwa. Brzmi to dumnie, szkopał w tym, że Unia na mocy traktatów nie ma kompetencji w zakresie polityki bezpieczeństwa i obrony zatem samo stanowisko będzie raczej bardziej teoretyczne. Dlatego też może zaproponowano je politykowi litewskiemu, by z jednej strony pokazać, że KE będzie miała jasny kurs, jeśli chodzi o Rosję, a sam komisarz zdziałać zbyt wiele nie będzie mógł.

LUKSEMBURG – Christophe Hansen (EPL). Jemu mają przypaść rolnictwo i żywność, czyli także zapewnienie bezpieczeństwa w zakresie produkcji i dostaw żywności. Portfolio ważne, ale trudne, bo polityka Zielonego Ładu będzie wyzwaniem. Hansen był wcześniej europosełem.

ŁOTWA – Valdis Dombrovskis (EPL). Gospodarka i produktywność, wdrażanie i upraszczanie, także regulacji unijnych. Dombrovskis już dwa razy był komisarzem, także wiceprzewodniczącym KE, zawsze odpowiedzialnym za kwestie gospodarcze i finansowe. Zanim przyjechał do Brukseli, był premierem Łotwy.

MALTA – Glenn Micallef (socjaldemokraci). Ze wszystkich kandydatów to jemu się zarzuca najmniejsze polityczne doświadczenie. W przeszłości pracował w MSZ Malty. Jest najmłodszym z potencjalnych komisarzy, ma 35 lat. W KE miałby odpowiadać za międzypokoleniową uczciwość, młodzież, kulturę i sport.

Węgier Olivér Várhelyi jest typowany na kozła ofiarnego – bo jest współpracownikiem Viktora Orbána

POLSKA – Piotr Serafin (EPL). Serafin od lat porusza się w polityce unijnej, był m.in. szefem gabinetu Donalda Tuska, gdy ten był po raz pierwszy premierem, potem pracował dla niego, gdy Tusk był przewodniczącym Rady Europejskiej. Jemu przypaść ma teka do spraw budżetu, walki z korupcją i administracji publicznej – z tym łączy się prowadzenie negocjacji związanych z nową wieloletnią perspektywą finansową (na lata 2028–2034). Ponoć rząd Polski miał do wyboru albo stanowisko wiceprzewodniczącego KE i słabsze portfolio, albo właśnie budżet. Wybór padł na budżet, Serafin będzie zatem jednym z kilku zaledwie komisarzy bez dodatkowej funkcji.

PORTUGALIA – Maria Luís Albuquerque (EPL). Była minister finansów, która negocjowała z KE, gdy lata temu Portugalia była objęta procedurą nadmiernego zadłużenia. Teraz miałaby odpowiadać za usługi finansowe oraz unię oszczędności i inwestycji.

RUMUNIA – Roxana Minzatu (socjaldemokraci). Była europosełką, a wcześniej posłanką w parlamencie rumuńskim. Jest jedną z najmłodszych kandydatek i jedną z niewielu kobiet, co daje jej a priori lepszy odbiór przez PE. Jej portfolio to „Ludzie, umiejętności i gotowość”.

SŁOWACJA – Maroš Šefčovič. Po raz czwarty, co jest ewenementem, miałby być komisarzem. W przeszłości zajmował się energią, a także walką z pandemią COVID. Teraz przypaść w udziale mają mu handel zagraniczny i bezpieczeństwo ekonomiczne oraz relacje międzyinstytucjonalne i przejrzystość, czyli tak ważne tematy jak np. negocjowanie umowy handlowej z Chinami.

SŁOWENIA – Marta Kos (Renew). Była dziennikarka, później dyplomatką i lobystką. Wzbudza kontrowersje ze względu na swoje komunistyczne sympatie (to już druga taka kandydatura typowana przez Słowenię). W nowej KE miałaby odpowiadać za rozszerzenie.

SZWECJA – Jessica Roswall (EPL). Z wykształcenia prawniczka, od kilkunastu lat zasiada w parlamencie szwedzkim. Jej teka w nowej KE to środowisko, woda i konkurencyjna gospodarka.

WĘGRY – Olivér Várhelyi (Patrioci dla Europy). Poprzednio w KE był komisarzem do spraw polityki sąsiedztwa i rozszerzenia, teraz ma mu przypaść teka zdrowia i dobrostanu zwierząt. Nie jest tajemnicą, że to właśnie na tego bliskiego współpracownika premiera Viktora Orbána i byłego ambasadora Węgier przy UE ostrzą sobie zęby europosłowie. Nie zgadzam się jednak z opinią większości dziennikarzy, że zostanie on „ustrzelony” przez PE. Bo choć mało kto przyzna to oficjalnie, Várhelyi ma bardzo dobre kontakty wśród polityków różnych opcji, ale że jest od Orbána, to oczywiście on jest typowany na kozła ofiarnego wśród kandydatów na komisarzy.

WŁOCHY – Raffaele Fitto (EKR). Były wiceprzewodniczący frakcji EKR w Parlamencie Europejskim, a następnie minister do spraw europejskich w rządzie Meloni. Wcześniej był współpracownikiem Silvia Berlusconi i opuścił jego partię Forza Italia, by przejść do Fratelli Italia. On również jest typowany jako potencjalny cel ataków europosłów podczas wysłuchań. Już teraz liderka liberałów, czyli Renew, mówi o skandalicznej nominacji. Bardziej skandaliczne są jednak jej słowa, bo rządy mają prawo nominować polityków z własnej partii i trudno, by Meloni zaproponowała polityka z opozycji.

Tak zatem wygląda proponowany skład nowej KE. Jednak dopiero po serii wysłuchań w PE poznamy ostateczny kształt. Jako że dla europosłów to rzadka okazja do pokazania swojej siły sprawczej, te wysłuchania często mają charakter niemal show i prawie zawsze najbardziej grillowani są kandydaci spoza politycznego mainstreamu. Jeśli nie dojdzie do wielkich przetarasowań, to widać, że zielona rewolucja będzie kontynuowana, podobnie jak tematy praworządnościowe. Już Jean-Claude Juncker powiedział, że jego Komisja Europejska będzie polityczna, w odróżnieniu od wcześniejszych, które były bardziej urzędnicze. Ursula von der Leyen jeszcze bardziej wzmocniła ten wymiar.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Kacper Kita

Francja weszła w stan permanentnego politycznego chaosu

Media głównego nurtu we Francji wpadły w histerię. Pierwszy raz od upadku Vichy rząd jest zależny od „skrajnej prawicy”. „Najbardziej prawicowy rząd od lat”; „Rasista i reakcjonista na czele policji” – tego rodzaju krzykliwych nagłówków nie brakuje.

Lewica organizuje manifestacje antyrządowe, mówiąc o „łamaniu demokracji” i żądając dymisji prezydenta Emmanuela Macrona. Ponadto nowy minister spraw wewnętrznych Bruno Retailleau także nie przebiera w słowach, deklarując buńczucznie: „Ręka mi nie zadrży, by zamykać islamistyczne meczety”. Wandejczyk Retailleau to tym lepszy kandydat na „czarnego luda” lewicy, że głosował przeciw aborcji czy kolejnym elementom agendy LGBT.

Skład rządu Michela Barniera pokazuje, że francuski establishment chce odróżnić się w oczach społeczeństwa od skrajnej lewicy. Są jednak wątpliwości, czy prawicowa korekta w drugim największym kraju Europy będzie faktyczna, a nie jedynie werbalna.

POWYBORCZY PAT

Francuzi dopiero co głosowali aż trzy razy w ciągu miesiąca – w wyborach do Parlamentu Europejskiego i dwóch turach przyspieszonych wyborów do Zgromadzenia Narodowego. O ile 9 i 30 czerwca zwycięstwa odniosło RN Marine Le Pen, które zdobyło rekordowe wyniki 31 proc. i 33 proc., o tyle 7 lipca w drugiej turze udało się „zatrzymać faszyzm” dzięki stworzonemu ad hoc sojuszkowi od skrajnej lewicy do części centroprawicy.

Oslawiony front republikański odniósł jednak tylko częściowy sukces. Le Pen zwiększyła liczbę posłów i pierwszy raz w półwiecznej historii partii może pochwalić się największym klubem w Zgromadzeniu. Większości nie uzyskały ani lewicowa koalicja Nowy Front Ludowy, ani obóz pre-

zydencki, które nie są w stanie porozumieć się co do programu pozytywnego wykraczającego poza powstrzymywanie Le Pen. Nie było żadnej naturalnej większości, a zgodnie z konstytucją Zgromadzenie nie może być ponownie rozwiązane szybciej niż rok od wyborów.

Macron kolejne dwa miesiące nie powoływał nowego rządu – najpierw pod pretekstem igrzysk olimpijskich, potem czasu na konsultacje. Jeszcze nigdy od drugiej wojny światowej Francja nie była tak długo w stanie zawieszenia, administrowana przez ministrów pełniących obowiązki w stanie dymisji. Prezydent i finansowo-polityczny establishment, którego jest reprezentantem, dostrzega przesuwanie się nastrojów społecznych na prawo. Widzi też potrzebę trzymania

z izolacji. Zawetowała pierwszą zaproponowaną przez Macrona kandydaturę Xaviera Bertranda – polityka lewej flanki Republikanów, który przez lata ostro atakował lepenistów i był gotowy sprzymierzać się przeciw „skrajnej prawicy” nawet z komunistami. Tym samym Marine mogła zemścić się na osobistym wrogu i pokazać innym, że bycie dla niej miłym może się opłacać. Zaakceptowała natomiast Michela Barniera – nestora centroprawicy.

W zależności od sympatii można go nazwać dystyngowanym starszym panem mającym duże doświadczenie albo aparaczykiem, który w ruch gaullistowski zaangażował się w 1965 r. jako 14-latek i przechodził wszystkie szczeble kariery – od asystenta ministra przez po-

Zwrot w prawo

dystansu od najbardziej radykalnej lewicy i jej przywódcy Jeana-Luca Mélenchona – proislamskiego trockisty (którego sylwetkę opisałem w „Do Rzeczy” nr 31/2024).

Lewica nie była zainteresowana rządem koalicyjnym, chcąc narzucić prezydentowi swoją kandydaturę na premiera. Dlatego Macron ostatecznie zdecydował się przeciąć powyborczy węzeł gordyjski, formując rząd mniejszościowy z Republikanami (postgaullistowską centroprawicą), w praktyce zależny jednak także od Marine Le Pen. Pierwszy raz w istniejącej od 1958 r. V Republice premierem nie został przedstawiciel największej siły w parlamencie, ale dopiero piątej.

CZYJA TO PUŁAPKA?

Dla przywódczyni Zjednoczenia (dawniej Frontu) Narodowego była to szansa na nieoczekiwane wyjście

śła, senatora i europosła do czterokrotnego ministra i dwukrotnego komisarza unijnego.

Barnier był na przestrzeni lat mniej konfrontacyjny wobec środowiska narodowego, a w 2021 r., startując na prezydenta, deklarował konieczność zaostrzenia polityki migracyjnej i konstytucyjnego zabezpieczenia suwerenności Francji wobec UE. Podczas ostatnich przyspieszonych wyborów nie włączył się we „front republikański”.

Le Pen zadbała, by w sprawie tej kandydatury Macron zadzwonił do niej i osobiście poprosił o akceptację. Ogłosiła też, że nowy rząd będzie „pod nadzorem Zjednoczenia Narodowego”, a jeśli nie będzie „konkretnych środków poprawy siły nabywczej, wzmocnienia bezpieczeństwa czy kontroli imigracji, nie zawahamy się użyć prawa do wotum nieufności”.

■ Kilka dni później doprecyzowała też, że i tak chce kolejnych wyborów parlamentarnych w najszybszym możliwym terminie, czyli w lipcu 2025 r.

Le Pen chce pokazać się jako konstruktywna, poważna i propaństwowa. Próbuje też przerzucić na lewicę własną gębę niebezpiecznych, siejących chaos radykałów, których trzeba izolować, a także ocieplać swój wizerunek u zwolenników centroprawicy i centrum, których potrzebuje. We Francji nie da się bowiem zdobyć władzy, nie mając 50,1 proc. głosów, a zarówno posłowie, jak i prezydent są wybierani w jednomandatowych okręgach wyborczych, i to w dwóch turach. Dlatego Marine proponuje także zmianę ordynacji wyborczej na proporcjonalną, podobną do tej z Polski.

Ponadto nadmierna kompromisowość mogłaby zaszkodzić jej w oczach bazowych zwolenników. Jest też cały czas atakowana przez lewicę jako narzędzie w rękach Macrona i wielkiego kapitału. Mélenchon organizuje kolejne marsze „w obronie demokracji”, a jego partia zgłosiła wniosek o zdjęcie Macrona z urzędu przez parlament. Jest to skądinąd zabawne – francuscy lewicowcy przez ostatnie tygodnie wypisują, że „podstawą demokracji” jest powierzenie władzy przedstawicielowi komitetu wyborczego, który uzyska najwięcej posłów (czyli w tym wypadku Nowemu Frontowi Ludowemu). Równolegle w Polsce i we wschodnich Niemczech w imię ratowania tej samej demokracji lewica i liberałowie tworzą eklektyczne koalicje wbrew zajmującym w wyborach pierwsze miejsce PiS i AfD.

WANDEJSKI RYCERZ

Symbolem zwrotu w prawo, który ma zapewnić rządowi Barniera przetrwanie dłuższe niż kilka tygodni, jest nowy minister spraw wewnętrznych Bruno Retailleau. Jak na francuskie standardy jest to polityk konserwatywny w starym stylu. Sześćdziesięcioczworoletki pochodzi z Wandei, podobnie jak wszyscy jego przodkowie do kilku pokoleń wstecz. Dziennikarze znaleźli nawet informację, że w XVII w. Jean Retailleau był tkaczem w miejscowości obok Saint-Malô-en-Bois, rodzinnego miasteczka Bruna noszącego imię św. Makłowiusza, mnicha z VI w. Istnieje też świadectwo historycz-



ne o noszącym to nazwisko uczestniku bitwy pod Frélicgné w 1794 r., podczas powstania wandejskiego. Rzeczonemu Retailleau miał przed walką wyjść przed obóz, rzucić wyzwanie na pojedynek, zwyciężyć, a szablę pokonanego podoficera wojsk Republiki ofiarować dowódcą siłami kontrrewolucyjnymi słynnemu gen. Charette. Oczywiście nie wiemy, czy był realnie spokrewniony z obecnym ministrem.

Jako przewodniczący rady regionu Wandea Retailleau angażował się w upamiętnienie powstańców, a jako senator złożył wniosek o symboliczne anulowanie przez parlament dekretu, który zalegalizował eksterminację Wandejczyków.

Jako 17-latek brał udział w tworzeniu Puy du Fou – parku rozrywki opowiadającego historię Francji założonego przez Philippe’a de Villiersa, nazywanego czasem „konserwatywnym Disneylandem”. Początkowo odgrywał w Puy du Fou rolę rycerza – jest wielkim amatorem jazdy konnej. Socjologicznie nowy minister reprezentuje

zatem starą Francję. Stopień historycznych kompromisów pokazuje z drugiej strony, że jego partia nazywa się dziś... Republikańskie, a słowo „republika” jest traktowane jako synonim porządku publicznego.

Retailleau deklaruje się jako praktykujący katolik. Przez 30 lat był bliskim współpracownikiem de Villiersa – przywódcy konserwatywno-katolickiego odłamu gaullizmu, dwukrotnego kandydata na prezydenta. W 2010 r. panowie się pokłócili, a obecny minister związał się z głównym nurtem gaullizmu. To pozwoliło mu w 2014 r. zostać szefem klubu Republikańców w Senacie. Na przestrzeni lat konsekwentnie głosował przeciw traktatowi z Maastricht, traktatowi konstytucyjnemu dla Europy, ratyfikacji traktatu lizbońskiego, związkowi partnerskim, zakazowi tzw. terapii konwersyjnych dla homoseksualistów, ostatnio także przeciw wpisaniu aborcji do konstytucji. Dekadę temu brał udział w ulicznych protestach przeciw wprowadzeniu homomażeństw. Kilka miesięcy temu Senat przy jego

We Francji wszyscy z obozu prezydenckiego myślą już, jak przetrwać, gdy za 2,5 roku Emmanuel Macron odejdzie z Pałacu Elizejskiego

FOT. THIBAUT CAMUS/POOL/EPA/PAP

pierowych Francuzach” – „obywatelach francuskich, którzy mówią: j...ć Francję i pobierają zasiłki”.

Teraz Retaillieu będzie musiał być mocny nie tylko w gębie. Od pierwszego dnia wszedł w rolę szeryfa, obiecując „przywrócenie porządku”, zwiększenie liczby deportacji, zamykanie meczetów, w których jest „głoszona nienawiść”, i rozprawę z przestępczością.

Zderzył się też jednak z faktem, że równolegle ministrem sprawiedliwości został były socjalista Didier Migaud, który bynajmniej nie zamierza reformować wymiaru sprawiedliwości w kierunku większej surowości. Panowie szybko weszli ze sobą w publiczne polemiki. Retaillieu stwierdził, że we Francji od lat panuje prawo do niekarania przestępców i czas to zmienić. Migaud odparł, że nie jest prawdą, że sądy są zbyt miękkie.

Akurat tego samego dnia kraj obieгла informacja o 19-letniej studentce – katoliczce i harcerce – zamordowanej przez marokańskiego imigranta. Jej oprawca wcześniej zgwałcił inną dziewczynę i powinien być deportowany z kraju, ale sędzia odesłał go do hotelu do „aresztu domowego”. Miał tam oczekiwać na deportację, ale uciekł, czego można było się spodziewać. Francuscy politycy i prawnicy spierają się, czy winny jest konkretny sędzia czy obowiązujące przepisy, ale jedno jest pewne – wymiar sprawiedliwości nie działa dobrze, a prawa przestępców są często stawiane wyżej niż elementarne bezpieczeństwo.

Na drodze Retaillieu może też stanąć Rada Konstytucyjna, która na początku tego roku wypatroszyła świeżo przyjętą ustawę o imigracji, efekt kompromisu między obozem Macrona, Le Pen i Republikanami, ze wszelkich stanowiących realną zmianę przepisów, np. utrudnienia dostępu do obywatelstwa czy ograniczenia zasiłków dla imigrantów.

CORAZ WIĘKSZY CHAOS

Na większości stanowisk ministerialnych nastąpiły zmiany polityków, ale nie polityki. Macron zablokował nominację na ministra do spraw rodziny katolickiej konserwatystki Laurence Garnier, która została zamiast tego wiceministrem finansów. Ministrem nauki i szkolnictwa wyższego został Patrick Hetzel, krytyk woke i ideologii uniwersytetów, który także

głosował przeciw homomateństwu i konstytucjonalizacji aborcji. Kluczowe resorty gospodarki i finansów, obrony narodowej, spraw zagranicznych czy edukacji pozostały jednak w rękach macronistów.

Gabinet Barniera jest zlepkiem ludzi o odmiennych poglądach wywodzących się z różnych środowisk i partii, który nie ma szans zbudować stabilnej większości w parlamencie i musi próbować łączyć ogień z wodą. Także sam premier ma opinię elastycznego „doskonałego centrysty”, wybranego na to stanowisko ze względu na umiejętności negocjacyjne. Może funkcjonować, ponieważ we Francji rząd nie potrzebuje uzyskać wotum zaufania – prezydent go po prostu powołuje. Zgromadzenie Narodowe może jednak przegłosować wotum nieufności i zapewne prędzej czy później się to wydarzy. Le Pen nie opłaca się podtrzymywać istnienia eksperymentalnego gabinetu dłużej niż to konieczne. Zwłaszcza jeśli nie nastąpią żadne realne ruchy w sprawie imigracji czy ordynacji wyborczej. Równolegle poparciem dymisji Barniera grozi jednak także lewa flank obozu Macrona, o ile rząd... będzie dokonywał prawicowych zmian. Dodatkowo postępuje dekompozycja obozu prezydenckiego. Wszyscy myślą już o tym, jak przetrwać odejście Macrona z Pałacu Elizejskiego za dwa i pół roku, i orientują się na nowych patronów.

Wydaje się, że Francja weszła w stan permanentnego politycznego chaosu. Z jednej strony trudno odmówić racji słowom Le Pen, która powtarza „albo my, albo bagno”, „albo większość dla RN, albo bałagan”. Z drugiej jednak mimo wzrastającego z każdymi wyborami poparcia ponad połowa Francuzów wciąż nie chce powierzyć władzy „skrajnej prawicy”. Eksperyment w postaci rządu Barniera zapewne długo nie przetrwa, ale jego powołanie pokazuje, że nie da się całkowicie uciekać od strukturalnych problemów, z którymi mierzy się Francja, ani trzymać „narodowych populistów” w nieskończoność w zupełnej izolacji. Ponadto widzimy też realne zagrożenie uspokajaniem nastrojów za pomocą frazesów i medialnej propagandy tworzącej potiomkinowską iluzję wielkich prawicowych zmian oraz kooptację sił kontestatorskich przez establishment.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rząd Barniera pokazuje, że we Francji nie da się całkiem uciekać od problemów strukturalnych, z którymi mierzy się kraj

zaangażowaniu przyjął projekt ustawy zakazujący podawania niepełnoletnim hormonów wypaczających ich rozwój (tzw. transowania dzieci).

Retaillieu deklaruje, że jako minister chce wcielać w życie hasło „mniej imigracji, więcej bezpieczeństwa”. To także pole, na którym przez lata miał wiele ostrych wypowiedzi – potrafił mówić np. o „zdziwieniu”, „decywizowaniu się” czy wreszcie „kolonizacji” Francji – a dokładniej „umysłów przez wokeizm importowany z amerykańskich kampusów, a terytoriów przez islamizm tworzący swoje enklawy”. Lewica przypomina także jego słowa o „pa-



FPÖ

W powyborczej euforii Herbert Kickl (w środku) mówił o „nowym rozdziale” w historii Austrii

FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Naddunajska twierdza FPÖ

Ten wynik otwiera nam drzwi do nowej ery – skomentował zwycięstwo swojej partii Herbert Kickl, przewodniczący FPÖ. W powyborczej euforii Kickl mówił jeszcze o „nowym rozdziale” w historii Austrii i podkreślał, że będzie dla Austriaków „ludowym kanclerzem” („Volkskanzler”). To ostatnie określenie przeraża austriackich lewicowców, którzy oskarżają Kickla o brunatne zapędy.

FPÖ obiecała swoim wyborcom zbudowanie „Fortecy Austria”, czyli państwa ostro broniącego się przed nielegalną imigracją i powstrzymującego niekorzystne dla siebie zarządzania wielkich światowych organizacji, jak choćby WHO. Ale zwycięstwo w wyborach nie przekłada się automatycznie na pewność rządzenia. Aby zacząć budować swoją „Fortecę Austria”, FPÖ (zdobyła 29 proc. głosów) potrzebuje koalicjanta. Drugie miejsce na podium zajęła Austriacka Partia Ludowa (ÖVP), która zdobyła



Piotr Włoczyk

Wolnościowa Partia Austrii (FPÖ) wygrała wybory parlamentarne, obiecując ukrócenie imigracji, remigrację i rozliczenie polityki covidowych lockdownów. W Austrii „kordon sanitarny” wokół partii oskarżanej przez lewicę o brunatne zapędy jest mniej szczelny niż w innych państwach UE i niewykluczone, że jej program będzie realizowany

26 proc. głosów, a trzecia była austriacka socjaldemokracja z wynikiem 21 proc. Poza podium, z jednocyfrowym wynikiem, znaleźli się liberałowie i Zieloni. Wszystkie te partie, poza ÖVP, solennie zadeklarowały, że pod żadnych pozorem nie będą wchodziły w koalicję ze skrajną prawicą. Klaus Seltenheim z socjaldemokracji powiedział podczas wieczoru wyborczego, że zwycięstwo partii Kickla to „czarny dzień dla demokracji”.

Jedynie ÖVP zasygnalizowała, że możliwy jest z jej strony rządowy mariaż z FPÖ, ale kanclerz Karl Nehammer (będący równocześnie przewodniczącym ÖVP) postawił tu twardy warunek: nie ma mowy, żeby do rządu wszedł Herbert Kickl. Nehammer uważa go za zbyt skrajnego polityka, by mógł sprawować funkcję ministerialną, nie mówiąc już o przewodzeniu rządowi (choć Kickl pełnił już w latach 2017–2019 funkcję szefa MSW w pierw-

szym rządzie Sebastiana Kurza, poprzednika Nehammera na fotelu przewodniczącego ÖVP). Nehammer zadeklarował, że „niemożliwością jest zbudowanie rządu z kimś, kto uwielbia teorie spiskowe” (kanclerz miał tu zapewne na myśli komentarze Kickla na temat pandemii oraz tzw. wielkiej wymiany – przekonania, że biali mają zostać „wymienieni” w swoich społeczeństwach przez imigrantów).

Przewodniczący FPÖ na razie stanowczo protestuje wobec takiego stawiania sprawy i zapowiada, że „nie rozplynie się w powietrzu”. Swoją drogą Kickl miał nadzieję, że po przegranych wyborach Nehammer zostanie pozbawiony funkcji przewodniczącego ÖVP i tym samym zniknie czynnik blokujący jego wejście do rządu. Tak się jednak nie stało i dwa dni po wyborach Nehammer uzyskał w partii wotum zaufania.

Austrię czekają teraz rozmowy na szczycie, które zainicjował prezydent Alexander van der Bellen (wywodzący się z Zielonych). W grę wciąż wchodzi różne scenariusze koalicyjne. Poza mariażem FPÖ-ÖVP pod uwagę brana jest też współpraca tej ostatniej partii z socjaldemokracją, choć różnice programowe są tu bardzo duże.

Głowa państwa sygnalizuje, że zwycięzca wyborów nie powinien raczej wejść do koalicji rządzącej. Van der Bellen powiedział, że przyszły rząd musi respektować prawa podstawowe, takie jak prawa mniejszości, niezależność mediów oraz członkostwo w Unii Europejskiej – a przecież austriacka lewica uważa, że w każdym z tych tematów FPÖ ma antydemokratyczne pomysły.

„Kickl chce ustawić Austrię przeciwko UE, NATO i ogólnie przeciwko Zachodowi oraz szukać powiązań z Rosją Putina. Pragnie utworzyć łańcuch »fortec« Europy Środkowo-Wschodniej z udziałem Węgier, Słowacji, Austrii, być może także Czech, który odgrywać miałby rolę organizacji gwarantującej wpływy Rosji na Europę” – komentował tuż przed wyborami austriacki dziennik „Der Standard”.

IMIGRACYJNE I PANDEMICZNE PALIWO

To zwycięstwo właściwie nie miało prawa się zdarzyć. Przeciwnicy FPÖ już przecież świętowali złożenie znienawidzonej partii do politycznego grobu, gdy w 2019 r.

wybuchł w Austrii wielki skandal nazwany w zagranicznych mediach Ibiza-gate. Ujawnione wówczas nagranie pokazało Austriakom, jak Heinz-Christian Strache – ówczesny wicekanclerz Austrii i przewodniczący FPÖ – rozmawiał w 2017 r. z kobietą podającą się za siostrzenicę rosyjskiego oligarchy m.in. o szemranych sposobach na wsparcie jego partii. W rezultacie tych rewelacji rozleciała się koalicja FPÖ i ÖVP, a także doszło do przedterminowych wyborów (w ich wyniku powstała koalicja chadeków z Zielonymi).

Od 2019 r. bardzo wiele się jednak zmieniło. FPÖ wymieniła kierownictwo, Austria przeżyła bardzo restrykcyjne lockdowny, którym ostro sprzeciwiała się ta partia, coraz wyraźniej zaczęły też dawać o sobie znać efekty nielegalnej migracji – retoryka „Fortecy Austrii”, na czele z remigracją, czyli odesłaniem części migrantów do ich ojczyzn, spodobała się nowym wyborcom – ale swoje zrobili również problemy gospodarcze, z którymi nie daje sobie rady rząd w Wiedniu.

W przeciwieństwie do Niemiec, gdzie właściwie cała klasa polityczna mówi o konieczności tworzenia „kordonu sanitarnego” wokół AfD, w Austrii FPÖ nie jest postrzegana w tak czarno-białych barwach. Partia ta od lat 80. wchodziła już bowiem trzy razy do rządu, przez co kolejna koalicja nie byłaby czymś niewyobrażalnym. „To Sebastian Kurz sprawił, że skrajna prawica stała się społecznie akceptowalna” – powiedział Reinhold Mitterlehner, austriacki chadek, który w latach 2014–2017 pełnił funkcję wicekanclerza i szefa ÖVP.

Faktem jednak jest, że obecność FPÖ w rządzie bywała dla Austrii sporym problemem pod kątem relacji zagranicznych. Do historii przeszedł jedyny tego rodzaju bojkot w UE. W 2000 r. państwa unijne zamroziły współpracę z Austrią, ponieważ do chadeckiego rządu Wolfganga Schüssela weszli politycy FPÖ. Nie pomogła tu nawet rezygnacja Jörga Haidera z funkcji przewodniczącego partii. Jak tłumaczył to ówczesny premier Portugalii, która sprawowała wówczas prezydencję: „Problemem nie jest Jörg Haider, ale to, co ta partia prezentuje sobą”. Wypominano wówczas, że wśród założycieli FPÖ byli w latach 50. ludzie, którzy jeszcze kilka lat wcześniej służyli w SS, ale w mediach podkreślano też fatalnie brzmiące cytaty z wypowiedzi samego Haidera. Przykłado-

wo w 1990 r. powiedział on na spotkaniu weteranów drugiej wojny światowej: „Nasi żołnierze nie byli kryminalistami, w najgorszym wypadku byli ofiarami”, a pięć lat później stwierdził w telewizji: „Waffen-SS było częścią Wehrmachtu, więc należy jej się w życiu publicznym honor i respekt przysługujący armii”. Heider wychwalał też program gospodarczy Hitlera.

W CIENIU KREMLA

Obecnie oskarżenia o sentyment wobec III Rzeszy słychać już wobec polityków FPÖ dużo rzadziej, ale zamiast tego partia krytykowana jest bardzo ostro za stosunek do Rosji. Wolnościowa Partia Austrii wzywa do zniesienia sankcji nałożonych na Moskwę, jej politycy nie krytykują Putina za najeżenie sąsiada, a w 2016 r., dwa lata po aneksji Krymu i oderwaniu od Ukrainy Doniecka i Ługańska, FPÖ podpisała z putinowską Jedną Rosją umowę o współpracy. Z kolei w 2018 r. głośno było w mediach o ślubie ówczesnej austriackiej minister spraw zagranicznych Karin Kneissl, która zaprosiła na uroczystość prezydenta Rosji. Zdjęcia pokazujące ją tańczącą z Putinem to dla krytyków FPÖ jeden z najlepszych dowodów na prorosyjskość tej partii. Swoją drogą również zachodni partnerzy Austrii widzieli ten problem i gdy w latach 2017–2019 FPÖ wchodziła w skład rządu Kurza, zagraniczne instytucje wywiadowcze współpracujące z Wiedniem w mniejszym lub większym stopniu odcięły Austriaków od wrażliwych informacji.

Natomiast sama Karin Kneissl wyszła doskonale (pod względem finansowym) na dobrych relacjach z Władimirem Putinem. Rok przed pełnoskalową inwazją na Ukrainę Kneissl została powołana w skład rady dyrektorów koncernu Rosneft, a od zeszłego roku kieruje petersburskim think tankiem Gorki.

Trzeba jednak przyznać, że reszta austriackiej klasy politycznej również nie należy do największych antyrosyjskich „jastrzębi” w Europie. Na początku tego roku okazało się, że Austria (współrazdzona przez Zielonych!) prawie cały potrzebny jej gaz ziemny sprowadza z Rosji (żeby było ciekawiej – za pomocą gazociągu biegnącego m.in. przez terytorium Ukrainy), więc na tym tle prorosyjskie sympatie FPÖ nie wyglądają aż tak bardzo szokująco. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Relacje Kijów – Warszawa były „najlepsze w historii”, kiedy były jednostronne. Dopóki Polska bezinteresownie pomagała Ukrainie, dopóty Wołodymyr Zełenski klepał Andrzeja Dudę po plecach. A gdy tylko rząd Zjednoczonej Prawicy nieśmiało próbował realizować polskie interesy, nietożsame albo sprzeczne z interesami południowo-wschodnich partnerów, „miodowy miesiąc” skończył się z hukiem. W sprawie Wołynia i Przewodowa Warszawa poddała się bez walki, przyjmując narrację Kijowa. Gdy zaś w sprawie zboża – pod presją rolników, a więc nie za bardzo mając inne wyjście – wykazała się asertywnością, Zełenski oskarżył Polskę o sprzyjanie Rosji i zaczął grać na wymianę władz nad Wisłą. Miał w tej grze sojuszników w Berlinie czy Brukseli, którzy również chcieli pozbyć się PiS. Niemal wszyscy ważni gracze nad Dnieprem czekali z niecierpliwością, aż przyjedzie Tusk na białym koniu, przegoni niepopularnych PiS-owców i między Kijowem a Warszawą znów zapanuje polityka miłości. A dokładniej – nieodwzajemnionej i bezinteresownej miłości Polski do sąsiada.

ZAŚLEPIENI TUSKIEM

Ta wiara wynikała z kilku czynników. Po pierwsze, z przekonania, że Tusk jako „europejski prymus” użyje swoich kontaktów, by załatwić Ukrainie zaproszenie do UE, NATO oraz pomoc finansową czy militarną. Po drugie, ukraińskie elity intelektualne i polityczne są zapatrzone w lewicowo-liberalny Zachód. Zarazem te same elity łączą sympatie prounijne z przekonaniami nacjonalistycznymi. W związku z tym nie chcą ustępować w kwestiach związanych z kultem OUN, UPA czy z pamięcią o rzezi wołyńskiej. I dlatego, po trzecie, liczyli na to, że liberał Tusk będzie ignorować prawicowy polski elektorat.

Rok temu Zełenski praktycznie przestał rozmawiać z PiS, ale też nie okazywał szczególnego wsparcia PO, czekając na wynik wyborów. Było jednak jasne, za kogo trzyma kciuki. A już po wyborach, ale jeszcze przed objęciem władzy przez Tuska, dawał publicznie do zrozumienia, że niebawem znajdzie się polityczne rozwiązanie wzajemnych problemów. Nieliczni ukraińscy komentatorzy przestrzegali wówczas, że być może lider

Jak Ukraińcy zawiedli się na Tusku



Maciej Pieczyński

„Europejski prymus” Tusk jest trudniejszym przeciwnikiem niż jego poprzednicy

KO będzie musiał jednak oglądać się na polski interes.

Tuż przed objęciem władzy przez KO, w artykule „Kijów na wojnie handlowej z Polską” na łamach „Do Rzeczy” (nr 49/2023) pisałem, że moralny szantaż pod adresem Polski działał dopóty, dopóki rządził PiS. Lider KO podczas kampanii krytykował partię Kaczyńskiego za to, że nie broni interesów polskich rolników, a już po zwycięstwie wyborczym przekonywał do tejże obrony szefową KE. Tusk, ciesząc się poparciem Brukseli i Berlina, może sobie pozwolić na większą niż PiS asertywność wobec Kijowa. Szczególnie że Niemcy też są zmęczone roszczeniową postawą Zełenskiego.

A jednak na Ukrainie nie wszyscy to dostrzegali. Tuż po wyborach parlamentarnych Witalij Portnykow stwierdził, że po latach rządów PiS „Polskę trzeba wyleczyć”, i wyraził nadzieję, że uzdrowi ją Tusk, przywracając jej należną pozycję lidera Europy Środkowo-Wschodniej. Liberalny publicysta twierdził, że partia Kaczyńskiego zawsze była antyeuropejska i antyukraińska i tylko na chwilę, pod presją inwazji rosyjskiej, zmieniła postawę i pomogła sąsiadowi. Wprowadzone przez PiS embargo na zboże nazwał „łamaniem prawa unijnego”. Gdy okazało się, że Tusk nie odwołuje embargo, niektórzy tamtejsi „ekspertci od prawa unijnego” nabrali wody w usta.

Po wyborach polscy kierownicy blokowali ukraińską granicę. Choć rządził jeszcze PiS, to chcieli rozmawiać z szykującą się do przejęcia władzy PO. Brzmi

logicznie? Nie dla niektórych ukraińskich komentatorów. Publicysta (a zarazem polityk partii Poroszenki) Mykoła Kniażycki stwierdził wtedy, że działający na rzecz Kremla kierowcy mieli niecną plan. Chcieli, aby Tusk był zmuszony zacząć swoje rządy od rozmów z antyukraińskimi środowiskami zamiast od pomagania Ukrainie. PiS nie rozwiązywał problemu granicy, żeby zrzucić tę odpowiedzialność na lidera PO, który jest „jednym z największych autorytetów europejskiej polityki”.

Zaślepienie Tuskiem ze strony ukraińskich liberałów przypomina również naiwne zaślepienie Zełenskim ze strony polskich liberałów. Ci ostatni jednak zaczęli się z tego leczyć, gdy tylko doszli do władzy. Z jednej strony nowy rząd odblokowywał granicę, żeby pomoc docierała na Ukrainę. Z drugiej – negocjował z protestującymi i w wielu miejscach im ustąpił. Z trzeciej – embargo na zboże nie odwołał. Z czwartej – gdy pod koniec lutego premier Denys Szmyhał pojechał na granicę w towarzystwie urzędników i gniewnym tonem wezwał Tuska na spotkanie, ten pohukiwania ukraińskiego odpowiednika zignorował.

Rocznica Wołynia minęła w ciszy. Tusk nie zmusił Zełenskiego do żadnego gestu, ale też sam nie powtórzył błędów Dudy, który przy okazji poprzedniej rocznicy przyznał rację Ukraińcom w sprawie oceny historii. Z kolei Radosław Sikorski przez długi czas zdawał się odgrywać podwójną rolę – szefa polskiej i ukraińskiej dyplomacji, skupiając się głównie na efektywnych starciach słownych z przedsta-

wicielami Rosji na forum międzynarodowym (czasem w obronie dobrego imienia Polski, częściej jednak – dobrego imienia Ukrainy). Dość łagodnie (i po czasie) zareagował też na skandaliczną wypowiedź Kułeby podczas Campusu Polska.

Jedno się nie zmieniło – nadal w sprawach bezpieczeństwa twardo stoi po stronie Kijowa, choćby domagając się, by Ukraińcom pozwolono na użycie broni dalekiego zasięgu na terenie Rosji. Ale w sprawie Wołynia zaczął z Ukraińcami rozmawiać twardo. Dowodem szeroko opisywana scysja z Zełenskim podczas spotkania w Kijowie. Gdy Zełenski narzekał na brak wsparcia ze strony Polski w staraniach o ukończenie negocjacji akcesyjnych do UE w przyszłym roku, Sikorski ripostował, że to nierealny termin. Ukraiński prezydent domagał się też zestrzeliwania przez Polskę rosyjskich rakiet nad Ukrainą i zwiększenia dostaw broni. Co do pierwszego, Sikorski argumentował, że potrzebna jest zgoda NATO, co do drugiego – że Warszawa odda miği, ale tylko wtedy, gdy w zamian dostanie nowszy sprzęt z Zachodu. Co najważniejsze, punktem spornym w czasie rozmów była kwestia Wołynia. Zełenski oskarżył Polskę, że wykorzystuje ten temat wyłącznie w celach polityki wewnętrznej. Sikorski ripostował, że Kijów powinien odblokować ekshumacje w ramach chrześcijańskiego gestu.

Możliwe, że Zełenski nie docenił nowego szefa polskiego MSZ. Sikorski ma wiele wad – jest zadufany w sobie, często za dużo mówi i ma temperament raczej publicysty niż dyplomaty. Ale ma też to, czego brakowało jego poprzednikom z PiS (może poza Waszczykowskiem) – silny charakter. Możliwe, że jego nagły przypływ asertywności jest po części osobistą reakcją na aroganckie zachowanie Zełenskiego. Tak czy inaczej, w ostatnich tygodniach sprawa ekshumacji na Wołyniu stała się w zasadzie jedynym bezkompromisowo podnoszonym postulatem polskiego MSZ w relacjach z Kijowem. Wiceszef resortu dyplomacji Władysław Teofil Bartoszewski poinformował, że Polska poruszy tę kwestię na samym początku rozmów o wejściu Ukrainy do UE. Według doniesień Onetu, zauważonych również nad Dnieprem, polska dyplomacja chce wykorzystać nadchodzącą półroczną prezydencję w UE, by kupić

ukraińskie ustępstwa w zamian za pomoc w przyspieszeniu negocjacji akcesyjnych.

A przecież to tylko kontynuacja poprzednich wypowiedzi przedstawicieli rządu. Wcześniej wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz stwierdził, że Ukraina nie powinna wejść do UE, jeśli nie rozwiąże sprawy Wołynia. Prezydent Duda nazwał takie postawienie sprawy „gorszącym szantażem”, tym samym po raz kolejny potwierdzając, że po 24 lutego 2022 r. chętniej broni ukraińskiego niż polskiego interesu narodowego.

O ile PSL zawsze był pryncypialny w kwestii Wołynia, o tyle można powiedzieć, że paradoksalnie PiS i KO w pewnym sensie zamieniły się rolami.

**Władysław Kosiniak-Kamysz
stwierdził, że Ukraina
nie powinna wejść do UE, jeśli
nie rozwiąże sprawy Wołynia**

Choć, podobnie jak swego czasu Polacy zapatrzeni w Zełenskiego, tak dziś niektórzy Ukraińcy zapatrzeni w Tuska próbują sobie tłumaczyć, że „car jest dobry, ale bojarzy źli”. Nawet przedstawiciele władz w Kijowie są przekonani, że nagłe zaostrenie retoryki ze strony Sikorskiego związane jest z jego nadzieją na start w wyborach prezydenckich. Pisz o tym Jurij Pancerenko z „Europejskiej Prawdy”. Ukraińskie elity wszelkie przejawy polskiej asertywności przypisują partykularnym politycznym intencjom, rzekomo sprzecznym z prawdziwym interesem narodowym Polski. Pancerenko, który z reguły w sporach polsko-ukraińskich stoi po stronie Kijowa, z tymi akurat głosami polemizuje. Przekonuje swoich rodaków, że gdyby Sikorski zaczął działać wbrew linii rządu, nie miałby szans na poparcie Platformy w wyborach. A zatem za „asertywnym zwrotem musi stać sam Donald Tusk.

Na rzecz tej tezy, co również zauważa Pancerenko, przemawia wspomniany news Onetu o tym, że Polska zamierza wykorzystać półroczne przewodniczenie w Radzie UE, które rozpocznie w styczniu 2025 r., do zwiększonych nacisków na Kijów. Sikorski jakoby namawiał Zełenskiego, aby uregulował kwestię ekshumacji z Polską już teraz, bo w ten

sposób zapłaci za to mniejszą cenę niż podczas negocjacji akcesyjnych. To jednak do Zełenskiego nie dotarło.

Jak słusznie zauważa Pancerenko, o ile jeszcze w ubiegłym roku o „niewdzięczności Ukraińców” mówili jedynie politycy Konfederacji, a po przegranych wyborach tę retorykę częściowo przejął PiS, o tyle w tym roku podobne tezy zyskały poparcie również wśród zwolenników nowej władzy. A dla Tuska, jak wiadomo, sondaże często są ważniejsze niż poglądy. Te ostatnie chętnie zmienia pod wpływem tych pierwszych. Zwrot w polityce rządu jest więc efektem nie tyle wzmocnienia patriotycznego, ile zmiany nastrojów społecznych, a także – zapewne – rosnącego zmęczenia wojną na Zachodzie. W ciągu pierwszego roku nowej władzy nad Wisłą część ukraińskich publicystów zdążyła się rozczarować Tuskiem. Portnykow zarzuca mu schizofreniczne podejście (bo deklaruje pomoc Ukraińcom, jednocześnie blokując zboże). Książyci oskarża Polskę o prowadzenie wojny handlowej z Ukrainą. Zarazem wielu komentatorów podkreśla, że poza wszystkim rząd Platformy będzie dalej wspierał Kijów w wojnie z Rosją.

Pancerenko podkreśla, że na razie jedynym warunkiem, stawianym przez Polskę, jest odblokowanie ekshumacji. Jego zdaniem jest to wyważanie otwartych drzwi, bo taką decyzję Kijów może podjąć od ręki (ale tylko wtedy, gdy Warszawa odnowi tablicę poświęconą upowcom w Monasterzu na Podkarpaciu). A skoro tak, to z pewnością kwestia wołyńska jest dopiero początkiem żądań ze strony polskiej, których – według Pancerenki – Ukraina nie powinna spełniać, bo to tylko ośmieli Polaków do dalszych nacisków. Oby ukraiński publicysta miał rację. Ekshumacje ofiar ludobójstwa wołyńskiego to sprawa niezwykle ważna, ale w relacjach z Ukrainą trzeba negocjować też kwestie bardziej przyziemne, przede wszystkim związane z gospodarką.

W kwestii pamięci o Wołyniu, zapewne pod naciskiem Warszawy, pojawiło się w ubiegłym tygodniu światółko w tunelu. Ukraiński IPN zgodził się na prace poszukiwawcze w obwodzie rówieńskim. To jednak nie oznacza zniesienia blokady, tylko pojedynczą zgodę. Po odnalezieniu szczątków trzeba będzie się jeszcze doprosić zgody na ekshumację, która już taka oczywista nie jest.

Angola – bliskie spotkanie drugiego stopnia



Ryszard Czarnecki
z Angoli

Angola jest w kieszeni Chińczyków. W tym przypadku geopolityczny mecz Moskwa – Waszyngton nie ma wiele do rzeczy

Bylem właśnie w Angoli ponownie po kilkunastu latach. Ta portugalska kolonia się zmienia – tak jak zmienia się cała Afryka. To znaczy są pewne rzeczy niezmiennie, jak wielka korupcja i olbrzymie kontrasty społeczne, większe niż w Europie. Ale Angola oraz

jej bliźni i dalsi sąsiedzi na tym wciąż najbiedniejszym kontynencie świata są w gospodarczej windzie, która jedzie w górę. To proste: to, co dla wielu było przekleństwem Afryki, czyli gigantyczny, niekontrolowany wzrost demograficzny, który miał rzekomo wpędzać Murzynów

w biedę, ewidentnie wymusza wzrost gospodarczy. Zasada, że coraz większy popyt generuje coraz większą podaż, tu sprawdza się spektakularnie.

NAJDROŻSZE MIASTO ŚWIATA

Gdy przyjeżdżałem do Angoli po raz pierwszy na początku zeszłej dekady, przestrzegano mnie, że stolica kraju jest niebezpieczna i żeby, Boże broń, nigdzie nie chodził sam. A ja, jak to ja, chodziłem oczywiście samopas, choć przyznaję, że w ciągu dnia. I nic złego mi się nigdy nie stało. Teraz było to samo. W oficjalnych instrukcjach administracja Parlamentu Europejskiego przestrzegała członków

Luanda – stolica Angoli FOT. ADOBE STOCK



Na angolskiej prowincji miarą bogactwa jest liczba dzieci. Czyż to nie lekcja mądrości, którą można zabrać do starzejącej się w szybkim tempie Europy?

Populacja Angoli zbliżona jest do naszej, bo jeszcze niedawno wynosiła 36 mln obywateli. Na tym generalnie koniec podobieństw. Nam narzucano wpływy sowieckie (komunistyczne), oni sami się o to upominali, traktując to jako alternatywę dla zachodniego kolonializmu. No i my musimy ropę sprowadzać...

W Angoli jest tylko jedna pora roku. Największe opady deszczu są w lutym i marcu – wyjeżdżam stamtąd, zanim zacznie się to nieustające oberwanie chmury.

Ciekawe, że stąd do Europy emigruje zarobkowo bardzo niewiele osób. Jeżeli już Angolczycy szukają pracy, to w krajach Zatoki Perskiej i w Ameryce Łacińskiej.

W DEMOGRAFICZNEJ WINDZIE

Na kobietę przypada tutaj – jak słyszę od lokalsów – pięcioro dzieci! Nic dziwnego, że z obecnych niespełna 40 mln (2017 r. – dokładnie 36 mln mieszkańców) populacja kraju w 2050 r. ma wynieść już 70 mln! Ta demograficzna winda w górę nie powinna dziwić, bo na angolskiej prowincji miarą bogactwa jest liczba dzieci. Czyż to nie lekcja mądrości, którą można zabrać do starzejącej się w szybkim tempie Europy?

Popijając miejscowe piwo Cuca, które skądinąd jest własnością francuskiej Castel Group, dziwię się, że jego puszka jest... tańsza od butelki wody mineralnej. Myślę też, że w tym kraju hasło: „Chleba i igrzysk” traci myśzką. Bardziej adekwatne byłoby sformułowanie: „Piwa i igrzyski!”. To przecież w trakcie wojny domowej i zamieszek rozwożono tutaj, w Luandzie, ciężarówkami piwo w puszkach, aby potem rozdawać je za darmo, byleby tylko ludzie nie angażowali się w rozruchy.

Historycznie Angola to kolonia portugalska – do dzisiaj język Antonia Salazara

i Eusebia jest oficjalnym językiem tego państwa. Po uzyskaniu niepodległości w 1976 r. lewicowy (a właściwie prokomunistyczny) rząd w Luandzie oparł się na Związku Sowieckim i Kubie w walce z prozachodnią partyzantką, finansowaną w niemałej mierze przez Amerykanów. Po upadku ZSRS rosyjskie wpływy słabły, ale broń cały czas Angola kupuje z Rosji.

Teraz dzięki sprytniej grze USA pojawiła się nadzieja na niespodziewane odwrócenie sojuszu. Angolę wizytował szef amerykańskiej dyplomacji Antony Blinken, ale też wcześniej szef CIA William J. Burns. A miejscowy prezydent Joao Lourenco został zaszczycony audiencją w Białym Domu u prezydenta Josepha Robinette’a Bidena. W efekcie jest prawdopodobne, że Amerykanie sprzedadzą Angoli broń za 2 mld dol. To wejście Waszyngtonu „w szkodę” Moskwie w obszarze sprzedaży uzbrojenia wpisuje się w szerszą tendencję: Rosja przestała właśnie być największym eksporterem broni na globie, ustępując miejsce lidera... Francji.

W CHIŃSKIEJ KIESZENI

Geopolityka geopolityką, uzbrojenie uzbrojeniem, ale i tak Angola jest w kieszeni Chińczyków. W tym przypadku geopolityczny mecz Moskwa – Waszyngton nie ma wiele do rzeczy. Pekin „zaatakował” ekonomicznie Czarny Łąd dopiero w tym stuleciu. Gdy chodzi o Angolę, szczególnie aktywny zaczął być na początku poprzedniego dziesięciolecia po podjęciu odpowiednich... uchwał Komunistycznej Partii Chin. ChRL inwestowała, budowała i... zadłużała u siebie ten kraj. Pracowały tu dziesiątki tysięcy chińskich robotników, bo Państwo Środka na całym kontynencie afrykańskim przede wszystkim używa własnej siły roboczej, a nie zatrudnia tubylców.

Pod koniec zeszłej dekady Chińczycy, jak na rozkaz, wyjechali, zostawiając Angolę w swojej kieszeni oraz z niemałą, jak mówią miejscowi, liczbą dzieci z chińsko-angolskich związków.

Naszych rodaków jest tu niewielu. Przeważnie osoby duchowne i dyplomaci. Ale jedna z dwóch największych firm należy do Polaków – braci, którzy są tu już od trzech dekad. Jesteśmy zatem wszędzie...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

naszej delegacji, żeby uważać, bo Luanda – najdroższe miasto świata (sic!) w 2008 r. – generuje ryzyko dla białych (oczywiście sformułowanie „biali” nie padło, bo żyjemy w czasach politycznej poprawności). No i tym razem też jakoś nic mi się nie stało.

Skądinąd Luanda ma swój urok, bo to największe miasto Angoli położone jest nad Oceanem Atlantyckim i do życia jest dość znośne. Dziś angolska stolica oficjalnie (dane sprzed siedmiu lat) liczy nieco ponad 5 mln mieszkańców, choć miejscowi mówią o... 12.

Angola to kraj relatywnie bardzo bogaty dzięki ropie naftowej. Zresztą wydobywana jest ona także w pobliżu stolicy kraju.



PAPIEŻ ZBYT KONSERWATYWNY?

Franciszek podpadł Uniwersytetowi Katolickiemu w Louvain-la-Neuve w Belgii. Co zrobił? W przemówieniu powiedział, że „kobieta jest płodnym przyjęciem, troską, życiodajnym poświęceniem”. Po wizycie papieża uczelnia – która określa się jako „inkluzywna” i „zwalczająca seksualną przemoc” – wydała oświadczenie, w którym napisała, że nie zgadza się ze słowami głowy Kościoła. Podkreślono, że uniwersytet krytykuje „konserwatywne stanowisko papieża na temat roli kobiet w społeczeństwie”.

FOT. CIRIO/DE LUCA/REUTERS/FORUM

ROSJA MUSI PŁAĆ CIECIERZCĄ

Rosjanie mają na świecie kłopoty z płatnościami przez sankcje USA

wymierzone w przepływy finansowe związane z handlem. Czasem starają się to obejść. Podczas niedawnego Forum Handlu i Inwestycji Pakistanu i Rosji podpisano memorandum, w którym zgodzono się, że Rosjanie będą kupować od Pakistańczyków mandarynki, a za

ten towar płacić będą w naturze – czyli w ciecierzycy.

DO WIĘZIENIA PRZESZTUCZNĄ INTELIGENCJĘ

Pod koniec września w Rzymie zatrzymano 44-letniego robotnika z Rumunii. Wsadzono go do aresztu, bo podejrzewano go o spowodowanie dwóch napadów na sklepy. Jego alibi potwierdził m.in. pracodawca. Okazało się, że został zatrzymany przez to, iż algorytm sztucznej inteligencji, który przetwarzał nagrania z monitoringu, błędnie zidentyfikował właśnie jego jako sprawcę napadów.

OPONY DESZCZOWE NIE NA DESZCZ

Producent opon dla bolidów Formuły 1 – firma Pirelli – zaplanował

test nowego ogumienia. Chodziło o test opon na deszcz, które mają zostać wypuszczone na rynek w przyszłym roku. Testowanie zaplanowano na torze Magny-Cours. W bolidzie z nowym ogumieniem zasiadł Mick Schumacher. Niestety, test przerwano po zbyt małej liczbie okrążeń na wyciągnięcie wniosków. Powód? Obfite opady sprawiły, że tor był zbyt mokry.

PAPUGOWY BLACKOUT

Papugi zasiedliły argentyńskie miasto Hilario Ascasubi w pobliżu wschodniego wybrzeża Atlantyku. Jest ich już 5 tys. razy więcej niż mieszkańców. Ich wrzaski są dla ludzi utrapieniem tak samo jak ich odchody. Jednak papugi robią coś gorszego – bardzo często gryzą kable energetyczne i przerywają je, przez co wielu mieszkańców ma przerwy w zasilaniu energią. Próby odstraszania ptaków głośnymi dźwiękami się nie powiodły. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Zetki na cenzurowanym

Pracownicy z pokolenia Z, czyli urodzeni już po roku 1995, mieli zmienić zasady gry i wyznaczyć zupełnie nowe trendy na rynku pracy, pokazując szefom, że zatrudnieni nie są jedynie trybikami w maszynach, i wymuszając na menedżerach kolejne ustępstwa.

Branżowe portale rozpisywały się o pokoleniu, które staje się postrachem pracodawców, bo jego reprezentanci potrafią walczyć o swoje, cenią życie prywatne o wiele bardziej niż karierę zawodową, a w drodze do samorozwoju nie wahają się co kilka miesięcy

zmieniać pracodawców. A także brutalnie porzucać tych, którzy oczekują od nich nadgodzin czy konieczności mierzenia się ze stresem. To miał być koniec pracy widzianej jako trud i znój. Królować miały szczęście, przyjemność, elastyczne godziny pracy i... wysokie zarobki.

Menedżerowie skarżyli się na roszczeniowych, przewrażliwionych, a jednocześnie zbyt pewnych siebie reprezentantów najmłodszej generacji. Ekspertki przekonywali jednak, że to krzywdzące stereotypy, i radzili, by to starzy szefowie – znani z twardego stylu zarządzania – dostosowali się do młodych.

Finał tej historii można było przewidzieć. Z raportu Intelligent.com wynika, że w USA osoby należące do pokolenia Z coraz częściej są wyrzucane z pracy. Raport pokazuje, że już sześciu na dziesięciu pracodawców zwolniło kogoś z pokolenia Z, zatrudnionego jeszcze w tym roku. Niezadowolonych ze wszystkich lub z części pracowników z Gen Z jest 75 proc. szefów, którzy skarżą się na brak motywacji i profesjonalizmu, spóźnienia czy kiepskie umiejętności komunikacyjne. Jeden na siedmiu pracodawców w 2025 r. może zaś wstrzymać się z zatrudnianiem Zetek... ©©

Tomasz Sakiewicz wspólnie z zaproszonymi do studia ekspertami, dziennikarzami i politykami podsumowuje najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia. Zobaczmy także, jakie tematy zdominowały polskie media społecznościowe.



w każdą niedzielę

12:00

w Republice



 RepublikaTV  @RepublikaTV  Telewizja Republika  @RepublikaTV

W lipcu REPUBLIKA rozpoczęła nadawanie na ósmym multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej MUX-8 na kanale 51, dzięki czemu dociera już do 80% Polaków. Nadal można nas oglądać przez satelitę, w sieciach kablowych oraz w lokalnych multipleksach w Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku oraz w części woj. opolskiego i małopolskiego. REPUBLIKĘ obejrzyj na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika



SKANUJ KOD QR
**WSPIERAJ
DOM WOLNEGO
SŁOWA**

NEET i gniazdownicy



Jacek Przybylski

W Polsce przedstawiciele najbogatszego pokolenia ostatnich dekad mieszkają z rodzicami dużo dłużej niż ich rówieśnicy np. ze Skandynawii. Dlaczego tak jest i dlaczego na świecie rośnie moda na bycie „dobrowolnie bezczynny”?



Młodzi mieszkańcy krajów Unii Europejskiej w 2023 r. opuszczali dom rodzinny, mając średnio 26,3 roku – poinformował w swym najnowszym raporcie unijny urząd statystyczny (Eurostat). To minimalnie lepszy wynik niż rok wcześniej, gdy unijna średnia wyniosła 26,4 roku. Najszybciej rodzinne gniazdo opuszczali młodzi Finowie (średnio

w wieku 21,4), Szwedzi i Duńczycy (21,8) oraz Estończycy. Młodzi Polacy w ubiegłym roku wyprowadzali się na swoje średnio w wieku 27,1 roku. Wprawdzie wynik ten wydaje się niesamowicie wysoki, ale i tak jest lepszy niż o rok wcześniejszy (w 2023 r. średnio dorośli Polacy opuszczali rodzinny dom w wieku aż 28,9 roku). Z najnowszą średnią wieku gniazdowników Polska

znalazła się w zestawieniu Eurostatu mniej więcej pośrodku stawki. Jeszcze dłużej z rozpoczęciem samodzielnego dorosłego życia we własnych czterech kątach zwlekają m.in. Bułgarzy i Włosi (przedstawiciele obu tych nacji opuszczają rodzinne gniazdo, mając średnio aż 30 lat), Grecy (30,6), Słowacy (31) czy Chorwaci (31,8).

W POLSCE KREDYTY HIPOTECZNE NAJDROŻSZE W CAŁEJ UNII

W Polsce tzw. gniazdowników, czyli dorosłych, którzy mieszkają z rodzicami i nie założyli własnej rodziny, w ciągu ostatniej dekady przybyło bardzo wielu. Według danych Eurostatu w grupie wiekowej 25–34 lata odsetek ten jeszcze w 2013 r. wynosił 43,5 proc. W roku 2020 było to już 47,5 proc., a w 2022 r. w jednym lokum z rodzicami mieszkała już ponad połowa (dokładnie 51 proc.) dorosłych Polaków. Wzrost wyniósł więc aż 7,5 punktu procentowego.

Jeszcze bardziej na wyobraźnię działają dane polskiego Głównego Urzędu Statystycznego, według którego co trzecia osoba w Polsce w wieku 25–34 lata, czyli aż 1,7 mln młodych dorosłych Polaków (sic!), była gniazdownikiem. Mieszkają z rodzicami, chociaż większość z nich (63 proc.) jest aktywna zawodowo.

Gniazdownicy – wśród nich największy odsetek stanowią mężczyźni – tłumaczą, że wciąż mieszkają z rodzicami ze względu m.in. na wysoką inflację, która podwyższa koszty życia, szybko drożejące mieszkania, wysokie ceny najmu, a także dramatycznie drogie kredyty hipoteczne. Polska znalazła się w niechlubnej czołówce europejskich państw, w których ceny mieszkań wzrosły w zeszłym roku najbardziej w stosunku do roku poprzedniego. I to wcale nie koniec niechlubnych rekordów.

Z opublikowanego we wrześniu raportu „Property Index 2024” firmy Deloitte wynika, że nie tylko wzrost był najpotężniejszy, lecz także samo oprocentowanie kredytu hipotecznego było najwyższe wśród wszystkich krajów europejskich ujętych w zestawieniu. Średnie oprocentowanie tego kredytu wyniosło w Polsce aż 8,08 proc. Tańsze od polskich okazały się kredyty hipoteczne nawet w takich krajach jak

FOT. AUDREY STICK

Rumunia (średnie oprocentowanie w tym kraju wyniosło według Deloitte 7,70 proc.), Węgry (7,45 proc.) czy Serbia (6,76 proc.). Dla porównania: w Chorwacji średnie oprocentowanie wyniosło 3,26 proc., w Belgii 3,33 proc., w Hiszpanii 3,45 proc., w Portugalii 3,62 proc., we Francji 3,63 proc., na Słowacji 3,79 proc., a w Niemczech 4 proc.

„Rosnące stopy procentowe w Europie miały znaczący wpływ na rynki kredytów hipotecznych w 2023 r., sprawiając, że kredyty hipoteczne stały się mniej przystępne cenowo dla wielu potencjalnych nabywców. Dotyczy to zwłaszcza osób kupujących dom po raz pierwszy, które są mniej skłonne do zakupu domu ze względu na wyższe koszty” – zauważył w raporcie Cédric Van Meerbeeck, dyrektor do spraw analiz i wycen nieruchomości w Deloitte.

Dla tych polskich gniazdowników, którzy chcieliby wreszcie przenieść się na swoje, jest też jedna stosunkowo dobra wiadomość. Polska dużo lepiej wypada w rankingu krajów europej-

skich pod względem liczby rocznych pensji, które trzeba odłożyć, aby kupić wreszcie własne i wcale nieciasne – bo aż 70-metrowe – lokum.

W tym zestawieniu najgorzej mają Czesi (aby kupić takie mieszkanie, potrzebują aż 13,3 rocznej pensji). Polacy muszą zaoszczędzić 7,9 przeciętnej rocznej pensji brutto. Tymczasem Duńczycy, aby kupić 70-metrowe mieszkanie, potrzebują zaledwie 4,7 średniej rocznej pensji.

MIESZKANIA ZAWSZE BĘDĄ DROŻEĆ?

Deweloperzy przekonują, że ceny nieruchomości w Polsce rosną tak szybko, iż czekanie na uruchomienie obiecanego przez rządzącą koalicję kredytu „0 procent” może się okazać nieopłacalne. Tę opinię nieopatrzenie potwierdził ostatnio jeden z członków obecnego rządu. Wiceminister rozwoju i technologii Jacek Tomczak oznajmił w trakcie obrad sejmowej Komisji Infrastruktury, że „w długofalowej polityce mieszkaniowej Polacy inwestują

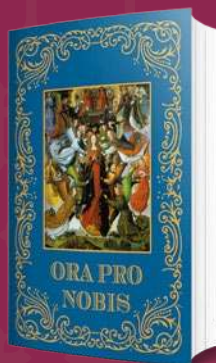
w mieszkania m.in. po to, żeby uciekać ze środkami przed inflacją [...]. Założenie jest takie, że nie tracą, czyli że ceny rosną”. Czyżby ktoś z rządu powiedział przed włączonymi kamerami, że w całym tym kredycie „0 procent” nie chodzi wcale o żadne wsparcie młodych, ale o to, że ceny mieszkań nadal mają rosnąć ku uciesze deweloperów, banków i tych wszystkich, którzy odpowiednio wcześniej zainwestowali oszczędności w nieruchomości? Mądrość ministra Tomczaka w Internecie napotkała wiele złośliwych komentarzy, np. ze strony osób, które sugerowały, że jak na każdej inwestycji również na zakupie mieszkań też można stracić.

A JEŚLI BAŃKA PĘKNIE...

Problem dla inwestorów – a jednocześnie szansa dla młodych, oszczędzających na własne mieszkanie – może się pojawić, gdy podaź mieszkań zacznie znacząco przewyższać popyt. Tak kończył już niejeden „wiecznie rosnący rynek”, co widać w wielu dużych krajach Europy, gdzie ceny nieruchomości

REKLAMA

ORA PRONOBIS.PL



Poznaj nową księgarnię katolickiej Tradycji www.orapronobis.pl

■ mocno spadają. Na takie ryzyko wskazuje bardzo duża liczba ofert mieszkań wystawionych na sprzedaż na polskich portalach. Również wstępne dane BIG DATA RynekPierwotny.pl pokazały, że we wrześniu po raz pierwszy w 2024 r. aż w pięciu z siedmiu metropolii średnia cena metra kwadratowego mieszkań w ofercie firm deweloperskich spadła lub utrzymała poziom z poprzedniego miesiąca.

Deweloperzy wprowadzają też wiele promocji, bo mają coraz większe problemy ze sprzedażą. Grupa Lokum Deweloper poinformowała w ubiegłym tygodniu, że w trzecim kwartale 2024 r. sprzedała zaledwie siedem lokali mieszkalnych, podczas gdy w trzecim kwartale 2023 r. ta sama grupa sprzedała 196 lokali.

MODA NA „ANI-ANI”

Wróćmy do gniazdowników. Przez ostatnie lata zwykło uważać się za nich tych młodych dorosłych, którzy ze względu na wysokie koszty życia, problemy ze znalezieniem zatrudnienia czy zakupu nieruchomości po prostu nie mogą się usamodzielniać. W ostatnim czasie pojawili się jednak również neogniazdownicy – to z kolei ci, których stać by było na wynajem lokum i przejście na całkowicie samodzielne życie, ale świadomie decydują się na pozostanie w rodzinnym gnieździe, bo to dla nich po prostu wygodne.

Wśród reprezentantów pokolenia Z i młodych millennialów widać jeszcze jeden trend. Na całym świecie rośnie odsetek młodych dorosłych, których anglojęzyczni socjologzy klasyfikują jako NEET (ang. not in employment, education or training). To młode osoby, którym nie chce się ani pracować, ani być na stażu, ani studiować, ani kształcić zawodowo. Według Międzynarodowej Organizacji Pracy w 2023 r. w skali globu NEET-si stanowili ok. jednej piątej osób w wieku od 15 do 24 lat.

W Europie największy odsetek „dobrowolnie bezczynnych” mają takie kraje jak Włochy, Grecja czy Chorwacja. Polscy specjaliści mówią o takich osobach jako o reprezentantach pokolenia „ani-ani”. Mimo wciąż świetnej dla szukających zatrudnienia sytuacji na rynku pracy (Polska jest drugim po Czechach

krajem w Unii Europejskiej o najniższym poziomie bezrobocia) szacuje się, że ok. 18 proc. Polaków w wieku 15–64 lata to tzw. NEET-si.

Nie chodzi tylko o tych młodych dorosłych, którzy dorastając na terenach popegeerowskich, nauczyli się żyć w całkowitej beznadziei i bez perspektyw na lepszą przyszłość. Z przeprowadzonych w krajach Unii Europejskiej badań Eurostatu wynika, że niektórzy NEET-si nie pracują ani się nie uczą, bo już niczego nie muszą (są młodymi emerytami). Inni są niepełnosprawni lub opiekują się wymagającymi opiekami rodzicami czy rodzeństwem. Duży odsetek tej grupy stanowią jednak młodzi dorośli, którzy nie mają żadnych przeszkód, aby pracować lub się uczyć, a którzy znaleźli się poza systemem z własnego wyboru. Nie pracują, dlatego że nie chcą się stresować, nie potrafią zdecydować, co właściwie chcieliby w życiu robić – więc na wszelki wypadek nie robią nic – lub dlatego że wolą mieć więcej czasu na uprawianie jogi, ulubione hobby, podróże, wizyty w do- brych restauracjach etc.

Skoro od najmłodszych lat rodzice zaspokajali wysokie apetyty konsumpcyjne młodych, to trudno się dziwić, że w wielu krajach NEET-si nie tylko nie pracują ani się nie uczą, lecz także nie robią absolutnie niczego, aby znaleźć dla siebie rozsądny pomysł na życie. Wielu przedstawicieli nowej mody nie uważa, że NEET jest czymś złym i próbuje promować taki styl życia jako nową subkulturę.

PRZYCHODY? GŁÓWNI OD RODZINY

Z raportu they.pl i Uniwersytetu SWPS wynika, że na pytanie „Skąd czerpiesz przychody?” (można było wybrać dwa główne źródła) aż 72 proc. zadeklarowało, że czerpie je od rodziny. 58 proc. respondentów wskazało, że źródłem ich przychodów jest praca, 12 proc. – stypendia, 7 proc. – alimenty, a 4 proc. wskazało na inwestycje.

A co robią z pieniędzmi, które dostają lub zarabiają? Tu co prawda bezapelacyjnie króluje odpowiedź: „Wydaję na rozrywkę”, ale trzeba przyznać, że odpowiedź: „Odkładam bez konkretnie ustalonego celu” miała 57 proc. wska-

zań, a odpowiedzi „Oszczędzam na cel długoterminowy/krótkoterminowy” zyskały po 26 proc. wskazań. Te Zetki, które chętnie sporo oszczędzają, wyciągnęły wnioski z życia swych rodziców i nie chcą stawać się niewolnikami z wielkim kredytem zaciągniętym na 40 lat.

Młodzi chętnie narzekają na zmieniające się warunki na rynku pracy, na złych szefów czy na to, że gdyby pracować, to... musieliby robić w pracy coś, czego nie lubią lub co nie daje im satysfakcji, lub co nie spełnia ich oczekiwań płacowych. A te oczekiwania nie są wcale byle jakie. Z raportu „Jakie są polskie Zetki?”, opublikowanego w tym roku przez Uniwersytet SWPS oraz They.pl, wynika, że dla 40 proc. reprezentantów z pokolenia Z „wysokie zarobki, pozwalające na spokojne życie” to pensja w wysokości ponad 7,5 tys. zł netto; 39 proc. Zetek wskazało, że wystarczy im 5 tys. zł netto, a 6 proc. dałoby radę nawet za 3,5 tys. zł netto, ale już 15 proc. respondentów uważa, że na spokojne życie pozwala dopiero kwota powyżej 10 tys. zł na rękę.

JAK DŁUGO MOŻNA PŁAĆ ZA NICNIEROBIENIE

Tak wysokie oczekiwania pokazują, że Zetki – wbrew temu, co czasem same myślą i mówią – są w znacząco lepszej sytuacji finansowej niż starsze pokolenia. Rodzice NEET-sów mogliby im co prawda opowiedzieć o tym, jak szukali pracy w czasach, gdy bezrobocie przekraczało 20 proc., a szef naprawdę miał 10 innych kandydatów na ich miejsce, ale reprezentanci pokolenia „ani-ani” – zwłaszcza ci, którzy żyją w tak zamożnym kraju Europy, jakim jest dzisiaj Polska – uznaliby to tylko za wspomnienia „leśnych dziadków” czy wręcz za mobbing.

Pytanie, co czują rodzice NEET-sów, gdy wciąż tylko oni muszą płacić za rachunki, i kto bardziej w tej sytuacji zasługuje na mentoring – ci, którzy nie robią, czy ci, którzy płacą dzieciom za nicnierobienie, nawet gdy już nie mają na to ochoty (włoskie media już wielokrotnie opisywały przypadki rodziców, którzy bezskutecznie nakazywali „40-letnim dzieciom” wyprowadzkę)...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGAKIEM

Śmietniki im.
Donalda Tuska

Jak wiadomo, rząd Donalda Tuska niemal natychmiast po ukonstytuowaniu się przystąpił do działania i wyszedł z jakże cenną inicjatywą dopomożenia naszym drogim unijnym sąsiadom z zachodu – Niemcom – w pozbywaniu się przez nich używanych aut na baterie.

Albowiem, jak wiadomo, taki coraz bardziej lewicy elektryk to dla jego właściciela właściwie głównie kłopoty. Ładowanie baterii trwa coraz dłużej i wystarcza na przejechanie coraz mniejszej liczby kilometrów, a poza tym zawsze taka bateria może być już mniej stabilna, czyli bezpieczna. Na łeb na szyję spada też wartość takiego auta, a i trzeba zacząć myśleć, jak by się go pozbyć, gdzie je zezłomować, dokąd zawieźć zużytą baterię i za ile ją tam umieścić, a najlepiej – komu jeszcze takie auto wcisnąć, a choćby za niewielkie pieniądze.

Dlatego propozycja rządu RP, którym zawiąduje premier Tusk, została przyjęta za Odrą z pomrukiem nieukrywanego zadowolenia. Bo też spadła Niemcom jak manna z nieba. Było to ze strony Polski prawdziwie braterskie, głęboko unijne w charakterze i treści, wyjście naprzeciw naprawdę wszystkim Niemców. I tak też zostało to tam przyjęte. A teraz, w oczekiwaniu na zaproponowane przez rząd Tuska wspieranie – i to silne wspieranie – za pieniądze polskich podatników sprzedawanych niemieckich

elektryków do Polski, które ma ruszyć niebawem, szacuje się, ileż to tego elektrycznego złomu może w najbliższym czasie zjechać nad Wisłę.

Szacuje się oczywiście po stronie niemieckiej, bo po polskiej – jak się wydaje – jak zwykle w takich przypadkach trwa niczym niezamącony stan najwyższego zadowolenia z siebie; z tego, że jesteśmy już tak fantastycznie i do szaleństwa europejsko unijni, że „za bezdurno” wspieramy już nie tylko uboższych od nas i cierpiących z powodu napaści Rosji Ukraińców, lecz także znacznie od nas bogatszych i cieszących się dużo pewniejszym od nas pokojem i większym spokojem Niemców.

Wszelako może jednak – choć szczerze w to wątpię – gdzieś na zapleczu rząd Tuska rozpoczął już jakieś prace studyjne, mające doprowadzić do znalezienia odpowiedzi na pytanie, gdzie to zamierza ulokować pierwsze śmietniki – śmietniki im. Donalda Tuska? – czyli składowiska zużytych akumulatorów po najpierw niemieckich elektrykach, a potem także polskich (bo i takich przecież, na szczęście powoli, przybywa). Gdzieś pod Warszawą, np. w sąsiedztwie „Górki Śmietnikowej” w Klądynie? A może jednak pod Poznaniem? Albo na Śląsku? Lub na Pomorzu?

Tak czy owak dobrze byłoby to szybko ustalić, żeby okoliczni mieszkańcy mieli czas odnieść się do próby podrzucenia im tej – całkiem dosłownie – bomby pod dom. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Tylko nauki **żał**

Afera wokół instytucji naukowych, zajmujących się innowacyjnością czy sztuczną inteligencją, a oddanych przez Donalda Tuska w zarząd Lewicy, ma potencjał dla władzy niszczącej. Może to być coś w rodzaju CPK w wersji 2.0. Co prawda, nie chodzi tutaj o jedno łatwe do pokazania przedsięwzięcie, ale za to o kwestie, które miały być przecież domeną uśmiechniętej władzy: innowacje, nowoczesność, brak kompleksów wobec zagranicy. To PiS miał celować w obskurantyzmie, podczas gdy nowa koalicja miała nas windować do światowego poziomu. Zbudowanie własnego systemu sztucznej inteligencji ma zresztą w sobie nie mniej atrakcyjności niż wizja CPK.

Alarmujących w sprawie naukowych sieci ich pracowników i przedstawicieli świata nauki trudno zarazem zakwalifikować jako nabydyczonych i sfrustrowanych pisiorów, którzy próbują ratować swoje posady albo uchronić się przed więzieniem. To ludzie z własną marką, zbudowaną na realnych dokonaniach, z tytułami w naukach ścisłych, rozchwytywani na międzynarodowym rynku pracy. Nie da się ich w prosty sposób zdyskredytować, szczególnie że większość z nich albo w ogóle nie deklarowała swoich politycznych zapatrywań, albo można ich zaliczyć raczej do sympatyków strony liberalnej.

Pan premier ma zatem problem, który może mu poważnie zaszkodzić w bardziej umiarkowanym elektoracie i przekroczyć granicę standardowego podziału politycznego – dokładnie tak jak to się stało z CPK. A to z kolei może być kłopotem dla kandydata KO w wyborach prezydenckich, którym może przecież być sam Tusk.

Przewodniczący PO może jednak także tę sytuację twórczo wykorzystać dla osiągnięcia jednego ze swoich naczelnych celów politycznych: pognębienia i zlikwidowania lewicy jako odrębnej formacji – może z wyjątkiem Razem, które wciąż stara się zachować jakąś suwerenność. Aczkolwiek najbardziej suwerenna w tej partii jest jej zawieszona posłanka, Paulina Matysiak.

Można sobie wyobrazić, że Donald Tusk ponownie się wścieknie i stwierdzi, że Lewica jako koalicjant nie sprostała trudnemu zadaniu. Może zażądać wymiany pana ministra Wierczorka na kogoś innego, co byłoby ostentacyjnym wkroczeniem na suwerenny teren koalicjanta. Dalszym ciągiem zaś będzie rezygnacja Lewicy z wystawiania własnego kandydata na prezydenta – co i tak wydaje się już w zasadzie przesądzone – i rozpuszczenie się w Koalicji Obywatelskiej.

Tylko polskiej nauki żał. ©©

**O IDEAS NCBR CZYTAJ TAKŻE
NA STR. 74**

Polska nauka tonie” – tweet o takiej treści pojawił się niedawno na profilu Polskiej Akademii Nauk na portalu X. Zmiana w IDEAS NCBR – którą eksperci ocenili jako niezrozumiałą i szkodliwą, domagając się jej uzasadnienia – tylko przelała czarę goryczy. Środowisko naukowe od miesięcy alarmuje, że w polskiej nauce źle się dzieje. Ale dotychczas apele te nie rezonowały aż tak bardzo. Teraz sytuacja jest inna. Dlaczego? Po pierwsze dlatego, że rzecz dotyczy nośnego tematu – sztucznej inteligencji, bo tym zajmuje się stworzone i do niedawna kierowane przez prof. Piotra Sankowskiego IDEAS NCBR. Po drugie dlatego, że kwestia IDEAS NCBR ma twarz konkretnego człowieka – cenionego naukowca, za którym murem stanęły naukowe autorytety nie tylko z Polski. Po trzecie, bo proces zmiany prezesa budzi wiele wątpliwości. Wreszcie dlatego, że sprawa IDEAS NCBR to politycznie drugie CPK. Kwestia godnościowa. Ośrodek zdobył renomę, do współpracy udało się ściągnąć wybitnych ekspertów, stał się instytucją, która dawała nadzieję na zatrzymanie najlepszych polskich specjalistów w dziedzinie AI w kraju i włączenie Polski do globalnego wyścigu w kluczowej obecnie technologii.

POLSKA W EKSTRAŁIDZE

IDEAS NCBR to ośrodek badawczo-rozwojowy (formalnie działający jako spółka z o. o.) zajmujący się sztuczną inteligencją, powołany w maju 2021 r. przy Narodowym Centrum Badań i Rozwoju. „Tworzymy innowacyjne rozwiązania w obszarze sztucznej inteligencji, które mają znaczenie dla biznesu, gospodarki i społeczeństwa. Kształcimy nowe pokolenie naukowców, ukierunkowanych na praktyczne zastosowanie opracowanych algorytmów oraz ich późniejszą komercjalizację” – czytamy na oficjalnej stronie IDEAS NCBR.

Profesor Piotr Sankowski to nie tylko prezes ośrodka, który kierował nim od samego początku, lecz także jego pomysłodawca i twórca. To przede wszystkim wybitny specjalista w dziedzinie AI. Informatyk, doktor habilitowany nauk matematycznych. Profesor nadzwyczajny Instytutu Informatyki Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego. Jedyne w Polsce naukowiec, który czterokrotnie otrzymał prestiżowy grant European Research Council. Uniwer-



Profesor Piotr Sankowski ma zostać liderem zupełnie nowego instytutu zajmującego się sztuczną inteligencją FOT. IDEAS NCBR

Polska nauka sp. z o.o.



Radosław Wojtas

Środowisko naukowe głośno zaprotestowało po zmianie prezesa IDEAS NCBR. Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego zarzucało ośrodkowi badawczo-rozwojowemu funkcjonującemu dopiero od trzech lat... przynoszenie strat finansowych. Ten pożar jakoś ugaszono, ale ogień tli się także w innych instytucjach naukowych

sytet Stanforda zaliczył go do grona 2 proc. najwybitniejszych naukowców świata.

– Jest to wybitny naukowiec, znany na świecie. Dzięki temu IDEAS NCBR odnosił duże korzyści. Polegające na przykład na tym, że łatwo nam było nawiązywać współpracy międzynarodowe. Profesor Sankowski nas uwiarygadniał, bo przecież jako młoda instytucja nie mogliśmy od samego początku pokazywać znaczącego dorobku – mówi w rozmowie „Do Rzeczy” dr hab. inż. Paweł Wawrzyński, lider zespołu badawczego „Uczenie w sterowaniu, grafach i sieciach” w IDEAS NCBR.

Podobne opinie wyrażają naukowcy spoza IDEAS NCBR. – Wychował wiele pokoleń wybitnych programistów. Ma szerokie kontakty na całym świecie. Ma fantastyczne osiągnięcia naukowe – powiedział w rozmowie z Kanalem Zero prof. Andrzej Dragan. – Jest to postać absolutnie wybitna. Jest gorącym orędownikiem czegoś bardzo

ważnego. Mianowicie stara się zainicjować taki prąd, żeby wybitni naukowcy, programiści, którzy wyjeżdżają za granicę, pracowali dla innych krajów, wracali albo zostawali w Polsce – dodaje prof. Dragan.

DZIWNĄ ZMIANĄ

Profesora Piotra Sankowskiego formalnie z funkcji nie odwołano. Jego kadencja wygasła w czerwcu br. Konkurs na obsadzenie wakatu ogłoszono dopiero w lipcu. Zaraz po wymianie trzech z sześciu członków rady nadzorczej, która wybiera prezesa IDEAS NCBR. Zgłosiło się dwóch kandydatów. Oprócz dotychczasowego szefa ośrodka do konkursu przystąpił dr hab. Grzegorz Borowik, doktor habilitowany nauk inżyniersko-technicznych w dyscyplinie informatyka techniczna i telekomunikacja.

Rozmowy z kandydatami przeprowadzono 17 września, a tydzień później rada

nadzorcza w tajnym głosowaniu wyłoniła nowego prezesa. Grzegorz Borowik rozpoczął swoją kadencję 1 października. Piotr Sankowski odszedł z IDEAS NCBR 2 października. Razem z nim rezygnację zaczęli składać członkowie rady naukowej instytutu. W tym jej przewodnicząca, prof. Marta Kwiatkowska, pierwsza kobieta profesor wydziału nauk komputerowych Uniwersytetu Oksfordzkiego, prof. Aleksander Mądry z MIT, członek zespołu technicznego OpenAI, prof. Wojciech Samek z Fraunhofer Heinrich Hertz Institute, Zofia Dzik z Instytutu Humanites. – Jedna osoba została w radzie naukowej, może dlatego, że jest na wczasach – stwierdził w RMF FM prof. Dariusz Jemielniak, wiceprezes Polskiej Akademii Nauk. Dodał, że przegrana naukowca z takim dossier jest dla środowiska zupełnie niezrozumiała.

Na biurka premiera Donalda Tuska i ministra nauki Dariusza Wieczorka trafił list 30 laureatów grantów European Research Council, którzy apelują o pilne wyjaśnienie, „dlaczego podjęto tak kontrowersyjną i niemerytoryczną decyzję”, oraz o podjęcie działań, by „w miarę możliwości odwrócić jej skutki”. List w formie petycji (podpisanej już przez ponad 1,5 tys. osób) do premiera przygotowali również badacze oraz entuzjaści (w tym przedsiębiorcy) AI w Polsce.

Co na to Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego? „Obrońców spółki z o.o. IDEAS NCBR zachęcam do chwili cierpliwości. W przyszłym tygodniu będą już dostępne wstępne dane z audytu w tej instytucji niepodlegającej normalnym zasadom ewaluacji naukowej. Wtedy porozmawiamy o konkretnych wydatkach i osiągnięciach. Może być ciekawie” – napisał 28 września na X Maciej Gdula. Resort Dariusza Wieczorka wskazał na kwestię finansową. „Spółka wykazała przychody 173 008 zł, wykazała koszty 28 981 973 zł, zamykając rok stratą 28 808 965 zł. Tym samym w wyniku działalności poprzedniej Rady Nadzorczej i Zarządu istnieje poważne zagrożenie dla dalszego funkcjonowania spółki” – napisano w komunikacie.

– Wieloletni plan działań zakładał, że spółka przynosi straty – odnosił się do zarzutów prof. Sankowski w Polsat News.

– U podstaw IDEAS NCBR leży założenie, że nasz wkład do polskiego PKB polega na tym, że rozwijamy koncepcje naukowe i kształcimy kadry, które następnie

tworzą start-upy i opracowują technologie w przedsiębiorstwach – mówi Paweł Wawrzyński. – Nawet w długim okresie to jest niemożliwe, żeby tego rodzaju jednostka zarabiała na siebie. Ona rzeczywiście może osiągać istotne przychody i w tę stronę zmierzaliśmy. Natomiast na pewno taka jednostka nie może osiągać dużych przychodów od razu – dodaje.

Profesor Sankowski wskazuje, że IDEAS NCBR działało w określonych ramach i realizowało założone plany. Każdego roku kierownictwu udzielano absolutorium, odbywały się kontrole. Ostatni audyt Narodowe Centrum Badań i Rozwoju przeprowadziło w maju bieżącego roku. Wyborcza.biz dotarła do dokumentu. Co wynika z opublikowanych fragmentów? Między innymi to, że 9 z 13 wskaźników wykonania celu (KPI) jeszcze nie zrealizowano (w tym komercjalizacji badań). Jednak trzeba tu wziąć pod uwagę dwa czynniki: błędne lub niedokładne założenia sformułowane na etapie powołania IDEAS oraz odległy okres realizacji KPI (w latach 2025 i 2028). „Mając powyższe na uwadze, należy wskazać, że zgodnie z przyjętymi założeniami, w odniesieniu do części KPI, ich realizacja mogła zostać wykazana w końcowym etapie horyzontu czasowego, natomiast powyższa analiza była przeprowadzona w jego połowie” – napisano w raporcie. Na drodze do realizacji celów stanęło także mniejsze niż zakładano finansowanie z NCBR – o 15 mln zł w 2023 r. i o 25 mln zł w 2024 r. Wskazano również, że od samego początku IDEAS miało być przekształcone ze spółki z ograniczoną odpowiedzialnością w instytut badawczy i rekomenduje się dokonanie takiej zmiany.

Niektóre cele – wskazuje audyt – zrealizowano na poziomie większym niż zakładano. W tym cel strategiczny „Pozycjonowanie IDEAS NCBR w Europejskim i Światowym ekosystemie SI/DFI”.

– Zmianę motywowaną tym, że IDEAS nie przynosi zysków interpretujemy w ten sposób, że wraz z nowym zarządem zmieni się koncepcja działania tego ośrodka na nakierowaną na przynoszenie zysku. Ale przynosić zysk możemy tylko wtedy, gdy będziemy wdrażali znane rozwiązania zamiast prowadzić ambitne badanie naukowe. Wynik takich badań nie jest z góry znany, więc ich poziom ryzyka jest zbyt wy-

soki z punktu widzenia prywatnych firm, które miałyby je finansować – mówi Paweł Wawrzyński.

Jeszcze w środę minister nauki Dariusz Wieczorek mówił na antenie Radia Zet: – Dziś o godz. 9 spotykam się z prof. Sankowskim. Wypowiedzenie można złożyć i wycofać. [...] Pan profesor dalej powinien koordynować pracami, ale już nie jako prezes.

W czwartek nastąpił zwrot w sprawie. Na wspólnej konferencji wystąpił minister nauki, wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski oraz prof. Piotr Sankowski. Ogłoszono powołanie nowego instytutu, na którego czele stanie prof. Sankowski. – Nic złego nie stanie się zespołom badawczym w spółce IDEAS. Wszystko, co profesor stworzył, nadal będzie funkcjonować – oznajmił Dariusz Wieczorek.

NIE TYLKO IDEAS NCBR

Sprawa IDEAS NCBR jest najgłośniejszym, ale nie jedynym w ostatnich miesiącach alarmem środowiska naukowego. Protesty wzbudził projekt nowelizacji ustawy o Polskiej Akademii Nauk opublikowany przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego 17 lipca 2024 r. W tekście popartym przez 84 członków PAN, 39 naukowców spoza PAN i cztery komitety naukowe napisano, że proponowane zmiany mogą ograniczyć autonomię instytucji. Naukowcy podkreślili, że Polska Akademia Nauk potrzebuje zmian. Nawet głębokich. Ale nie takich. „Mamy nadzieję, że projekt reformy PAN to tylko zaproszenie do dyskusji” – napisałi. 2 października na zstornie PAN opublikowano artykuł pod wiele mówiącym tytułem: „Z powodu zaniechań MNiSW pracownicy PAN nie mogą liczyć nawet na minimalne wynagrodzenie za pracę”.

W ubiegłym tygodniu dr Marcin Kotowski z Naukowej i Akademickiej Sieci Komputerowej NASK naświetlił sytuację w swojej instytucji. W 2023 r. utworzono tam naukową grupę poświęconą komputerom kwantowym. „Rychło ambicje naukowe poprzedniej ekipy zostają uznane za »mocarstwowe/niegospodarne« i przyszłość grupy »staje pod znakiem zapytania« – napisał w mediach społecznościowych dr Kotowski. – Ostatecznie grupa została definitywnie zamknięta w te wakacje i cały ten naukowy potencjał poszedł do śmieci”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



ŠKODA SCALA SELECTION 1.0 TSI 115 KM

Popularny hatchback rodem z Czech, z silnikiem 1.0, to kompaktowy miejski samochód, którego nie kupuje się dla prestiżu lub sportowych emocji, ale dlatego, że jest praktyczny, oszczędny, bezpieczny, rodzinny, zgrabnie wyglądający, a do tego całkiem przyjemny w prowadzeniu.

Do testów wzięliśmy Scalę już po liftingu, podczas którego Czesi nie tylko unowocześnili wygląd zewnętrzny auta (model ten wygląda już naprawdę ładnie), lecz także wykrzesali z trzy-cylindrowego silnika 1.0 TSI nieco więcej mocy (zamiast 110 to już 115 KM). Maksymalny moment obrotowy to 200 Nm. Skrzynia biegów: manualna sześciobiegowa.

Scala, czyli auto, które ma 4365 mm długości, 1988 mm szerokości (z lusterkami) i 1471 mm wysokości, od zera do setki przyspiesza w 9,5 s. Prędkość maksymalna to 202 km/h. Średnie spalanie podczas testu wahało się w przedziale 5,5–6 l/100 km. Zawieszenie jest międko zestrojone, co pozwala na komfortowe podróżowanie zarówno autostradami, jak i uliczkami pełnymi dziur czy „leżących policjantów”. Auto prowadzi się przyjemnie, choć trudno szukać w nim sportowych emocji. Zwłaszcza że przy wyższych prędkościach we wnętrzu robi się zdecydowanie zbyt głośno.

W kabinie miejsca z przodu jest wystarczająco dużo. Na tylnej kanapie przestrzeni jest zaś

więcej niż u wielu konkurentów z innych marek: wygodniej będzie więc tym, którzy zazwyczaj narzekają na poobijane głowy i kolana. Nieco gorzej jest z szerokością auta. Dwóch dużych osobników z tyłu zmieści się bez problemu. Jeśli jednak na długą podróż wyruszy w sumie pięcioro dorosłych osób, to lepiej, aby się lubili lub byli skłonni polubić, bo szerokość tylnej kanapy sprzyja szybkiej integracji. Materiały użyte do wykończenia wnętrza to głównie twarde plastiki. Styl wykończenia jest do bólu minimalistyczny i raczej prosty i praktyczny. Głównym elementem deski rozdzielczej jest ekran infotainment o przekątnej 8,25 cala. Fajnie, że Czesi zainstalowali w Scali aż cztery porty USB-C o mocy 45 W (przypadają one do ładowania smartfonów podczas jazdy). Czeski hatchback bez problemu współpracuje również z systemami Apple CarPlay i z Android Auto.

Na pochwałę zasługuje również ustawny i stosunkowo duży kufer, który ma 467 l pojemności. Po złożeniu tylnej kanapy pojemność bagażnika rośnie do 1410 l.

Cena Škody Scali po liftingu w najtańszej wersji wyposażenia zaczyna się od 87,2 tys. zł. Ten sam model w testowanej wersji Selection (z bezkluczkowym otwieraniem i automatyczną dwustrefową klimatyzacją) to wydatek co najmniej 94,1 tys. zł (z silnikiem 1.0 o mocy 95 KM) lub 101,3 tys. zł (z silnikiem 1.0 TSI o mocy 115 KM). Najdroższa opcja Monte Carlo kosztuje bez opcji 114,4 tys. zł. Cena testowego egzemplarza doposażonego w różne dodatki wynosiła 128,4 tys. zł. © ©

ROBOT SPRZĄTAJĄCY MOVA E30 ULTRA

Wysoka siła ssąca, skuteczne mopowanie za pomocą wirujących mopów, inteligentne funkcje ochrony dywanów, pojemna bateria, cicha praca i świetny stosunek ceny do możliwości – to największe zalety nowego robota odkurzającego-mopującego chińskiej marki Dreame.

Konkurencja w segmencie robotów sprzątających jest ogromna, więc Chińczycy pokazują już nie tylko, że umieją w innowacje i nowe technologie, lecz także udowadniają, że skuteczne roboty nie muszą kosztować równowartości miesięcznej pensji. Wzornictwo testowanego Dreame MOVA E30 Ultra jest minimalistyczne. Stacja dokująca (o wymiarach 34 x 46 x 59 cm) i robot (o wysokości 9,8 cm) są białego koloru, więc będą pasować zarówno do wnętrza w stylu skandynawskim, jak i do tych, których właściciele wolą „późne rokokoko”.

Uzbrojony w radar laserowy (LiDAR) i kamerę robot ma wysoką siłę ssącą (7000 Pa). Jest też wyposażony w technologię Carpet Boost, sam więc wie, kiedy należy sprzątać z maksymalną mocą. Dzięki temu świetnie radzi sobie z sierścią futrzaków, okruskami, mąką, kurzem etc. Dreame MOVA E30 Ultra jest też wyposażony w technologie efektywnego mopowania, przy jednoczesnej ochronie dywanów (tłumacząc z marketingowego na ludzki: jeśli robot uzbrojony w dwa obrotowe mopy, które czyszczą plamy, obracając się z wysoką

prędkością, najpierw natrafi na podłogę na plamę ketchupu, to gdy chwilę po jej zlikwidowaniu wjedzie na bielutki, biały dywanik, to grzecznie go posprząta, nie malując na nim jednocześnie czerwonego wzorka).

Bateria o pojemności 5200 mAh pozwala robotowi sprzątnąć naraz piętro dużego domu. Najważniejsze jest jednak to, że Dreame MOVA E30 Ultra nie zwraca użytkownikowi głowy. Nie wylewa wody z misek zwierzaków i nie zabiera zabawek dzieciom. Stacja dokująca może zbierać kurz przez kilkadziesiąt dni bez konieczności opróżniania worka (o pojemności 3,2 l). Stacja sama czyści też mopy i osusza je powietrzem, co zapobiega powstawaniu brzydkiego zapachu. Co prawda, samemu trzeba uzupełniać pojemnik na wodę czystą i opróżniać pojemnik na wodę brudną, ale da się z tym żyć. Robot sprawnie tworzy mapy pomieszczeń. Nie gubi się i nie woła, by go nosić. Sama obsługa jest zaś banalna – można nim sterować głosem lub za pomocą bezpłatnej aplikacji.

Minusem jest brak zbiornika na wodę w samym robocie. Urządzenie nie zawsze radzi sobie z identyfikowaniem białych kabli. W domach z dywanami z długim włosiem może się zaś okazać, że robot zbyt nisko unosi mopy (robi to na wysokość 10,5 mm), przez co istnieje ryzyko ubrudzenia. Można jednak kazać robotowi, aby zaczynał sprzątać od dywanów. Cena: 1999 zł. © ©



STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Pacowie w fosie pod Jasną Górą



JACEK KOMUDA

Obrona klasztoru jasnogórskiego przed Szwedami w 1655 r. jest jednym z najślawniejszych wydarzeń okresu potopu. Mało kto jednak wie o tym, że niespełna 10 lat później wydarzyła się tutaj kolejna bitwa, o której zgoła nie chciałoby się pamiętać. Była to bowiem część wojny domowej, rokoszu hetmana Jerzego Lubomirskiego, zakończona klęską armii litewskiej. Rozpoczęła się, kiedy znaczne siły rokoszan dowodzone przez Aleksandra Połubińskiego przepравиły się przez Wartę na wschód od klasztoru. Omijając Jasną Górę, zostały zaatakowane przez stojącą po stronie króla pięciotysięczną armię litewską, której przewodził Aleksander Połubiński. Z pomocą Polanowskiemu przybyły jednak pozostałe oddziały rokoszan – dowodzone

przez Stefana Piaseczyńskiego i Józefa Borka. W dodatku Litwini pomieszały szyki, co wprowadziło nieład na polu bitwy.

Na nic zdały się interwencja rajtarii królewskiej pod wodzą

Francuza Briona i dosyłane kolejne posiłki. Litwini zostali porażeni. Wojska królewskie rzuciły się do ucieczki, okrążając klasztor od wschodu. Nie miały jednak szczęścia, gdyż pod kościołem św. Barbary, na południu, mniej więcej u zbiegu ulic św. Augustyna i św. Barbary, zastąpił im drogę marszałek rokoszowy Ustrzycki na czele kolejnych oddziałów. Litwini zostali ostatecznie rozbici. Znaczna część chorągwi rzuciła się w stronę klasztoru, szukając schronienia w murach.

Tymczasem ojcowie paulini, przestraszeni bitwą, zamknęli



FOT. DOMENIA PUBLICZNA

bramy i nie wpuścili ani chorągwi litewskich, ani rokoszan. Zaczęli też strzelać z armat w powietrze, aby odstraszyć walczących. Ostatecznie większość spanikowanych Litwinów wpadła do fosy pod twierdzą. Dziś ta część fortyfikacji już nie istnieje.

Bitwa na szczęście nie okazała się krwawa. Padło ok. 300 trupów, natomiast znacznie więcej było jeńców i bez przesady można stwierdzić, że do fosy pod klasztor wpadła cała elita ówczesnego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Przede wszystkim znalazł się tam i został wyciągnięty Aleksander Hilary Połubiński, sławny pułkownik, który dowodził m.in. szarżą husarii w bitwie pod Warszawą w 1656 r. Wpadli tam uciekający: Aleksander Minor, rotmistrz lekkiej chorągwi, Francuzi: de Biis, pułkownik piechoty niemieckiej, i wspomniany Brion, dowódca rajtarii króla Jana Kazimierza, który przed bitwą chełpił się, że swoją szpadą odrąbie głowę Lubomirskiemu, a jeśli tego nie uczyni, to sam gotów się przebić. Jednak w czasie starcia

stchórzył i został schwytany przez Wolkera, towarzysza z chorągwi Aleksandra Piaseczyńskiego.

Co więcej, pod Częstochową pojmano aż trzech Paców, przedstawicieli litewskiego rodu, który wspierał Jana Kazimierza. Pierwszym był Konstanty Pac, chorąży nadworny litewski, drugim Mikołaj Stefan, ciwun szawelski, trzecim Krzysztof, syn Stefana nieboszczyka, dawnego podskarbiego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Z jeńcami tymi związała była zresztą anegdota, którą zapisał w pamiętnikach Jan Chryzostom Pasek, trzymający stronę króla, ale nie lubiący Litwinów. Przy ich prezentacji bowiem „winszując panu Lubomirskiemu, frant jeden, towarzysz Pustoszyński, tak mówi: Miłościwy dobrodzieju, więcej nam Pan Bóg daje nad to, niżeliśmy go prosili. Spyta Lubomirski: Jakże to? Odpowie ów: Prosiłiśmy zawsze: Da pacem, Domine! da pacem, Domine! (Daj nam pokój, Panie). My prosili o jednego, a Pan Bóg nam dał pięciu Paców. Bo między więźniami pięć samych Paców było, a wszystkich oficerów znacznych”.

Pasek jak zwykle przesadza. Jeńców ze znanego rodu było tylko trzech, jednak z żartu śmieli się nawet oni sami, gdyż Jerzy Sebastian Lubomirski zachował się po bitwie godnie. I podjął jeńców ucztą pod namiotem w Koziegłowach, miasteczku na południe od Częstochowy. Później uwolnił ich, a Połubińskiemu podarował nawet dwa rumaki, aby miał na czym wracać do króla.

Klęska pod Częstochową niewiele zmieniła w położeniu króla i Lubomirskiego. Rokosze nie wycofywali się, nie podejmując walki, a wojska króla ścigały ich zawzięcie. Dopiero za rok doszło do krwawej klęski pod Mątwami. Ale to już inna opowieść. ©

RYŚ: MART

I RZECZYPOSPOLITA

Jasna Góra



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Śliwkowy przysmak

W Muzeum Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, które mieści się w pięknym dworze w Kuklówce Radziejowickiej, odbywają się co jakiś czas bardzo interesujące spotkania.

Interesujące zarówno ze względu na tematy podczas nich poruszane, jak i na formę, która obowiązuje. Ostatnie spotkanie pod hasłem „Przyszła Jagna do dworu” wymagało od uczestniczących w nim pań – bo tylko panie mogą w spotkaniu brać udział – stosownego „ludowego” ubioru oraz przyniesienia czegoś słodkiego na wspólny stół.

W zamian mogłyśmy podziwiać występ prof. Marii Pomianowskiej, która zagrała na fidele płockiej oraz suce biłgorajskiej – zrekonstruowanych przez siebie dawnych instrumentach. Aby opowieść o dawnej wsi, chłopach i chłopkach była pełna, gospodyni – Ola Biniszewska – zaprosiła Emilię Krakowską. Aktorka ze swadą i z poczuciem humoru mówiła o filmie „Chłopi” i o roli Jagny.

Po części artystycznej przyszła pora na poczęstunek. Wśród smakolików i słodkości wystawionych na pięknym, starym stole przykrytym koronkowym obrusem naszą uwagę zwróciło ciasto ze śliwkami.

Ola Biniszewska zdradziła nam swój kresowy przepis, a my dzielimy się nim z wami.

CIASTO ZE ŚLIWKAMI

- 200 g mąki krupczatki
- 100 g zmielonych orzechów włoskich
- 120–150 g masła
- 200 g słodkiej śmietanki
- 100 g cukru, szczypta soli

Ciasto zagniatamy i wkładamy do lodówki na 30 min.

W tym czasie śliwki (jakiekolwiek) smażymy na maśle na patelni z niewielką ilością brązowego cukru (może być miód), cynamonu i zmielonego goździka. Kiedy śliwki puszczą pierwszy sok, zestawiamy z ognia.

Wyjmujemy ciasto z lodówki, wykładamy na formę i piecemy, aż lekko się zarumieni. W tym czasie bierzemy dwa jajka, 200 g słodkiej śmietanki, 50 g masła i sok ze śliwek z patelni. Wszystko w garnku podgrzewamy do zgęstnienia à la budyń. Na ciasto układamy śliwki, wylewamy śmietankę i znowu wkładamy do piekarnika. Piecemy, aż śmietanka lekko zbrązowieje. Gdy ciasto ostygnie, wkładamy do lodówki na pół godziny. ©

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Sztuka mięsa

W czasach, gdy mięsożerni schodzą do katakumb, film o mięsie i rzeźnikach wydaje się prowokacją. Mnie amerykański dokument „The whole animal” zainteresował, gdyż doszedłszy do jesieni życia, wciąż nie poznałam tajemnic rozbioru mięsa, a zawsze byłam tego ciekawa. A to zapowiadała czołówka filmu, na której widać podzieloną na kawałki świnię. Na rysunku, proszę się nie denerwować.

Długo żyłam w czasach, w których mięso dzieliło się na z kością i bez kości. Jako młoda gospodyni nie zastanawiałam się nad tym. Aż w pewnym momencie żona argentyńskiego dyplomaty na placówce w Warszawie podzieliła się ze mną swoim oburzeniem na nieczne traktowanie mięsa w Polsce. – Rąbią to byle jak, nie szanując wartości mięsa, co za barbarzyństwo – mówiła obywatelka kraju, którego godłem jest stek rozmiarów talerza. I poczęstowała mnie sezonowanym befsztykiem.

Minęło trochę czasu, butcher zastąpił rzeźnika, kilogram polędwicy wołowej kosztuje 150 zł. Ale 95 proc. obywateli kupuje mięso w supermarketach, nie mając pojęcia ani zainteresowania, skąd ono się bierze, gdzie hodowano zwierzę, czym je karmiono itp. Nie mają pojęcia, czym się różni rozbratel od antrykotu. Butcher jawi się jako fanaberia foodies i w istocie nią jest.

Kiedyś rzeźnik był w każdym miasteczku. Nie sklep mięsny, tylko rzeźnik. W Milanówku, gdzie się wychowałam, wszyscy znali sklep pana Antczaka. Można było do niego iść i poprosić o kawałek mięsa ze wskazaniem na przeznaczenie: sznycel, pieczeń, kotlety mielone, sztukę mięsa.

Jednak w pewnym momencie, gdy ostro zabrano się za prywatną inicjatywę, gdzieś pod koniec lat 60., pan Antczak zniknął z horyzontu. Mięso także znikło...

We Francji, w Hiszpanii, we Włoszech godna instytucja rzeźnika wciąż istnieje, choć także jest na wyginieciu. Pokazuje to film. To nie tylko pojedynczy rzeźnicy, to całe ich pokolenia. Realizatorzy oprowadzają po Francji, Hiszpanii, Włoszech, Argentynie. Dowiadujemy się, jak wygląda prawidłowa hodowla bydła i trzody. Widzimy czarne świnię wesoło hasające po zielonych łąkach... Zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Rzeźnicy wciąż istnieją w Europie, wprawdzie jest ich coraz mniej, bo być programistą jest lepiej niż trzymać w ręku tasak. Niektórzy wiedzą tajemną o tym, jak właściwie odkroić mięso od kości, przekazują dzieciom.

Kto chciałby się dowiedzieć więcej o tym, czym się różni austriacki spek od jamon ibérico, czym jest argentyńskie asado i jak się robi kiełbasy, zachęcam do obejrzenia. Trzeba oprzeć się pokusie, bo przez cały czas widzimy na filmie apetyczne kąski. Nie da się ukryć – tłuste. ©



FOT. ANDRZEJ STOK



DEKAMERONKI

Norymberga zastępcza

JERZY KARWELIS

Prokuratura Okręgowa w Warszawie postawiła zarzuty „ministrowi jednej choroby”, czyli Adamowi Niedzielskiemu. Minister, znany z urzędowego sanitaryzmu, autor i twarz obostrzeń oraz sankcji pandemicznych, kreator fal covidowych, będzie miał sprawę. Jednak nie za pandemiczny dorobek. Niedzielski został zdymisjonowany za PiS za awanturę z wystawianiem recept on-line. Jeden z lekarzy wskazał, że przez nowe pomysły ministerstwa nie może wypisać jakichś psychotropów, na co minister wysłał tweeta, że lekarz kłamie, bo właśnie je sobie zapisał.

Informacja ta mogła być powzięta przez ministra jedynie nielegalnie, jej ujawnienie zaś to było naruszenie tajemnicy lekarskiej, za co grozi prokuratura. Naczelna Izba Lekarska powiadomiła prokuratorę, ta zaś – po ponad roku – wszczęła postępowanie.

Kuriozalne nie jest to, że się minister sam wysypał, ale chodzi o co innego. Pozwolę sobie użyć metafory z mego ulubionego „Czasu Apokalipsy”. Kiedy podczas wojny wietnamskiej szukano zbuntowanego płk. Kurtza, zarzucano mu, że zastrzelił bez sądu kilku Wietnamczyków, których podejrzewał o szpiegostwo na obie strony. I z tego powodu amerykańskie wojsko miało wydać wyrok na pułkownika. Narrator stwierdził, że takie działanie w czasie wojny w Wietnamie

to jak dawanie mandatu za przekroczenie prędkości w czasie rajdu samochodowego. I tak samo mamy z ministrem Niedzielskim.

Nie ma ci on sprawy za swe decyzje, które zaszkodziły wielu ludziom, a wielu, moim zdaniem, doprowadziły do śmierci z powodu nie rozstroju zdrowia, ale rozstroju systemu zdrowia w wyniku m.in. jego decyzji.

Jednak w kwestii ochrony danych wrażliwych, za której przekroczenie minister ma sprawę, to już kuriozum zupełne. Niedzielski może pójść siedzieć za to, że publicznie napisał, jakie lekarstwo zapisał sobie jakiś lekarz. Ale ani on, ani cały system zdrowia nie odpowiedzą za to, co się działo z naszymi „danymi wrażliwymi” w pandemii. A należy przypomnieć, że czasy covidowe, z woli m.in. ministra Niedzielskiego, zawieszały całkowicie prawa pacjenta w zakresie tajemnicy lekarskiej. Należy do niej brak obowiązku informowania kogokolwiek o przyjętej terapii lub jej nieprzyjęciu. Za COVID byle kelnerzyna w restauracji, panienka na lotnisku, trep w wojsku mógł nas wypyttywać na okoliczność szczepienia czy testów.

W obecności osób trzecich, egzekwując przez różne zakazy czy braki dostępu „prawo Niedzielskiego” do karania za niepoddanie się określonym procedurom, co jest sprzeczne z Kodeksem norymberskim. I za to powinien siedzieć Niedzielski. ©©



#WARTO

Solorz i popcorn

JAN POSPIESZAŃSKI

Polska żyje telenowelą. Od dwóch tygodni już nie na Pudelku, ale w „Wyborczej”, Press i innych mediach śledzić można dramat rodziny Zygmunt Solorza, znanego jako Solorz-Żak (posługującego się niegdyś także nazwiskami Zygmunt Józef Krok i Piotr Podgórski).

Właściciel Polsatu oskarża swoje dzieci (z różnych kolejnych związków) o to, że chcą go okraść. Wysła listy do zarządów spółek, uniemożliwiając potomkom prawo sukcesji. Dzieci w odpowiedzi informują, że kontakt z ojcem jest utrudniony, a w kontekście jego uwarunkowań osobistych i zdrowotnych, połączonych z niemożnością porozmawiania z nim osobiście. Podważają poczytalność decyzji miliarda.

Zygmunt Solorz to postać znana i zagadkowa. Wielość nazwisk i paszportów, którymi się w życiu posługiwał, może zadziwiać, ale jest odwrótnie proporcjonalna do liczby publikacji biograficznych. A przecież właściciel finansowego imperium, odnoszący sukces w branżach strategicznych (media, łączność, energetyka), okupujący od trzech dekad listę najbogatszych Polaków, w normalnym kraju byłby bohaterem kilku książek biograficznych. Niestety, nie w Polsce. Dlaczego?

W największym uproszczeniu – rzetelna, oparta na źródłach książka o Solorzu, choć miałaby potencjał bestselleru, nie powstanie.

Po pierwsze – sam Solorz nie jest zainteresowany tym, żeby taka książka się pojawiła. Po drugie, wszyscy, którzy mogliby cokolwiek istotnego i wiarygodnego opowiedzieć o miliarderze, nie są na tyle głupi, żeby narazić się właścicielowi imperium. Po trzecie, książka o Solorzu, jeżeli miałaby być prawdziwa, musiałaby odsłonić założycielski układ nie tylko fortuny Solorza, lecz także istotę systemu polskiej transformacji.

Na razie jesteśmy skazani na szczątkowe sentymentalne opowieści o przedsiębiorczym chłopaku z radomskiego technikum mechanicznego, który jak surfer wskoczył na falę przemian ustrojowych, a potem sprytem, ciężką pracą i odrobiną szczęścia osiągnął wielki sukces.

Owszem, ktoś powie, że do tej opowieści trzeba dodać jeszcze wyznanie oficera prowadzącego Henryka Bosaka i kolejny pseudonim Zeg, ale dziś, po latach, docenimy, że to nasz polski biznes, rodzimy kapitał. Więc po co zadawać głupie pytania?

Zanim powstanie rzetelna biografia Solorza, w tej historii fascynuje mnie jedna prawidłowość. Można mieć wszystko – sukces, sławę, miliardy, pałace, mieć nawet „swoją partię w Sejmie” (pisali o tym kiedyś Łęski z Kasprosem), ale gdy nie potrafisz zbudować trwałej, opartej na zaufaniu i miłości rodziny, stajesz się pośmiewiskiem. Żałosnym tworzywem telenoweli. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

CWIERTOK

A gdzie wady?

Mamy wreszcie precyzyjne rozróżnienie, kto jest, a kto nie jest zgodnie z literą prawa sędzią. Stop. Otóż jeżeli orzeczenie sędziów nie podoba się Bodnarowi, to tacy sędziowie nie są sędziami, a jak się podoba, to są. Proste! Proste! Tak było z orzeczeniem Izby Karnej Sądu Najwyższego w sprawie: Czy Korneluk jest prokuratorem krajowym? Ponieważ sędziowie orzekli, że namaszczone przez Bodnara Korneluk prokuratorem krajowym nie jest, Bodnar orzekł, że sędziowie z 30-letnim stażem i niekwestionowanym autorytetem sędziami nie są, gdyż nie. Stop. Adaś znany Niemcom jako specjalista od udomowionych zwierzątek przywrócił nam wreszcie praworządność, choć trochę jeszcze z kontrewolucją powalczyć musi. Stop.

Sędzia Igor Tuleya w wywiadzie dla TVP, którą władza chce zlikwidować, ale na razie ustawiła im paśniki za 3 mld zł, rzekł: „Gdyby PiS wrócił do władzy, wszyscy poszlibyśmy siedzieć”. Stop. Trwają poszukiwania bezczelnego internauty, który pozwolił sobie na myślozbrodnię w postaci komentarza: „A gdzie wady?”. Stop.

Donald Tusk, który zapewne sam powstrzymałby powódź, gdyby nie nieco nazbyt cherlawy biceps, stoczył właśnie wygraną bitwę z alkoholem w tubkach. Stop. Na posiedzeniu rządu wysłał ministra Czesława z PSL na front słowami: „Czesław, proszę,

żebyś teraz pojechał do resortu i sprawę rozstrzygnął”. Stop. I Czesław posłusznie wyszedł i sprawę załatwił: alkoholu w tubkach nie będzie. Stop. To, że gospodarka się wali, szpitalom brakuje miliardów, a Tusk niczym Łukaszenka rozwiązuje problemy ważne, czyli pozorne, to jedno. Drugie, ważniejsze, jest to, że w przyszłym tygodniu Czesława z PSL mają ponoć wysłać po hamburgery. Stop.

Minister zdrowia Leszczyzna (ta pani naprawdę jest ministrem, specjalnie sprawdziłem) w związku z aferą alkotubkową zapowiedziała w czasie wywiadu radiowego: „W przypadku wątpliwości co do pełnoletności osoby, która chce kupić alkohol, sprzedawca będzie miał obowiązek zażądania dokumentu potwierdzającego wiek kupującego”. Stop. Jest pewien problem, pani Izuniu, taki obowiązek istnieje od dawna, dawna, a nawet od dawna. A może by robić ministrami ludzi, którzy mają jakąś elementarną wiedzę? Chociaż nie. Z kogo byśmy się chichrali? Stop.

4 tys. zł na wynajem mieszkania w Warszawie pobiera z Kancelarii Sejmu Kinga Gajewska, posłanka PO. Jej mąż, poseł Arkadiusz Myrcha, też z PO (co za zbieg okoliczności), otrzymuje na ten sam cel 3750 zł. Stop. Za komuny, która premiowała ludzi partii, popularne było hasło: „Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”, choć w tym przypadku adekwatniejsze byłoby: „Platforma na swoim”. ©©

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Gryząc karmiącą rękę

Wbardzo znamienny sposób zakończył się 49. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Złote Lwy oraz Nagroda Publiczności przyznane zostały filmowi Agnieszki Holland „Zielona granica”. Pani reżyser nie odbierała nagród osobiście, z festiwalowej sceny odczytano jednak jej list. Nagrodę swoją zadedykowała Agnieszka Holland „lokalnym i przyjeżdżającym z całej Polski aktywistom, którzy bronią naszego człowieczeństwa i nie pozwalają, by ludzie umierali bez pomocy, a nasze sumienia zarastały błoną podłości”. Podzieliła się też swoją wizją naszego kraju: „Polska staje się znów polem, gdzie faszyzujące grupy obywateli z biernym przyzwoleniem państwa organizują pogromy na ludzi o innym kolorze skóry, ale i na tych, którzy ich ratują i pomagają im, płacąc za to często najwyższą cenę”.

Przyznanie głównej nagrody filmowi Agnieszki Holland, tak mocno krytykowanemu przez polityków rządu PiS, mówi wiele o nastrojach panujących aktualnie w „środowniku filmowym”. Są one prawicy nieprzychylnie. Dzieje się tak pomimo coraz głośniejszych pogłoszek o planowanym aktualnie ograniczeniu funduszu „zachęt dla producentów filmowych”, a także zapaści mediów publicznych, których środki wydawane na niezależną produkcję filmową drastycz-

nie stopniały. Sytuacja ta jest jaskrawym przeciwieństwem finansowego dostatku, w którym płaćta się część filmowców za rządów PiS. Czy to z powodu kompleksów – czy też nadzwyczajnej hojności – osiem lat rządów PiS było okresem intensywnego futrowania nie tylko filmowego „patriobiznesu” – którego ekranowe produkcje okazały się wyjątkowo mizerne – lecz także całej branży. To przecież za rządów PiS filmowym światkiem rządził, w iście magnackim stylu, Jacek Bromski, jego małżonka zaś kierowała jednym z kluczowych departamentów Ministerstwa Kultury, zajmującym się dystrybucją funduszy europejskich. „W ciągu przeszło sześciu lat mojej pracy w PISF najczęściej dotowanymi reżyserami były panie Agnieszka Holland, Małgorzata Szumowska czy Kinga Dębska (dane dostępne na stronie PISF)” – zapewniał pod koniec urzędowania wychwalany przez ministra Glińskiego dyrektor PISF Radosław Śmigulski.

Czyżby polscy filmowcy byli wobec prawicy aż takimi niewdzięcznikami? A może w relacjach z decydentami przyświecała im historyczna zasada „brać, nie kwitować”? Tak czy inaczej, obłaskawianie „środowiska” za pomocą strumienia pieniędzy podatników okazało się strategią niemądrą i bezskuteczną. Do filmowców, w przeciwieństwie do polityków, trudno mieć o to pretensje. ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Cedrowa skrzyneczka

W 1793 r. rewolucyjny parlament we Francji uchwalił ultrademokratyczną konstytucję dla ogłoszonej rok wcześniej republiki. Jednak zaraz po uchwaleniu dokument został schowany w cedrowej skrzyneczce. Na „okres przejściowy”. Najpierw republika przy niezawodnej pomocy obywatelki gilotyny musiała uporać się z wrogami (np. wandejskimi chłopami), którzy nie pojęli na czas właściwego sensu słów „wolność, równość, braterstwo... albo śmierć”. A gdy tylko ta ostatnia sprawi, że nikt już nie będzie wątpił w korzyści pochodzące z „rządów cnoty”, otworzy się cedrową skrzyneczkę i wydobędzie się z niej ultrademo-

krację „demokracji walczącej”. Pod koniec XVIII w. ta ostatnia nazywała się „rządami cnoty”, a bezwzględnie wcielał je w życie zaprzysięgły wróg kary śmierci (no, ale cóż, okres przejściowy), „nieprzekupny” adwokat z Arras.

Historycznych analogii jest zresztą więcej. Z reguły bowiem było tak, że gdy do władzy dochodzili liberałowie, pierwszą ofiarą ich rządów była wolność. Dzieje XIX-wiecznych kulturkampów, czyli antykatolickich „wojen o kulturę”, prowadzonych w całej Europie – od bismarckowskich Prus i Rzeszy Niemieckiej (po 1871 r.) do republikańskiej Portugalii (od 1910 r.) – aż nadto dostarczają przykładów, gdy liberalne większości w parlamentach pruskim,

otwartego na modernizacyjne impulsy państwa jest trwała stygmatyzacja innych milionów Niemców jako reprezentujących „niższą, obcą niemieckiej kulturę”. Pod koniec XIX w. w liberalnej prasie niemieckiej pojawiały się artykuły, w których odwołując się do najnowszych „naukowych” osiągnięć, rozważano, czy aby przyczyną kulturowego zacofania katolickich współobywateli nie jest kształt ich czaszek.

Liberalne podejście do wolności równe było liberalnemu podejściu („tak jak my je rozumiemy”) do tzw. świętego prawa własności. W okresie przejściowym puryzm pod tym względem byłby czymś zgubnym. Historia polskiej „transformacji ustrojowej” w latach 90. ubiegłego stulecia to otwarta księga dziejów „transformacji walczącej” alias „przekształceń własnościowych” w stylu Davida Copperfielda (było i nie ma).

Szlak, jak zawsze, przecierali niemieccy liberałowie (wiadomo, deutsches Kulturvolk). W 1848 r. zażarcie debatowali nad tym, czy oddać ukradzione. Tego dotyczyła dyskusja w ogólnoniemieckim Zgromadzeniu Narodowym obradującym we Frankfurcie nad Menem nad tym, czy w skład przyszłej Rzeszy ma wejść również cała Wielkopolska, która dostała się pod pruskie rządy w wyniku grabieży polskiej ziemi (drugi rozbiór Polski). Liberalna większość ustaliła, że w imię „zdrowego egoizmu narodowego” ukradzione trzeba zatrzymać, bo tego wymaga wyższa niemiecka kultura. Ona nadaje właściwe rozumienie takim słowom jak wolność, własność i praworządność. Ogólnie biorąc, właściwe rozumienie „wartości europejskich”. ©

Historia polskiej „transformacji ustrojowej” w latach 90. ubiegłego stulecia to otwarta księga dziejów „transformacji walczącej” alias „przekształceń własnościowych” w stylu Davida Copperfielda (było i nie ma)

kratyczną konstytucję i republika stanie się – jak mawiał Saint-Just, prawa ręka Robespierre’a – „żarliwą wspólnotą”.

Brzmi znajomo? Jakby ktoś mówił, że „najpierw rozliczymy, później pojednamy”, czyli najpierw zniszczymy waszą wspólnotę polityczną, aby potem z uśmiechem rzucić się sobie w ramiona. Jakby ktoś uczynił ze swojego rozumienia praworządności właściwe i tak naprawdę jedyne źródło prawa („będziemy stosować prawo, tak jak my je rozumiemy”). Jakby ktoś w obliczu niezłomnych autorytetów prawniczych zapewniał solennie, że aby odbudować demokrację i praworządność, trzeba, nie zważając na opory rozmaitych purystów, zastosować wszystkie

niemieckim czy francuskim w imię większej wolności (tak jak oni ją rozumieli) zabraniały katolickim rodzicom wysyłania ich dzieci za ich własne pieniądze do katolickich szkół, bo te ostatnie – w imię wolności („właściwie” rozumianej) – zostały z dnia na dzień skasowane, a ich kadra (zakonnicy) gremialnie skazana na banicję (jak np. jezuita w Niemczech po 1872 r.).

WRzeszy Niemieckiej „okres przejściowy” kulturkampu doprowadził ostatecznie do trwałego zepchnięcia katolików w tym państwie (bez względu na narodowość) do statusu obywateli drugiej kategorii i przyzwyczaiał miliony „zwykłych” Niemców do poglądu, że przepustką do budowy prawdziwie nowoczesnego,

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

RFK to monogram utworzony od Robert F. Kennedy Jr. (na identycznej zasadzie ja występuję jako WC). W USA inicjały osoby znanej są jak marka towaru. Prezydent Franklin Delano Roosevelt był znany jako FDR, prezydent John F. Kennedy jako JFK.

Kim jest RFK? Aktualnie kandyduje na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Pochodzi z klanu Kennedych – bardzo wpływowej rodziny demokratów. Jego stryj (JFK) był prezydentem i zginął w zamachu. Jego ojciec też zginął w zamachu – zastrzelony, gdy kandydował na prezydenta pięć lat po zamachu na brata. RFK jako adwokat występował przeciw wielkim korporacjom w USA i uzyskiwał dla poszkodowanych ogromne odszkodowania. Miał wpływ na poprawę jakości wody pitnej w USA. Tępi trucizny w szczepionkach oraz szkodliwy wpływ radiacji z sieci telefonicznej 5G. Zwalcza trujące jedzenie produkowane przez ponadnarodowe korporacje oraz sieci fast foodów.

Na oficjalnych stronach rządu RP (gov.pl) piszą, że RFK propaguje „fake newsy”. O każdym wrogu systemu tak piszą. Każdy, kto kwestionuje linię przewodnią partii z Davos, jest foliarzem i antyszczepionkowcem. No bo co mają pisać, skoro wszczepili ludziom nieprzebadany preparat na COVID? Co mają pisać, skoro w trakcie pandemii stawiali w ekspresowym tempie wieże 5G? To bardzo zwracało uwagę – był lockdown, wiele inwestycji zatrzymano, ale nie tę. Każdy, kto kwestionuje poczynania władzy, to co najmniej wariat.



RFK jest obecnie kandydatem niezależnym, ponieważ jego własna partia nie dopuściła do prawyborów – musiał być tylko jeden kandydat: Joe Biden. Wszystkich innych utracili, zakazali startować lub dogadali się z nimi, że wystartują innym razem, a wtedy partia pomoże. Następnie utracili też samego Bidena. RFK uważa, że to, co zrobili demokraci, jest niedemokratyczne, i dlatego kandyduje jako niezależny, choć jest nadal wybitną postacią Partii Demokratycznej. W 10 stanach wycofał się z wyborów, aby nie psuć wyniku – tam, gdzie odbierałyby głosy Trumpowi. W pozostałych 40 stanach kandyduje nadal, aby sprawdzić i pokazać, jaką siłę ma jego program wyborczy. Dogadał się z Trumpem na udział w rządzie. Ma się zajmować czystą wodą, szkodliwym jedzeniem, przywracaniem zdrowia Amerykanom. Będzie tępił korporacje, które trują.

Oto, co RFK mówi na temat wojny na Ukrainie. **POUCZAJĄCE!** Cytuję:

„Tę wojnę Rosjanie wielokrotnie próbowali zakończyć, na warunkach korzystnych dla Ukrainy i USA – chcieli, abyśmy trzymali NATO z dala od Ukrainy. Ale producenci broni chcą, by cały czas rozszerzało NATO o nowe państwa. Dlaczego? Dlatego, że wtedy kolejne kraje są zmuszone, by dostosować swoje zakupy uzbrojenia do standardów NATO, a to z kolei oznacza, że takie firmy jak Northrop Grumman, Raytheon, General Dynamics, Boeing

i Lockheed zdobywają kolejny rynek zbytu. W kwietniu 2022 r. Joe Biden wysłał Borisa Johnsona na Ukrainę, aby ZMU-SIŁ Zełenskiego do zerwania porozumienia pokojowego, które on i Rosjanie podpisali.

Miesiąc wcześniej wyasygnowaliśmy dla Ukrainy 113 mld dol. (za tę kwotę można by zbudować mieszkania dla niemal wszystkich bezdomnych w naszym kraju). Potem daliśmy kolejne 24 mld, a prezydent Biden wnioskuje o następne 60 mld. Ale naprawdę gigantyczne wydatki czekają nas po tej wojnie – gdy będziemy musieli odbudować to, co zniszczyliśmy.

Na pytanie, czy nas stać na przekazanie 113 mld dol. Ukrainie, Mitch McConnell (lider republikanów w Senacie USA) odpowiedział: »Spokojnie. Te pieniądze de facto wcale nie idą na Ukrainę, lecz do amerykańskich producentów broni«. W ten sposób przyznał publicznie, że to jest oszustwo polegające na przetaczaniu pieniędzy podatników.

A jak myślicie, kto jest właścicielem tych wszystkich przedsiębiorstw sektora zbrojeniowego? Właściciel jest jeden – BlackRock (największa na świecie firma zarządzająca aktywami. Mówią o niej »właściciel świata«).

Podczas debaty w prawyborach republikańskich Tim Scott powiedział: »Spokojnie. To nie jest dar dla Ukrainy. To pożyczka«.

Niech teraz podniesie rękę ten, kto sądzi, że ta pożyczka będzie kiedykolwiek spłacona. Oczywiście, że nigdy. Dlaczego zatem oni to nazywają

»pożyczką«? Dlatego, że wtedy można stawiać warunki spłaty takie jak w przypadku pożyczki. A na jakich warunkach my tej »pożyczki« udzielamy?

Po pierwsze, program maksymalnego zaciskania pasa, więc jeśli jesteś na Ukrainie biedny, to pozostaniesz biedny do końca swoich dni.

Po drugie, najbardziej istotne: Ukraina musi umożliwić międzynarodowym korporacjom zakup posiadanego przez rząd majątku, w tym całego arealu ziemi rolnej – to największe aktywa na Ukrainie i w Europie. Od tysięcy lat o tę ziemię toczą się wojny. To najbardziej żyzna ziemia uprawna na świecie. Spichlerz Europy.

Sprzedano już 30 proc. tej ziemi. Nabyły ją DuPont, Cargill i Monsanto. A kto jest właścicielem tych firm? Właściciel jest jeden – BlackRock. W grudniu prezydent Biden przedstawił kontrakt na odbudowę Ukrainy. Kto dostał ten kontrakt? BlackRock!

Robią to wszystko jawnie – na naszych oczach. I nie obchodzi ich, że my się zorientujemy, ponieważ wiedzą, że nikt im nic nie zrobi. Skąd to wiedzą? Mają taką strategię, starą jak świat, w której chodzi o to, żebyśmy byli ze sobą nawzajem w stanie ciągłej wojny. Żebyśmy się wzajemnie nienawidzili. Żeby republikańscy walczyli z demokratami, a czarni z białymi. Żeby istniały podziały, które oni sami wywołują».

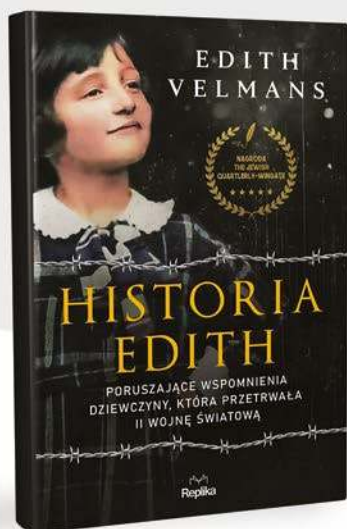
PS
Ciekawostka: dotychczas były dwa zamachy na życie Donalda Trumpa. Obaj zamachowcy występowali wcześniej w reklamie telewizyjnej firmy BlackRock. Nie znalazłem żadnego oświadczenia firmy BlackRock, że jest im przykro lub że to jakiś niefortunny i przypadkowy zbieg okoliczności. Jestem foliarzem. © ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY



~~1348~~zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

EDITH VELMANS:
„HISTORIA EDITH”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

422,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 926zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

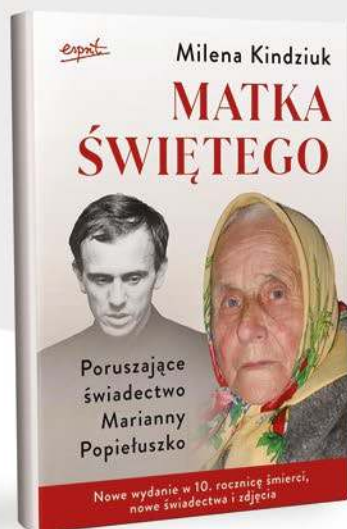
WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 308c77a843

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY



~~509~~ ZŁ

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MILENA KINDZIUK:
„MATKA ŚWIĘTEGO”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

232,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 277 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 308c77a843